

www.libtool.com.cn

www.libtool.com.cn



www.libtool.com.cn

P I S M A

HENRYKA SIENKIEWICZA

TOM VIII

OGNIEM
MIECZEM

Tom III

WAWA

HUBER I WOLFFA

1893

www.libtool.com.cn

Tom I—XVIII po 1
w oprawie po 1
Tom I. Stary sługa.—Hania.—Szkice węglem.—Janko muzykant.
Tom II. Listy z podróży po Ameryce.
Tom III. Listy z Ameryki (dalszy ciąg).—Listy z Rzymu i Paryża.—Komedia z pomyłek.
Tom IV. Przez stepy.—Orso.—Z pamiętników poznającego nauczyciela.—Czyja wina.—Za chlebem.
Tom V. Latarnik.—Miewola tatarska.—Jamioł.—Na jedną kartę.—Bartek zwycięzca.
Tom VI—IX. Ogniem i mieczem, powieść z lat dawnych, 4 tomy.
Tom X—XV. Potop, powieść historyczna, 6 tomów.
Tom XVI—XVIII. Pau Wołodajowski, powieść historyczna, 3 tomy.
Tom XIX. Ta Trzecia. Sachem.—Sielanka.—Walka byków.—Z puszczy białowieskiej.—Wycieczka do Aten. 1
w ozdobnej oprawie. 1
Tom XX. Wyrok Zeusa.—Z wrażeń włoskich.—Organista z Ponikły.—U źródła.—Lux in tenebris lucet (legenda indyjska).—Pójďźmy za nim!—Listy o Zoli. . . 1
w oprawie 1
Bez dogmatu, powieść w 3 tomach 3
Listy z Afryki, z licznymi ilustracyami w tekście dwa tomy. 4
Na jedną kartę, dramat w 5 aktach. 1

www.libtool.com.cn

www.libbook.com.pl P I S M A

HENRYKA SIENKIEWICZ

TOM VIII

OGNIEM I MIECZEM

TOM III

W A R S Z A W A
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA

—
1894

LK

HENRYK SIENKIEWICZ

OGNIEM I MIECZEM

POWIEŚĆ Z LAT DAWNYCH



~~~~~  
*Wydanie piąte przejrane i poprawione*  
~~~~~

TOM III

WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA.
1894

PG 7158

SH
www.libtool.com.cn

1883

v. 8

Дозволено Цензурою.

Варшава 10 Августа 1893 года.

Warszawa. — W drukarni St. Niemiery, Plac Warecki 4.

ROZDZIAŁ I.

Pewnej pogodnej nocy, na prawym brzegu Waładyńki, posuwał się w kierunku Dniestru orszak jeźdźców, złożony z kilkunastu ludzi.

Szli bardzo wolno, prawie noga za nogą. Na samym przedzie, o kilkadziesiąt kroków przed innymi, jechało dwóch jakoby w przedniej straży, ale widocznie nie mieli żadnego do strażowania i czujności powodu, bo przez cały czas rozmawiali z sobą, zamiast dawać baczenie na okolicę — i zatrzymując co chwila konie, oglądali się na resztę orszaku, a wówczas jeden z nich wołał:

— Pomału tam! pomału!

I orszak zwalniał jeszcze kroku, zaledwie posuwając się naprzód.

Nakoniec, wysunąwszy się z za wzgórza, które osłaniało go swym cieniem, orszak ów szedł na przestwór obłany światłem księżyca, i wtedy można było zrozumieć ostrożność pochodu: oto w środku karawany, idące obok siebie dwa konie dźwigały przywiązaną do siodełek kołyskę, w kołysce zaś leżała jakaś postać.

Srebrne promienie oświecały bładą jej twarz i zamknięte oczy.

Za kołyską jechało dziesięciu zbrojnych. Po spisach bez proporców można w nich było poznać kozaków. Niektórzy prowadzili konie juczne, inni jechali luzem, ale o ile dwaj jadący na przedzie zdawali się nie zwracać najmniejszej uwagi na okolicę, o tyle ci oglądali się niespokojnie i trwożliwie na wszystkie strony.

A jednak okolica zdawała się być zupełną pustynią.

Ciszę przerywały tylko uderzenia kopyt konskich i wołanie jednego z dwóch jadących na przedzie jeźdźców, który kiedy niekiedy powtarzał swą przestrogę:

— Pomału! ostrożnie!

Nakoniec zwrócił się do swego towarzysza:

— Horpyna, daleko jeszcze? — spytał.

Towarzysz, którego zwano Horpyną, a który w istocie był przebraną po kozacku olbrzymią dziewczką, popatrzał w gwieździste niebo i odrzekł:

— Niedaleko. Będziemy przed północą. Minie my Wraże Uroczyszcze, miniemy Tatarski Rozłóg, a tam już zaraz Czortowy Jar. Oj, źleby tam przejeżdżać po północy, nim kur zapieje! Mnie można, ale źleby było, źle!

Pierwszy jeździec wzruszył ramionami.

— Wiem ja — rzekł — że tobie czort bratem, ale na czorta są sposoby.

— Czort nie czort, a sposobu niema — odparł Horpyna. — Żeby ty, sokole, na całym świecie schowania dla swojej kniaziówny szukał, toby ty lepszego nie znalazł. Już i tędy nikt po północy nie przejdzie, chyba ze mną, a w jarze jeszcze żywy

człowiek nogi nie postawił. Chce kto wróżby, to przed jarem stoi i czeka, poki nie wyjdę. Nie bój ty się. Nie przyjdą tam ani Lachy, ani Tatarzy, ani nikt, nikt. Czortowy Jar straszny, sam zobaczysz.

— Niech sobie będzie straszny, a ja mówię, że przyjdę, ile razy zechcę.

— Byleś w dzień przychodził.

— Kiedy zechcę. A stanie czort w poprzek, to za rogi wezmę.

— Ej, Bohun! Bohun!

— Ej, Dońcówna! Dońcówna! ty się o mnie nie troszcz. Weźmie mnie czort, czy nie weźmie, to nie twoja sprawa, ale to ci powiadam: radź ty sobie ze swoimi czortami jak chcesz, byle na kniaziównę bieda nie przyszła, bo jeśli jej się co stanie, to ciebie z moich rąk ani czorty, ani upiory nie wydrą!

— Raz mnie już topili, jeszcze jak my nad Donem z bratem mieszkali, drugi raz już mi w Jampolu mistrz głowę golił, a dlatego mi nic. Ale to inna rzecz. Ja z przyjaźni dla ciebie będę jej strzegła, by jej i włos na głowie od duchów nie spadł, a przed ludźmi u mnie bezpieczna. Już ci się ona nie wymknie.

— A ty sowo! jeśli tak mówisz, to czemu ty mnie wróżyła na biedę, czemu ty mi hukała nad uchem: „Lach przy niej! Lach przy niej!”

— To nie ja mówiła, to duchy. Ale się może zmieniło. Jutro ci powrózę na wodzie w kole inżynierskim. Na wodzie wszystko dobrze widać, jeno trzeba długo patrzeć. Sam zobaczysz. Ale ty wściekły pies: powiedzieć ci prawdę, to się sierdzisz i za obuch łapiesz...

www.libtool.com.cn
Rozmowa urwała się, słychać było tylko uderzenia kopyt o kamienie i jakieś głosy dochodzące od strony rzeki, podobne do sykania koników polnych.

Bohun nie zwrócił najmniejszej uwagi na owe głosy, które jednak wśród nocy mogły dziwić; podniósł twarz ku księżycowi i zamyślił się głęboko.

— Horpyna! — rzekł po chwili.

— Czego?

— Ty czarownica, ty musisz wiedzieć: czy prawda, że jest takie ziele, że jak się go kto napije, to musi pokochać? Lubystka, czy jak?

— Lubystka. Ale na twoją będę nic i lubystka nie poradzi. Jeśliby kniaziówna innego nie kochała, to tylko dać jej się napić, ale jeśli kocha, to wiesz co się stanie?

— Co?

— To jeszcze bardziej tego innego pokocha!

— Przepadnij-że ty ze swoją lubystką! Umiesz ty źle wróżyć, a poradzić nie umiesz.

— To słuchaj: znam ja inne ziele, co w ziemi rośnie. Kto się go napije, dwa dni i dwie nocy jak pień leży, o świecie nie wie. Tego ja jej ziela dam — a potem...

Kozak zatrząsł się na siodle i utkwiał w czarownicy swe świecące w ciemności oczy.

— Co ty kraczesz? — spytał.

— Taj hodi! — zawołała wiedźma i wybuchnęła ogromnym, podobnym do rżenia kłaczy śmiechem.

Śmiech ów rozległ się złowrogiem echem w rozpadlinach jarów.

— Suko! — rzekł watażka.

Potem ~~voczył~~ jego ~~gasły~~ stopniowo, popadał znów w zamyślenie, наконец począł mówić, jakby sam do siebie:

— Nie, nie! Kiedy my Bar brali, ja pierwszy wpadł do klasztoru, by jej przed pijanicami bronić i łeb strzaskać każdemu, ktoby się jej dotknął, a ona się nożem pchnęła — i teraz o Bożym świecie nie wie. Dotknę jej ręką, to się znów pchnie, albo do rzeki skoczy — nie upilnujesz nieszczęsny!

— Ty w duszy Lach, nie kozak, kiedy po kozacku nie chcesz dziewczyny zniewolić...

— Żeby ja był Lach! — zawołał Bohun — żeby ja był Lach!

I za czapkę obu rękoma się chwycił, bo jego samego ból chwycił.

— Musiała cię urzec ta Laszka — mruknęła Horpyna.

— Ej, chyba urzekła — odrzekł żałośnie. — Niechby mnie pierwsza kula nie minęła, niechbym na palu sobacze życie skończył... Jednej ja chcę na świecie i ta jedna mnie nie chce!

— Durny! — zawołała z gniewem Horpyna — toć ty ją masz!

— Stul-że ty pysk! — zawołał ze wściekłością kozak. — A jak się ona zabije, to co? ciebie rozerwę, siebie rozerwę, łeb o kamień rozbiję, ludzi będę gryzł jak pies. Jaby duszę za nią oddał, sławę kozacką oddał, uciekłyby za Jahorlik hen! od pułków za świat, aby z nią, z nią żyć, przy niej zdychać... Ot co! A ona się nożem pchnęła, i przez kogo? przeze mnie! Nożem się pchnęła! słyszysz?

— Nic jej nie będzie. Nie umrze.

— Jakby umarła, to jaby ciebie ćwiekami do drzwi przybił.

— Mocy ty żadnej nad nią nie masz!

— Nie mam, nie mam. Jaby wołał, żeby ona mnie nożem pchnęła—niechby i zabiła, byłoby lepiej.

— Głupia Laszka. Ot-by po dobrej woli przyhołubiła się do ciebie. Gdzie lepszego znajdzie?

— Spraw ty to, a ja ci garnek dukatów nasypię, a pereł drugi. My w Barze wzięli łupu nie-mało i przedtem brali.

— Ty bogaty, jak kniaź Jarema, i sławny. Ciebie, mówią, sam Krzywonos się boi.

Kozak ręką machnął.

— Co mnie z tego, koły serdcie bołył...

I znowu zapadło milczenie. Brzeg rzeki-stawał się coraz dziksz, pustsz. Białe światło księżycy nadawało fantastyczne kształty drzewom i skałom. Nakoniec Horpyna rzekła:

— Tu Wraże Uroczyszcze. Trzeba razem jechać.

— Czemu?

— Tu niedobrze.

Zatrzymali konie i po chwili orszak idący z tyłu złączył się z nimi.

Bohun wspiął się na strzemionach i zajrzał w kołyskę.

— Spyt? — spytał.

— Spyt — odpowiedział stary kozak — sładko jak detyna.

— Ja jej na sen dała — odrzekła wiedźma.

— Pomału, ostrożno! — mówił Bohun, wlepiając oczy w uśpioną — szczoby wy jej ne rozbudowały. Misiac jej prosto w łyczko zahładaje, serdeńku mojemu.

— Tycho swityt, ne rozbudyt — szepnął jeden z mołojców.

I orszak ruszył dalej. Wkrótce przybyli nad Wrażę Uroczyszcze. Było to wzgórze, leżące tuż przy rzece, niskie i obłe, jak leżąca na ziemi okrągła tarcza. Księżyc zalewał je zupełnie światłem, rozświecając białe, porozrzucane po całej jego przestrzeni kamienie. Gdzieniegdzie leżały one pojedynczo, gdzieniegdzie tworzyły kupy, jakoby szczątki jakich budowli, zburzonych zamków i kościołów. Miejscami sterczały płyty kamienne, posadzone końcem w ziemi, nakszałt nagrobków na cmentarzyskach. Całe wzgórze podobne było do jednego wielkiego rumowiska. I może niegdyś, dawno, za czasów Jagiełłowych, krzewiło się tu życie ludzkie — dziś wzgórze owo i cała okolica, aż po Raszków, była głuchą pustynią, w której gnieździł się tylko dziki zwierz, a nocami duchy przekłete odprawiały swoje korowody.

Jakoż zaledwie orszak wspiął się do połowy wysokości wzgórza, trwający dotychczas lekki powiew zmienił się w prawdziwy wichur, który począł oblatywać wzgórze z jakimś posępnym, złowróżbnym świstem, i wówczas mołojcom wydało się, że między owymi rumowiskami odzywają się jakieś ciężkie westchnienia, jakby wychodzące z ugniecionych piersi jakieś żałośne jęki, jakieś śmiechy, płacze i kwilenia dzieci. Całe wzgórze poczęło się ożywiać, wołać różnymi głosami. Z za kamieni zdawały się wyglądać wysokie, ciemne postacie, cienie dziwnych kształtów prześlizgiwały się cicho między głazami, w dali, w pomroce błyskały jakieś światelka,

podobne do oczu wilczych, nakoniec z drugiego końca wzgórza, z pomiędzy najgęstszych kup i zwalisk, ozwało się niskie gardłowe wycie, któremu zawtórowały zaraz inne.

— Siromachy? — szepnął młody kozak, zwracając się do starego esaula.

— Nie, to upiory — odpowiedział esaul jeszcze ciszej.

— O, Hospody pomyłuj! — zawołali z przerażeniem inni, zdejmując czapki i zegnając się po bożnie.

Konie poczęły tulić uszy i chrapać. Horpyna, jadąca na czele orszaku, mruczała półgłosem niezrozumiałe słowa, jak gdyby pacierz dyabelski. Dopiero gdy przybyli na drugi kraniec wzgórza, odwróciła się i rzekła:

— No, już. Tu już dobrze. Trzymać ja je musiała zakłębem, bo bardzo głodne.

Westchnienie ulgi wyrwało się ze wszystkich piersi. Bohun z Horpyną wysunęli się znów naprzód, a mołojcy, którzy przed chwilą tłumili oddech, poczęli szeptać do siebie i rozmawiać. Każdy przypomniał sobie, co mu się kiedy z duchami lub upiorami przytrafiło.

— Żeby nie Horpyna, to myby nie przeszli — mówił jeden.

— Mocna wid'ma.

— A nasz ataman i did'ka nie boitsia. Nie patrzył, nie słuchał, jeno się na swoją mołodycę oglądał.

— Żeby jemu się to zdarzyło co mnie, toby nie był taki bezpieczny — rzekł stary esaul.

— A co się wam zdarzyło, ojczce Owsiwuju?

— Jechał ja raz z Reimentarówki do Hulajpola, a jechał nocą koło mogił. Wtem baczu, hyc coś z tyłu z mogiły na kulbakę. Obejrzę się: dziecko — sineńkie, bladeńkie!... Widno Tatary z matką w jasyr prowadzili i umarło bez chrztu. Oczki mu goreją jak świeczki, i kwili, kwili! Skoczyło mi z kulbaki na kark, aż tu czuję: kąsa za uchem. O, Hospody! upior... Ale to na Wołoszy długo służywał, gdzie upiorów więcej niż ludzi i tam są na nie sposoby. Zeskoczyłem z konia i gindżałem w ziemię: „Zgiń! przepadnij!“ — a ono jęknęło, chwyciło się za głownię od gindżała i po ostrzu spłynęło pod murawę. Przeciąłem ziemię na krzyż i pojechałem.

— To na Wołoszy tyle upiorów, ojczy?

— Co drugi Wołoch, to po śmierci będzie upior i wołoskie najgorsze ze wszystkich. Tam ich nazywają brukołaki.

— A kto mocniejszy, ojczy: did'ko czy upior?

— Did'ko mocniejszy, ale upior zawziętszy. Did'ka jak potrafisz zażyć, to ci będzie służył, a upiory do niczego, tylko za krwią wietrzą. Ale zawsze did'ko nad nimi ataman.

— A Horpyna nad did'kami reimentaruje.

— Pewnie, że tak. Póki jej życia, póty reimentarstwa. No, żeby ona nie miała nad nimi władzy, toby jej ataman swojej zazuli nie oddał, brukołaki na dziewczynską krew najłakomsze.

— A ja słyszał, że one do duszy niewinnej nie mają przystępu.

— Do duszy nie mają, ale do ciała mają.

— Oj, szkodaby krasawicy! Krew to z mlekiem! Wiedział nasz bat'ko, co w Barze brać!

Owsiwuj językiem klasnął.

— Niema co mówić. Zolotaja Laszka...

— A mnie jej, ojczy, żal — mówił młody kozak. — Jak my ją w kołyskę kładli, to rączki białe składała, a tak prosiła i prosiła: ubij, każe, ne huby, każe, nieszczastływoj!

— Nie będzie jej źle.

Dalszą rozmowę przerwało zbliżenie się Horypyny.

— Hej, mołojcy! — rzekła wiedźma — to Tatarski Rozłóg, ale nie bójcie się, tu tylko jedna noc w roku straszna, a Czortowy Jar i mój futor już zaraz.

Jakoż wkrótce dały się słyszeć szczekania psów. Orszak wszedł w gardło jaru, biegnącego prostopadłe od rzeki, a tak wąskiego, że ledwie czterech konnych mogło w nim obok siebie postępować. Na dnie owej rozpadliny płynęła krynica, mieniając się w świetle księżycowym jak wąż i biegąc wartko do rzeki. Ale w miarę, jak orszak posuwał się naprzód, strome i urwiste ściany rozszerzały się coraz bardziej, tworząc dość obszerny rozłóg, wznoszący się lekko w górę i zamknięty z boków skałami. Grunt gdzieniegdzie pokryty był wysokimi drzewami. Wiatr tu nie wiał. Długie czarne cienie kładły się od drzew na ziemię, a na przestrzeniach oblanych światłem księżycy, świeciły mocno jakieś białe, okrągłe, lub wydłużone przedmioty, w których mołojcy ze strachem poznali czaszki i piszczele ludzkie. Oglądali się też z nieufnością naokół, znacząc kiedy niekiedy krzyżami piersi i czoła. Wtem w dali błysło z pomiędzy drzew światelko, a jednocześnie nadbiegły

dwa psy straszne, ogromne, czarne, ze świecącemi oczyma, szczekając i wyjąc na widok ludzi i koni. Na głos Horpyny uciszyły się wreszcie i poczęły obiegać w około jeźdźców, chrapiąc przytem i charcząc ze zdyszenia.

— Nesamowite — szeptali mołojcy.

— To nie psy — mruknął stary Owsiwuj głosem, zdradzającym głębokie przekonanie.

Tymczasem z za drzew ukazała się chata, za nią stajnia, dalej zaś i wyżej jeszcze jedna ciemna budowla. Chata napozór była porządna i duża; w oknach jej błyszczało światło.

— To moja sadyba — rzekła do Bohuna Horpyna — a tam to młyn, co zboża nie miele, jeno nasze, ale ja worożycha, z wody na kole wróżę. Powróżę i tobie. Mołodycia w świetlicy będzie mieszkać, ale kiedy chcesz ściany przybrać, to ją trzeba na drugą stronę tymczasem przenieść. Stójcie i z koni!

Orszak zatrzymał się, Horpyna zaś poczęła wołać:

— Czeremis, huk! huk! Czeremis!

Jakaś postać z pękiem zapalonego łuczywa w ręku wyszła przed chatę i wzniosłszy ogień w górę, poczęła w milczeniu przypatrywać się obecnym.

Był to stary człek, potwornie szpetny, mały, karzeł, z płaską kwadratową twarzą i skośnemi, podobnemi do szczelin oczyma.

— Co ty za czort? — spytał go Bohun.

— Ty jego nie pytaj — rzekła olbrzymka — on ma język obcięty.

— Pójdź tu bliżej.

— Słuchaj! — mówiła dalej dziewczka — a możeby mołodycę do młyna zanieść? Tu mołojcy będą przybierać świetlicę i ćwieki wbijać, to się rozbudzi.

Kozacy, zsiadłszy z koni, poczęli odwiązywać ostrożnie kołyškę. Sam Bohun czuwał nad wszystkim z największą troskliwością i sam dźwigał w głowach kołyškę, gdy przenoszono ją do młyna. Karzeł, idąc naprzód, świecił łuczywem. Kniaziówna, napojona przez Horpynę odwarem ziół usypiających, nie rozbudziła się wcale, tylko powieki drgały jej cokolwiek od światła łuczywa. Twarz jej nabierała życia od tych czerwonych blasków. Może też kołyssały dziewczynę sny cudne, bo się uśmiechała słodko w czasie tego pochodu, podobnego do pogrzebu. Bohun patrzył na nią i zdawało mu się, że serce chyba mu rozsadzi żebra w piersiach. „Myłénka moja, zazula moja!“ — szeptał cicho — i groźne choć piękne lica watażki złagodniały i płonęły wielkim ogniem miłości, która go ogarnęła i ogarniała coraz bardziej, tak jak zapomniany przez wędrowca płomień ogarnia dzikie stopy.

Idąca obok Horpyna mówiła:

— Gdy się z tego snu rozbudzi, zdrowa będzie. Rana się jej goi, zdrowa będzie...

— Sława Bohu! sława Bohu! — odpowiadał watażka.

Tymczasem mołojcy poczęli przed chatą zdejmować ogromne juki z sześciu koni i wyładowywać zdobycz wziętą w makatach, kobiercach i innych kosztownościach w Barze. Rozpalono w świetlicy obfity ogień, i gdy jedni znosili coraz to nowe opony, inni przystosowywali je do drewnianych ścian izby, Bohun nie tylko pomyślał o klatce bezpiecznej dla swego ptaka, ale postanowił ją przybrać, by ptakowi niewola nie zdawała się zbyt nieznosna.

Wkrótce też nadszedł z młyna i sam pilnował roboty. Noc upływała i księżyc zdjął już swoje białe światło z wierzchołków skał, a w świetlicy słysząc jeszcze było przytłumione stukanie młotów. Prosta izba stawała się coraz podobniejsza do komnaty. Nakoniec, gdy już ściany były obwieszane, a tok wymoszczony, przyniesiono napowrót senną kniaziówkę i złożono ją na miękkich wezglówiach.

Potem uciszyło się wszystko. Tylko w stajni jeszcze przez jakiś czas rozlegały się wśród ciszy wybuchy śmiechu, podobne do końskiego rżenia; — to młoda wiedźma, baraszkując na sianie z młojcami, rozdawała im kułaki i całusy.

ROZDZIAŁ II.

Słońce było już wysoko na niebie, gdy naza-
jutrz kniaziówna otworzyła ze snu oczy.

Wzrok jej padł naprzód na pułap i zatrzymał się na nim długo, poczem obiegł całą komnatę. Wracająca przytomność walczyła jeszcze w dziewczynie z resztkami snu i marzeń. Na twarzy jej odmala-
wało się zdziwienie i niepokój. Gdzie jest? skąd się
wzięła i w czyjej jest mocy? Czy śni jeszcze, czy
widzi na jawie? Co znaczy ten przepych, który ją
otacza? Co się z nią działo dotąd? W tej chwili
straszne sceny wzięcia Baru stanęły nagle przed nią,
jakby żywe. Przypomniła sobie wszystko: rzeź ty-
sięcy narodu, szlachty, mieszczan, księży, zakonnic
i dzieci, pomazane krwią twarze czerni, szyje i gło-
wy poobwijane w dymiące jeszcze trzewia, pijane
wrzaski, ów sądny dzień wycinanego w pień miasta—
nakoniec zjawienie się Bohuna i porwanie. Przypo-
mniła sobie i to, jak w chwili rozpaczyny padła na nóż
nadstawiony własną ręką—zimny pot operlił teraz jej
skronie. Widać nóż ześliznął się jej po ramieniu, bo
czuje tylko trochę bólu, ale zarazem czuje, że żyje,
że wraca jej siła i zdrowie, pamięta wreszcie, że

długo, długo wieszono ją gdzieś w kołysce. Ale gdzie jest teraz? Czy w zamku jakim, czy uratowana, odbita, bezpieczna? I znowu obiega oczyma komnatę. Okienka w niej, jak w chacie chłopskiej, małe, kwadratowe i światła przez nie nie widać, bo zamiast szyb zasłaniają je błony białe. Byłaby to rzeczywiście chata chłopska? Ale nie może być, bo świadczy przeciw temu niezmierny przepych wewnętrzny. Zamiast pułapu, zwiesza się nad dziewczyną jedna ogromna opona z purpurowego jedwabiu w złote gwiazdy i księżycy; ściany niezbyt przestronne, ale całkiem przybrane w makaty; na podłodze leży różnowzory kobierzec, jak żywymi kwiatami uśłany. Okap na kominie okryty perskim tyftykiem; wszędy złote frendzle, jedwabie, aksamity, począwszy od ścian pułapu, aż do poduszek, na których spoczywa jej głowa. Jasne światłoienne, przesiąkając przez błony okienek, rozświeca wnętrze, ale i gubi się w tych purpurach, ciemnych fioletach i szafirach aksamitu, tworząc jakąś uroczą tęczową pomrokę. Książówna dziwi się, oczom nie wierzy. Czy to czary jakie, czy nie wojska księcia Jeremiego odbiły ją z rąk kozackich i złożyły w którym z książęcych zamków?

Dziewczyna złożyła ręce.

— Święta przeczysta! spraw, aby tak się stało, aby pierwsza twarz, która się we drzwiach ukaże, była twarzą obrońcy i przyjaciela.

Wtem przez ciężką lamową kotarę doszły do niej płynące zdaleka dźwięki teorbanu i jednocześnie jakiś głos począł nucić do wtóru znaną pieśń:

„Oj cei lubosti
„Hirše od słabosti!
„Słabost' perebudu,
„Zdorow-že ja budu,
„Wirnoho kochania
„Po wik ne zabudu.“

Kniaziówna podniosła się na łożu, ale w miarę, jak słuchała, oczy jej otwierały się coraz szerzej z przerażenia — wreszcie krzyknęła strasznie i rzuciła się jak martwa na poduszki.

Poznała głos Bohuna.

Ale krzyk jej przedostał się widocznie również przez ściany świetlicy, bo po chwili ciężka kotara zaszeleściła, i sam watażka ukazał się w progu.

Kurcewiczówna zakryła oczy rękoma, a zbieleła i trzęsące się jej wargi powtarzały jakby w gorączce:

— Jezus Marya! Jezus Marya!

A jednak widok, który ją tak przeraził, byłby uradował niejedne oczy dziewczęce, bo aż luna biła od ubioru i twarzy tego mołojca. Dyamentowe guzy jego żupana migotały, jak gwiazdy na niebie, nóż i szabla skrzyły się od klejnotów, żupan ze srebrnej lamy i czerwony kontusz podwoiły piękność jego smagłego oblicza, i tak stał przed nią wysmukły, czarnobrewy, przepyszny, najpiękniejszy ze wszystkich mołojców Ukrainy.

Ale oczy miał zamglone, jakby gwiazdy tumanem przysłonię, i patrzył na nią prawie z pokorą, a widząc, że strach nie ustępuje z jej twarzy, począł mówić niskim i smutnym głosem:

— Nie bój się, kniaziówno!

— Gdziem jest? gdziem jest?—pytała, poglądając na niego przez palce.

— W bezpiecznem miejscu, daleko od wojny. Nie bój się, duszo ty moja miła. Ja cię tu z Baru przywiózł, żeby się tobie krzywda nie stała od ludzi, albo od wojny. Już tam nikogo w Barze nie żywili kozacy, tyś jedna żywa wyszła.

— Co tu waćpan robisz? dla czego mnie prześladujesz?

— Ja ciebie prześladuję! Mój Boże miły! — i watażka ręce rozłożył i począł głową kiwać, jak człowiek, którego wielka niesprawiedliwość spotyka.

— Ja się waćpana boję okrutnie.

— I czemu się boisz? jeśli każesz, ode drzwi się nie ruszę — ja rab twój. Mnie tu na progu siedzieć i w oczy ci patrzeć. Ja ci zła nie chcę; co ty mnie nienawidzisz? Hej Boże miły! ty się w Barze nożem pchnęła na mój widok, choć ty mnie dawno znała i wiedziała, że ja cię bronić idę. Toć ja nie obcy człowiek dla ciebie, ale druh serdeczny, a ty się nożem pchnęła, kniaziówno!

Błade policzki kniaziówny oblały się nagle krwią.

— Bom wołała śmierć niż hańbę — rzekła — i przysięgam, że jeśli mnie nie uszanujesz, to się zabiję, choćbym też i duszę zgubić miała.

Z oczu dziewczyny strzelił ogień — i widział watażka, że niema co żartować z tą krwią Kurcewiczowską, księżęcą, bo w uniesieniu dotrzyma tego czem grozi, a drugim razem lepiej nadstawi noża.

Więc nie odrzekł nic, tylko postąpił parę kroków pod okno i siadłszy na ławie pokrytej złotą lamą, zwiesił głowę.

Przez chwilę trwało milczenie.

— Bądź ty spokojna — rzekł. — Póki ja trzeźwy, póki mnie gorzałka-matka głowy nie zapali, póty ty dla mnie jak obraz w cerkwi. A od czasu jak ja ciebie w Barze znalazł, przestałem pić. Przedtem ja pił, pił, biedę moją gorzałką-matką zalewał. Co było robić! Ale teraz do ust nie wezmę ni słodkiego wina, ni palanki.

Kniaziówna milczała.

— Popatrzę na cię, — mówił dalej — oczy krasnem liczkem ucieszę, taj pójdę.

— Wróc mnie wolność — rzekła dziewczyna.

— Albo ty w niewoli? ty tu pani. I dokąd chcesz wracać? Kurcewiczowie wyginęli, ogień pożarł wsie i grody, kniazia w Łubniach niema, idzie on na Chmielnickiego, a Chmielnicki na niego, wszędy wojna, krew się leje, wszędy pełno kozaków, i ordynców, i żołnierstwa. Kto cię uszanuje, kto się ciebie uzali, kto cię obroni, jeśli nie ja?

Kniaziówna oczy ku górze wzniosła, bo wspominała, że przecie jest ktoś na świecie, ktoby przygarnął i uzalił się, i bronił — ale nie chciała wymówić jego nazwiska, by lwa srogiego nie drażnić — jednocześnie zaś głęboki smutek ścisnął jej serce. Czy jeszcze żyje ten, do którego tęskni jej dusza? Będąc w Barze, wiedziała że żyje, bo zaraz po wyjeździe Zagłoby doszło do jej uszu nazwisko Skrzetuskiego, razem z wieściami o zwycięstwach groźnego księcia. Ale od tej pory ileż to już upłynęło dni i nocy, ile mogło się zdarzyć bitew, ile osiągnąć go niebezpieczeństw! Wieści o nim mogły ją teraz dochodzić tylko przez Bohuna, którego pytać nie chciała i nie śmiała.

Więc głowa opadła jej na poduszki.

— Zali mam więznieć tu pozostać? — pytała z jękiem. — Co ja waćpanu uczyniła, że chodzisz za mną, jak nieszczęście?

Kozak podniósł głowę i począł mówić tak cicho, że zaledwie było go słychać:

— Co ty mnie uczyniła—ne znaju, ale to znaju, że jeśli ja tobie nieszczęście, to i ty mnie nieszczęście. Gdyby ja ciebie nie pokochał, byłby ja wolny jak wiatr w polu, i na sercu swobodny, i na duszy swobodny, a sławny, jak sam Konaszewicz Sahajdaczny. Twoje to liczko mnie nieszczęście, twoje to oczy mnie nieszczęście; ani mnie wola miła, ani sława kozacza! Co mnie były krasawice, póki ty z dziecka na pannę nie wyrosła? Raz ja wziął galerę z najkrańszymi młodyciami, bo je sułtanowi wieźli — i żadna serca nie zabrała. Poigrały kozaki-braty, a potem ja każdej kamień kazał do szyi i w wodę. Nie bał ja się nikogo, nie dbał o nic—wojnę na pogan chodził, łup brał — i jak kniaź w zamku, tak ja był na stepie. A dziś co? Ot, siedzę tu — i rab, o dobre słowo u ciebie żebrzę i wyżebrać nie mogę — i nie słyszał go nigdy, nawet i wtedy, gdy cię bracia i stryjna za mnie swatali. Oj żeby ty, dziewczyno, była dla mnie inna, żeby ty była inna, nie stałoby się to, co się stało; niebyłby ja twoich krewnych pobił, nie byłby ja się z buntem i chłopami bratał; ale przez ciebie ja rozum stracił. Tyby mnie gdzie chciała zawiedła — jaby ci krew oddał, duszęby oddał. Ja teraz ot cały we krwi szlacheckiej ubroczon, ale dawniej ja tylko Tatarów bił, a tobie łup przywoził — żeby ty w złocie i klejnotach chodziła

jak cheruwym Bożyj—czemu ty mnie wtedy nie kochała? Oj ciężko, oj ciężko! żal sercu mojemu... Ni z tobą żyć, ni bez ciebie, ni zdala, ni zblizka—ni na górze, ni na dolinie — hołubko ty moja, serdeńko ty moje! No, daruj ty mnie, że ja przyszedł po ciebie do Rozłogów po kozacku, z szablą i ogniem, ale ja był pijany gniewem na kniaziów i gorzałkę po drodze pił—zbój nieszczęsny! A potem, jak ty mi uciekła, tak ja poprostu jak pies wył, i rany bolały, i jeść nie chciał, i śmierci-matki prosił, żeby zabrała—a ty chcesz, by ja cię teraz oddał, by utracił cię na nowo—hołubko ty moja, serdeńko ty moje!

Watażka przerwał, bo mu głos urwał się w gardle i stał się prawie jęczący, a twarz Heleny to rumieniła się, to bladła. Im więcej niezmiernej miłości było w słowach Bohuna, tem większa przepaść otwierała się przed dziewczyną, bez dna, bez nadziei ratunku.

A kozak odpoczął chwilę, opanował się i tak dalej mówił:

— Proś, czego chcesz. Ot, patrz, jak ta izba przybrana — to moje, to łup z Baru, na sześciu koniach ja dla ciebie to przywiózł—proś czego chcesz—złota żółtego, szat świecących, klejnotów jasnych, rabów pokornych. Ja bogaty, swego mam dość, i Chmielnicki mnie dobra nie pożałuje, i Krzywonos nie pożałuje; ty będziesz jak księżna Wiśniowiecka, zamków ci nazdobywam, pół Ukrainy ci daruję — bo choć ja kozak, nie szlachcic, ale ataman buńczuczny, pode mną dziesięć tysięcy młojców chodzi, więcej niż pod kniazem Jarema. Proś czego chcesz, byleś nie chciała uciekać ode mnie—byleś została ze mną, hołubko, a pokochała!

Kniaziówna podniosła się na poduszkach bardzo blada—ale jej słodka, przecudna twarz wyrażała taką niezłomną wolę, dumę i siłę, że ta gołąbka podobniejszą była w tej chwili do orlęcia.

— Jeśli waćpan mej odpowiedzi czekasz—rzekła— to wiedz, iż choćbym miała wiek w twojej niewoli przejść, nigdy, nigdy cię nie pokocham, tak mi dopomóż Bóg!

Bohun pasował się przez chwilę sam ze sobą.

— Ty mi takich rzeczy nie mów—rzekł chrapliwym głosem.

— Ty mi o swem kochaniu nie mów, bo mi od niego wstyd, gniew i obraza. Jam nie dla ciebie.

Watażka wstał.

— A dla kogoż ty, kniaziówno Kurcewiczówna? a czyjaby ty była w Barze, gdyby nie ja?

— Kto mnie życie ratuje, by mi dać hańbę i niewolę, ten mój wróg, nie przyjaciel.

— I ty myślisz, żeby cię chłopcy zabiły? Strach myśleć...

— Nóżby mnie zabił, tyś mi go wydarł.

— I nie oddam, bo ty musisz być moja — wybuchnął kozak.

— Nigdy! wolę śmierć.

— Musisz i będziesz!

— Nigdy!

— No, żeby ty nie była ranna, to po tem, co ty rzekła, jaby dziś jeszcze pchnął młojców do Raszkowa i mnicha za łeb kazał przyprowadzić, a jutro jaby był twój mąż. Taj co? męża grzech nie kochać i nie przyhołubić. Hej! ty panno wielmożna, tobie miłość kozacka obraza i gniew. A kto ty taka,

że ja dla ciebie chłop? Gdzie twoje zamki, i bojary, i wojska? Czemu tobie gniew? czemu tobie obraza? Ja cię wojną wziął, ty branka. Oj, żeby ja był chłop, jaby cię nahajem po białych plecach rozumu nauczył i bez księdzaby się twoją krasą nasycił — żeby ja był chłop, nie rycerz!

— Anieli niebiescy, ratujcie mnie! — szepnęła kniaziówna.

A tymczasem coraz większa wściekłość wzbierała na twarzy kozaka i gniew chwycił go za włosy.

— Ja wiem— mówił— czemu tobie obraza, czemu ty mi odporna! Dla innego chowasz swój wstyd dziewiczy—ale nic z tego, jakom żyw, jakom kozak! Szlachcic hołota! oczajdusza Lach nieszczery! Na pohybel-że jem! Ledwie spojrzał, ledwie w tańcu zakręcił, i całą wziął, a ty, kozacze, cierp, łbem tłucz! Ale ja jego dostanę i ze skóry każę go obedrzeć, ćwiekami nabić. Wiedz ty, że idzie Chmielnicki na Lachów, a ja idę z nim — i twego hołubka odnajdę, choćby pod ziemią, a jak wrócę, to ci wrażę jego głowę na gościniec pod nogi kinę.

Helena nie słyszała ostatnich słów atamana. Ból, gniew, rany, wzruszenie, przestach, zbawiły ją sił—słabość niezmierna rozeszła się po wszystkich jej członkach, oczy i myśli jej zgasły—i padła zemdlona.

Watażka stał czas jakiś błądząc z gniewu, z pianą na ustach — wtem dostrzegł tę martwą głowę zwieszoną w tył bezwładnie, i z ust jego wyrwał się ryk prawie nieludzki.

— Wże po nej! Horpyna! Horpyna! Horpyna!
I na ziemię runął.

Olbrzymka wpadła co duch do świetlicy.

— Szczo s tobojnl

— Ratu! ratuj! — wołał Bohun. — Zabił ja ją...
duszu moju, światło moje.

— Szczo ty zduriw?

— Zabił, zabił! — jęczał watażka i ręce nad głowę łamał.

Ale Horpyna, zbliżywszy się do kniaziówny, wnet poznała, że to nie śmierć, jeno omdlenie ciężkie i wyprawivszy za drzwi Bohuna, zaczęła ją ratować.

Kniaziówna otworzyła po chwili oczy.

— No, doniu, nic ci — mówiła czarownica. — Ty się widać jego przelekła i pomroka cię chwyciła — ale pomroka przejdzie, a zdrowie przyjdzie. Ty jak orzech dziewczyna, tobie długo jeszcze na świecie żyć i szczęścia używać.

— Ktoś ty jest? — spytała słabym głosem kniaziówna.

— Ja? sługa twoja — bo on tak kazał.

— Gdzie ja jestem?

— W Czortowym Jarze. Szczera tu pustynia, nikogo tu nie zobaczysz, prócz niego.

— Czy i ty tu mieszkasz?

— Tu nasz futor. Ja Dońcówna, brat mój pod Bohunem pułkownikuje, dobrych mołojców wodzi, a ja tu siedzę — i będę ciebie pilnowała, w tej komnacie złocistej. Z chaty terem! aż łuna bije! to on dla ciebie wszystko to przywiózł.

Helena popatrzała w hożą twarz dziewczki i twarz ta wydała jej się pełną szczerości.

— A będziesz ty dobra dla mnie?

Białe zęby młodej wiedźmy zabłyśły w uśmiechu.

— Będę. Zaś-bym nie była!— rzekła— ale i ty bądź dobrą dla atamana. On sokół, on sławny mołojec, on ci...

Tu wiedźma schyliła się do ucha Heleny i zaczęła jej coś szeptać, w końcu wybuchnęła śmiechem.

— Precz! — krzyknęła kniaziówna.

ROZDZIAŁ III.

Rankiem, we dwa dni później, Dońcówna z Bohunem siedzieli pod wierzbą, wedle młyńskiego koła, i patrzali na pieniącą się na niem wodę.

— Będziesz jej pilnowała, będziesz jej strzegła, oka z niej nie spuścisz, żeby nigdy z jaru nie wychodziła — mówił Bohun.

— U jaru ku rzece wążka szyja, a tu miejsca dosyć. Każ szyję kamieniami zasypać, a będziem tu jak w garnku na dnie; jak mnie będzie trzeba, to sobie wyjście znajdę.

— Czemże wy tu żyjecie?

— Czeremis pod skałami kukurydzę sadzi, wino sadzi i ptaki w sidła łapie. Z tem, co ty przywiózł, nie będzie jej niczego brakowało, chyba ptasiego mleka. Nie bój się, już ona z jaru nie wyjdzie, i nikt się o niej nie dowie, byle twoi ludzie nie rozgadali, że ona tu jest.

— Ja im kazał przysiąc. Oni wierni molojcy, nie rozgadają, choćby z nich pasy darli. Ale ty sama mówiła, że tu ludzie przychodzą do ciebie, jako do worożychy.

— Czasem z Raszkowa przychodzą, a czasem jak zasłyszają, to i Bóg wie skąd. Ale zostają przy

rzece, do jaru nikt nie wchodzi, bo się boją. Ty widział kości. Byli tacy, co chcieli przyjść, to ich kości leżą.

— Ty ich mordowała?

— Kto mordował, to mordował! Chce kto wróby, czeka u jaru, a ja do koła idę. Co zobaczę w wodzie, to pójdę i powiem. Zaraz i dla ciebie będę patrzała, jeno nie wiem, czy się co pokaże, bo nie zawsze widać.

— Byleś co złego nie zobaczyła.

— Jak będzie co złego, to nie pojedziesz. I tak-bys lepiej nie jechał.

— Muszę. Do mnie Chmielnicki pismo do Baru pisał, żeby ja wracał, i Krzywonos przykazywał. Teraz na nas Lachy z wielką siłą idą, więc i my musimy do kupy.

— A kiedy wrócisz?

— Nie znaju. Będzie wielka bitwa, jakiej jeszcze nie bywało. Albo nam śmierć, albo Lachom. Jeśli nas pobiją, to tu się schronię, jeśli my pobijemy — to wrócę po moją zazulę i do Kijowa z nią pojedę.

— A jak zginiesz?

— Od tego ty worożycha, żebym wiedział.

— A jak zginiesz?

— Raz maty rodyla.

— Ba! A co ja mam z dziewczyną wtedy robić? Głowę jej ukręcić, czy jak?

— Dotknij ty jej ręką, a ja cię każę wołami na pal nawlec.

Watażka zamyslił się ponuro.

— Jeśli zginę, tak ty jej powiedz, żeby mnie ona prostyla.

— Hej, newdiaczna to Laszka, że za takie kochanie cię nie kocha. Żeby tak na mnie, jaby ci nie była oporna — hu! hu!

To mówiąc, Horpyna trąciła po dwakroć kułakiem w bok watażkę i pokazała mu wszystkie zęby w uśmiechu.

— Idź-że ty do czorta! — rzekł kozak.

— No, no! wiem ja, że ty nie dla mnie.

Bohun zapatrzył się w spienioną wodę na kole, jakby sam chciał sobie wróżyć.

— Horpyna! — rzekł po chwili.

— A co?

— Jak ja pojedę, czy ona będzie po mnie tużyła?

— Kiedy ty nie chcesz jej po kozacku zniewolić, to może i lepiej, że sobie pojedziesz.

— Ne chcocz, ne mohu, ne smiju! Ja wiem, że onaby umarła.

— To może lepiej, że pojedziesz. Póki ona cię widzi, nie chce ciebie i znać, ale jak posiedzi ze mną i z Czeremisem miesiąc, dwa — będziesz jej zaraz miłszy.

— Gdyby ona była zdrowa, tak wiem, co by ja zrobił. Sprowadziłby popa z Raszkowa i kazał sobie ślub dać, ale teraz się boję, bo jak się przełęknie— duszę odda. Samaś widziała.

— Daj-że ty pokój. A poco tobie pop i ślub? Nie szczery ty kozak—nie! Ja tu nie chcę ani popa, ani księdza. W Raszkowie stoją Tatarzy dobrudzey, jeszczeby ty ich na kark nam sprowadził, a jakby sprowadził, tak tyleby widział kniaziównę. Co tobie do głowy przyszło? Jedź-że sobie i wracaj!

— A ty patrz w wodę i mów, co ujrzysz. Mów prawdę, a nie iżyj, choćby ty mnie nieżywego ujrzała.

Dońcówna zbliżyła się do koryta młyńskiego i podniosła drugą zastawę, wstrzymującą wodę krynicznego wodospadu; wnet wartka fala napłynęła zdwojonym pędem przez koryto; koło zaczęło się obracać szybciej, aż wreszcie zakrył je pył wodny; zbita na miazgę piana kłębiła się pod kołem, jak ukrop.

Wiedźma wpiła swoje czarne oczy w owe wary i chwyciwszy się za warkocze koło uszu, poczęła wołać:

— Hukul hukul pokaż się! W kole dębowem, w pianie białej, w tumanie jasnym, zły ty, czy dobry, pokaż się!

Bohun zbliżył się i siadł przy niej. Twarz jego wyrażała obawę i gorączkową ciekawość.

— Widzę! — krzyknęła wiedźma.

— Co widzisz?

— Śmierć mego brata. Dwa woły Dońca na pal naciągają.

— Do czorta z twoim bratem! — mruknął Bohun, który czego innego chciał się dowiedzieć.

Przez chwilę słychać było tylko hurkot koła, obracającego się jakby ze wściekłością.

— Sina u mego brata głowa, sineńka, kruki go dziobią! — rzekła wiedźma.

— Co więcej widzisz?

— Nic. O, jaki siny! Hukul hukul w kole dębowem, w pianie białej, w tumanie jasnym, pokaż się! Widzę!

— A co?

— Bitwa! Lachy uciekają przed mołojcami.

— A ja gonię?

— Widzę i ciebie. Ty się z małym rycerzem potykasz. Hurl! hurl! hurl! Ty się małego rycerza strzeż!

— A kniaziówna?

— Niema jej. Widzę cię znowu, a przy tobie ktoś, kto cię zdradzi. Twój druh nieszczerzy.

Bohnan pożerał oczyma to piany, to Horpynę — i jednocześnie pracował głową, by pomódz wróżbom.

— Jaki druh?

— Nie widzę. Nie wiem, stary czy młody.

— Stary! pewno stary!

— Może i stary.

— To wiem, kto on. On mnie już raz zdradził. Stary szlachcic z siwą brodą i z białem okiem. Na pohybel-że jemul! Ale on mnie nie druh.

— On dybie na ciebie. Widzę znowu. Czeka! jest i kniaziówna! jest, w wianku rucianym, w białej sukni, nad nią jastrząb.

— To ja.

— Może i ty. Jastrząb... czy sokół? Jastrząb!

— To ja.

— Czeka! Już nie widać... W kole dębowem, w pianie białej... O! o! mnogo wojska, mnogo mołojców, oj, mnogo! jak drzew w lesie, jak bodiaków w stepie, a ty nad wszystkimi, przed tobą trzy buńczuki noszą.

— A kniaziówna przy mnie?

— Niema jej; ty w obozie.

Znowu nastała chwila milczenia. Koło huczało, aż się cały młyn trząsał.

— Hej, co tu krwi! co tu krwi! co trupów! wilcy nad nimi, krucy nad nimi! — zaraza nad nimi!

Same trupy! same trupy! hen! hen! tylko trupy! nie widać nic, tylko krew!

Nagle powiew wiatru zwał tuman z koła — a jednocześnie wyżej, nad młynem, ukazał się potworny Czeremis, z wiązką drzewa na plecach.

— Czeremis, załóż stawidło! — zawołała dziewczka.

To rzekłszy, poszła umywać ręce i twarz w strudze, a karzeł zahamował tymczasem wodę.

Bohun siedział zamyślony. Zbudziło go dopiero nadejście Horpyny.

— Ty nic więcej nie widziała? — spytał ją.

— Co się pokazało, to się pokazało, nic więcej nie obaczę.

— A nie łziesz?

— Na głowę brata, prawdę mówiłam. Jego na pal wsadzą. Wołami za nogi naciągną. Mnie jego żal. Hej, nie jemu jednemu śmierć pisała! Co się trupów pokazało! nigdy tyle nie widziałam; będzie wielka wojna na świecie.

— A ją ty widziała z jastrzębiem nad głową?

— Tak jest.

— I ona była w wianku?

— W wianeczku i w białej sukni.

— A skąd ty wiesz, że ten jastrząb to ja? Ja tobie o tym młodym Lachu szlachcicu powiadał; może to on?

Dziewka zmarszczyła brwi i zadumała się.

— Niel — rzekła po chwili, wstrząsając głową — kołyby buw Lach, toby buw oręł.

— Sława Bohu! sława Bohu! Pójdę ja teraz do mołojców, żeby konie do drogi gotowali. W nocy ruszymy.

— Taki koniecznie pojedziesz.

— Chmiel przykazywał i Krzywonos przykazywał. Ty dobrze widziała, że będzie wielka wojna, bo to samo ja w Barze, w piśmie od Chmiela, czytał.

Bohun wprawdzie nie umiał czytać, ale wstydził się tego, bo nie chciał za prostaka uchodzić.

— To i jedź! — rzekła wiedźma. — Ty szczęśliwy, hetmanem zostaniesz, ja ot tak nad tobą trzy buńczuki widziała, jako te palce widzę.

— I hetmanem zostanę i kniaziównę za żynku wezmę, mnie nie chłopkę brać.

— Z chłopką tyby inaczej gadał, ale tej cię wstyd. Ty powinien być Lachem.

— Ja-że ne hirszy.

To rzekłszy, Bohun poszedł do stajni, do młojców, a Horpyna jedzenie warzyć.

Wieczorem konie były gotowe do drogi, ale watażce niesporo było odjeżdżać. Siedział na pęku kobierców w świetlicy, z teorbanem w ręku i patrzył na swoją kniaziównę, która już podniosła się z łoża, ale zasunawszy się w drugi kąt izby, odmawiała cicho różaniec, nie zwracając żadnej uwagi na watażkę, tak, jakby go wcale w świetlicy nie było. On, przeciwnie, śledził z pod ściany oczyma każdy jej ruch, łowił uszami każde westchnienie — i sam nie wiedział, co z sobą zrobić. Co chwila otwierał usta, by rozpocząć rozmowę, i słowa nie chciały mu wychodzić z gardła. Onieśmiałała go twarz blada, milcząca, z wyrazem pewnej surowości w brwiach i ustach. Tego wyrazu nie widywał poprzednio na niej Bohun. I mimowoli przypomniawszy sobie podobne wieczory w Rozłogach, i stanęły mu w myśli jakoby

żywe, jako siadali on i Kurcewicz naokół dębowego stołu. Stara kniahyni łuszczyła słoneczniki, kniazie rzucali kości z kubka — on wpatrywał się w śliczną kniaziównę, tak, jak i teraz się wpatruje. Ale wówczas bywał szczęśliwy, wówczas, gdy opowiadał swe wyprawy z siczowymi — ona słuchała — i czasem jej czarne oczy spoczywały na jego twarzy, a rozchylone usta malinowe świadczyły, z jakim słuchała zajęciem. Teraz ani spojrzała. Wówczas bywało, gdy grywał na teorbanie, ona i słuchała, i patrzyła, a jemu aż serce tajało. I dziw nad dziwy: on przecie teraz jej pan, on ją wziął zbrojną ręką, ona jego branka, jego niewolnica — może jej rozkazywać, a przecie wówczas czuł się i bliższym jej i równiejszym jej stanem. — Kurcewicz byli jego bracia, więc ona, ich siostra, była mu nie tylko zazulą, sokołem, najmilszą czarnobrewą, ale jakby i krewniaczką. A teraz siedzi przed nim pani dumna, chmurna, milcząca, niemiłosierna. Ej, gniew w nim wrze. Pokazałby on jej, co to kozaka poniewierać, ale on tę niemiłosierną panią kocha — krew za nią wytoczył, a ile razy gniew go za pierś pochwyci — to jakby jakaś niewidzialna ręka chwytą go za czub, jakiś głos huknie w ucho: „stój!“ Zresztą, ot, wybuchął już jak płomień i potem łbem tłukł o ziemię. Tyle było z tego. Więc wije się kozaczysko, bo czuje, że on jej cięży w tej izbie. Niechby się uśmiechnęła, słowo dobre dała — to padłby jej do nóg i pojechał do czorta, by całą swoją zgryzotę, gniew, poniewierkę w lackiej krwi utopić. A tu on jak niewolnik przed tą kniaziówną. Gdyby to on jej dawniej nie znał, gdyby to była Laszka, wzięta z pierwszego

szlacheckiego dworu, miałby więcej śmiałości — ale to kniaziówna Helena, o którą on się Kurcewiczom kłaniał, za którą i Rozłogi, i wszystko co miał, chciał oddać. Tem mu większy wstyd chłopem być przy niej, tem mniej do niej śmiały.

Czas upływa, z przed chaty dochodzi szmer rozmów młojców, którzy pewnie już na kulbakach siedzą i na atamana czekają, a ataman w męce. Jasny płomień łuczywa pada na jego twarz, na bogaty kontusz i na teorban — a ona, żeby choć spojrzał! Atamanowi i gorzko, i gniewno, i tęskno, i głupio. Chciałby się pożegnać czule, a boi się tego pożegnania, że nie będzie takie, jakiegoby z duszy pragnął, boi się, że odjedzie z goryczą, z gniewem, z bolem.

Ej! gdyby to nie była kniaziówna Helena, kniaziówna Helena nożem pchnięta, śmiercią z własnej ręki grożąca, a miła, a miła! im okrutniejsza i dumniejsza, tem miłsza!...

Wtem koń zarżał za oknem.

Watażka zebrał odwagę.

— Kniaziówno! — rzekł — już mnie czas w drogę. Helena milczała.

— A ty mnie nie powiesz: z Bogiem?

— Jedź wacpan z Bogiem! — rzekła poważnie.

Kozakowi ścisnęło się serce: powiedziała to, czego chciał, ale on chciał inaczej.

— No, wiem ja — rzekł — że ty na mnie gniewna, że ty mnie nienawidzisz, ale to ci powiem, że inny gorszyby był dla ciebie ode mnie. Ja cię tu przywiozł, bo nie mógł inaczej, ale co ja ci złego zrobił? Czy nie obchodził się z tobą, jak się godziło, jak z korolewną? Sama powiedz. Czy to ja już taki

zbój, że ty mnie dobrego słowa nie dasz? A przecie ty w mojej mocy.

— W Bożej jestem mocy — rzekła z tą samą jak i poprzednio powagą — ale że waćpan się przy mnie hamujesz, dziękuję i za to.

— To już pojedę, chociaż z takim słowem. Może pożałujesz, może zatęsknisz!

Helena milczała.

— Żal cię tu samą zostawić — mówił Bohun — żal odjeżdżać, ale mus. Lżejby było, żeby ty się uśmiechnęła, żeby krzyżyk ze szczerego serca dała. Co ja mam uczynić, żeby cię przejednać?

— Wróć mi wolność, a Bóg ci wszystko odpuści, i ja ci odpuszczę, i błogosławić ci będę.

— No, może jeszcze będziesz — rzekł kozak — może ty jeszcze pożałujesz, żeś taka była dla mnie sroga.

Bohun chciał kupić chwilę pożegnania, choćby za pół-obietnicę, której dotrzymać nie myślał — i dokazał swego, bo światło nadziei błysnęło w oczach Heleny i surowość z jej twarzy znikła. Splotła dłonie przy piersiach i utkwiała w niego wzrok jasny.

— Byłżebyś ty...

— No, ne znaju — rzekł cicho kozak, bo go i wstyd i litość chwyciły jednocześnie za gardło. — Teraz ja nie mogę, nie mogę — orda w Dzikich Polach leży, czambuły wszędy chodzą — od Raszkowa dobrudzczy Tatarzy idą — ne mohu, bo strach, ale jak wrócę... Ja przy tobie detyna. Ty ze mną co chcesz zrobisz. Ne znaju... ne znajul...

— Niech cię Bóg natchnie, niechże cię Święta Przeczysta natchnie... Jedź z Bogiem!

I wyciągnęła ku niemu rękę. Bohun skoczył i wpił w nią wargi — nagle podniósł głowę, napotkał jej wzrok poważny — i rękę puścił. Natomiast, cofając się ku drzwiom, bił pokłony w pas po kozacku, bił jeszcze we drzwiach i wreszcie zniknął za kotarą.

Wkrótce przez okna doszedł żywszy gwar rozmowy, brzęk broni, a później słowa pieśni, połamanej na kilkanaście głosów:

Bude sława sławna
Pomeż kozakami,
Pomeż druhami,
Na dowhija lita,
Do kińca wika...

Głosy i tętent oddalały się i cichły coraz bardziej.

ROZDZIAŁ IV.

— Cud jawny już Pan Bóg raz nad nią okazał— mówił pan Zagłoba do Wołodyjowskiego i Podbipięty, siedząc w kwaterze Skrzetuskiego — cud jawny, mówię, że mi ją pozwolił z tych rąk sobaczych wyrwać i przez całą drogę ustrzedz; ufajmy, że się jeszcze nad nią i nad nami zmiłuje. Byle tylko żywa była. A tak mi coś szepce, że on ją znowu porwał. Bo uważcie waszmościowie: przecie, jako nam języki powiadały, on po Puljanie przy Krzywonosie drugim sprawcą został — żeby go dyabli sprawili! — a więc przy wzięciu Baru musiał być.

— Mógł jej nie odnaleźć w owym tłumie nieszczęśnych; przecie tam na dwadzieścia tysięcy ludu wycięto — rzecze pan Wołodyjowski.

— To jego waść nie znasz. A jabym przysiągł, iż on wiedział, że ona jest w Barze. Owóż nie może być inaczej, tylko on ją z rzezi salwował i gdzieś wywiózł.

— Niewielką nam waść pociechę powiadasz, bo na miejscu pana Skrzetuskiego wolałbym, żeby zginęła, niż żeby miała w jego plugawych rąku zostawać.

— I to nie pociecha, bo jeśli zginęła, to pohańbiona...

— Desperacya! — rzecze Wołodajowski.

— Och, desperacya! — powtórzył pan Longinus.

Zagłoba począł szarpać wás i brodę, nakoniec wybuchnął:

— A żeby ich parchy zjadły, cały ten ród arcypieskil żeby z ich bebeczów poganie cięciwy pokęcili! Bóg stworzył wszystkie nacye, ale ich dyabeł, takich synów, sodomitów! Bodaj im wszystkie ich maciory zjałowiały!

— Nie znałem ja tej słodkiej panny — mówił smutnie pan Wołodajowski—ale wolałbym, żeby mnie samego nieszczęście pościgło.

— Raz ja ją w życiu widziałem, ale gdy ją wspomnę, z żalu żyć hadko!—rzekł pan Longinus.

— To wam—wołał pan Zagłoba—a cóż mnie, którym ją ojcowskim afektem umiłował i z toni takiej wyprowadził—cóż mnie?

— A cóż panu Skrzetuskiemu?—pytał Wołodajowski.

I tak desperowali rycerze, a następnie pograżyli się w milczeniu.

Pierwszy ocknął się pan Zagłoba.

— Zali już niema rady?—spytał.

— Jeśli rady niema, to obowiązek jest pomścić—odpowiedział Wołodajowski.

— Oby Bóg dał prędzej walną bitwę!—westchnął pan Longinus.—Mówią o Tatarach, że już się przeprawili i w polach koszem zapadli.

Na to pan Zagłoba:

— Nie może być, abyśmy ją niebogę tak zostawili, niczego dla jej ratunku nie przedsięwzięć. Dość ja już się po świecie starych kości natłukłem, lepiejby

mi teraz gdzie w spokoju, w jakiej piekarni dla ciepła legiwać, ale dla tej niebogi pójdę jeszcze choćby do Stambułu, choćbym nanowo chłopską siermięgę miał włożyć i teorban wziąć, na który bez abominacyi spojrzeć nie mogę.

— Waćpan tak w fortele obfity, wymyślże co— rzekł pan Podbipięta.

— Siła mnie już sposobów przez głowę przechodziło. Gdyby choć połowę takich miał książę Dominik, toby już Chmielnicki wypatroszony za zadnie nogi na szubienicy wisiał. Mówilem już o tem i ze Skrzetuskim, ale z nim się teraz nie można niczego dogadać. Bolesć się w nim zapiekła i nurtuje go gorzej choroby. Wy jego pilnujcie, żeby mu się rozum nie pomieszał. Często się trafia, że od wielkich smutków *mens* poczyną robić jak wino, aż w końcu skiśnie.

— Bywa to, bywał — rzekł pan Longinus.

Pan Wołodyjowski poruszył się niecierpliwie i spytał:

— Jakież tedy są waści sposoby?

— Moje sposoby? Owóż naprzód musimy się dowiedzieć, czy ona nieboga najmiłsza—niech ją anieli strzegą od wszystkiego złego!—żywa jeszcze, a dowiedzieć się możemy dwojakim sposobem: albo znajdziemy między książęcymi kozakami ludzi wiernych i pewnych, którzy się podejmą niby to do kozaków uciec, pomieszać się między Bohunowymi ludźmi i od nich czegoś się dowiedzieć...

— Ja mam dragonów Rusinów! — przerwał Wołodyjowski — ja takich ludzi znajduję.

— Czekaj waść... albo złapać języka z tych

hultajów, którzy Bar brali, czy czego nie wiedzą. Wszyscy oni patrzą w Bohuna jak w tęczę, że to im się jego dyabelska fantazyja podoba: pieśni o nim śpiewają, — żeby im gardziele poropiały! — i jeden drugiemu bają o tem co zrobił i o tem czego nie zrobił. Jeśli on naszą niebogę porwał, to się przed nimi nie ukryło.

— To można i ludzi posłać swoją drogą, i o języka się starać swoją drogą — zauważył pan Podbięta.

— Trafieś waść w sedno. Jeśli się dowiemy, że żyje — to jest najgłówniejsza rzecz. Wtedy, skoro waszmościowie szczerem sercem Skrzetuskiemu pomagać chcecie, to oddacie się pod moją komendę, bo mam najwięcej eksperyencyi. Poprzebieramy się za chłopów i postaramy się dowiedzieć, gdzie on ją ukrył — a jak raz będziemy wiedzieli, to już głowa moja w tem, że jej dostaniemy. Najwięcej ważę ja i Skrzetuski, bo Bohun nas zna, a jakby poznał — no, toby nas matki rodzone potem nie poznały, ale waszmościów obydwóch nie widział.

— Mnie widział — rzekł pan Podbięta — ale mniejsza z tem.

— Może też jego Pan Bóg poda w nasze ręce! — zawołał pan Wołodyjowski.

— Już ja go tam nie chcę widzieć — mówił dalej Zagłoba. — Niech tam kat na niego patrzy. Trzeba ostrożnie poczynać, by całej imprezy nie popsować. Nie może to być, aby on jeden o jej ukryciu wiedział, a już to rękę waszmościom, że bezpieczniej kogo innego się pytać.

— Może też ludzie nasi wysłani się dowiedzą.

Jeśli tylko księżę pozwoli, wybiorę pewnych i wyślę choćby jutro.

— Księżę pozwoli, ale czy się dowiedzą, wątpię. Posłuchajcie waszmościowie: przychodzi mi do głowy i drugi sposób, oto abyśmy zamiast ludzi wysyłać, albo języków łapać, sami poprzebierali się po chłopsku i ruszyli, nie mieszkając.

— O, nie może to być!—zakrzyknął pan Wołodjowski.

— Czemu nie może być?

— To chyba waść służby wojennej nie znasz. Gdy chorągwie *ne mine excepto* stawają, to jest święta rzecz. Choćby ojciec i matka konali, to towarzyszyć ci nie pójdzie wtedy permissi odjazdu prosić, bo przed bitwą to jest największy dyshonor, jakiego się żołnierz dopuścić może. Po bitwie walnej, gdy nieprzyjaciół rozproszon, można, ale nie przedtem. I uważ waść: Skrzetuskiemu pierwszemu chciało się zrywać, i lecieć i ratować, a ani pary nie puścił. Reputację on już ma, księżę go kocha, a ani się odezwał, bo swój obowiązek zna. To jest, widzisz waszmość, służba publiczna, a tamto prywatna. Nie wiem, jak tam gdzieindziej, choć mniemam, że wszędzie tak samo, ale u księcia naszego wojewody niebywała rzecz permissya przed bitwą, jeszcze u oficerów! Choćby się też i dusza podarła Skrzetuskiemu, nie poszedłby z taką propozycją do księcia.

— Rzymianin on jest i rygorysta, wiem — mówił pan Zagłoba—ale żeby tak kto księciu podszeptnął, możeby jemu i waszmościom z własnej woli dał permissyę.

— Ale to jemu w umyśle nie postoi. Książę całą Rzeczpospolitą ma na głowie. Cóż waćpan myślisz, teraz tu najważniejsze sprawy się walą, całego narodu tyjące—żeby on się czyjaś prywatą zajmował? A choćby też, co jest niepodobne, nieproszonej permisję dał, tedy jak Bóg na niebie, niktby z nas teraz z obozu nie wyruszył, bo i my też pierwsze służby ojczyźnie nieszczęsnej, nie sobie powinni.

— Wiem ci ja o tem, wiem, i służbę z dawnych czasów znam, dlatego też powiedziałem waszmości, że ten sposób przeszedł mi jeno przez głowę, ale nie powiedziałem, że w niej siedzi. Zresztą, prawdę rzekłszy, póki potęga hultajska stoi nienaruszona, niewielebyśmy mogli wskórać, ale gdy będą pobici, ścigani, gdy własne gardła będą tylko ratowali, wtedy i zapuścić się śmiało między nich możemy, i łatwiej wieści z nich wydobyć. Oby tylko jak najprędzej reszta wojska nadciągnęła, bo inaczej na śmierć się chyba pod tym Czołhańskim Kamieniem zamartwimy. Żeby tak przy naszym księciu była komen-da, jużbyśmy ruszali, ale książę Dominik często gęsto widać popasa, kiedy go dotąd niema.

— We trzech dniach już się go spodziewają.

— Dajże go Boże jak najprędzej! Wszakże pan podczaszy koronny dziś nadciąga?

— Tak jest.

W tej chwili drzwi się otworzyły i wszedł pan Skrzetuski.

Rysy jego, rzekłbyś, boleść z kamienia wyko-wała, taki bił od niej chłód i spokój.

Dziwno było patrzeć na tę twarz młodą, a tak surową i poważną, jakby na niej uśmiech nigdy nie

postał — i zgadłbyś łatwo, że gdy ją śmierć zetnie, wiele w niej już nie zmieni. Broda wyrosła panu Janowi do wpół piersi, a w tej brodzie, wśród czarnego jak krucze pióra włosa, wiły się tu i owdzie srebrne nitki.

Towarzysze i wierni przyjaciele odgadywali w nim raczej boleść, bo jej nie okazywał. Wreszcie był przytomny, napozór spokojny, w służbie swej żołnierskiej jeszcze prawie niż zwykle pilniejszy i cały blizką wojną zajęty.

— Mówiliśmy tu o nieszczęściu waszmości, które zarazem jest i nasze — rzekł pan Zagłoba — gdyż Bóg świadkiem, niczem się pocieszyć nie możemy. Ale jałowy byłby to sentyment, gdybyśmy waćpanu łzy jeno wylewać pomagali, przeto postanowiliśmy i krew wylać, by oną niebogę, jeśli chodzi jeszcze po ziemi, z niewoli wyrwać.

— Bóg zapłać! — rzecze pan Skrzetuski.

— Pójdziemy z tobą choćby do obozu Chmielnickiego — mówił pan Wołodyjowski, poglądając niepokojnie na przyjaciela.

— Bóg zapłać! — powtórzył pan Jan.

— Wiemy — mówił Zagłoba — żeś waćpan sobie poprzysiągł szukać jej żywej czy martwej, przeto gotowiśmy choćby dziś...

Skrzetuski, siadłszy na ławie, oczy wbił w ziemię i nie odrzekł nic, aż złość porwała Zagłobę.

— Zali by on miał zamiar jej zaniechać? — pomyślał. — Jeśli tak, niech-że mu Bóg sekunduje! Nie masz widzę ani wdzięczności, ani pamięci na świecie. Ale znajdą się tacy, którzy będą ją jeszcze ratowali, chybabym wprzód ostatnią parę wypuścił.

W izbie zapanowało milczenie, przerywane tylko westchnieniami pana Longina. Tymczasem mały Wołodyjowski zbliżył się do Skrzetuskiego i trącił go w ramię:

— Skąd wracasz? — rzekł.

— Od księcia.

— I co?

— Wychodzę na noc podjazdem.

— Daleko?

— A pod Jarmolińce, jeśli będzie wolna droga.

Wołodyjowski spojrzał na Zagłobę i zrozumieł się odrazu.

— To ku Barowi? — mruknął Zagłoba.

— Pójdziemy z tobą.

— Musisz iść po permisję i spytać, jeśli księżę innej roboty ci nie przeznaczył.

— To chodźmy razem. Mam też i o coś innego spytać.

— I my z wami — rzekł Zagłoba.

Wstali i poszli. Kwatera książęca była dość daleko, na drugim końcu obozu. W przedniej izbie zastali też pełno oficerów z pod różnych chorągwi, bo wojska zewsząd nadciągały do Czołhańskiego Kamienia, wszyscy zaś biegli służby swoje księciu polecić. Pan Wołodyjowski musiał dość długo czekać, nim razem z panem Podbipiętą przed obliczem pańskim stanąć mogli, ale zato księżę odrazu pozwolił, i samym jechać, i dragonów Rusinów kilku wysłać, którzyby, zmyśliwszy ucieczkę z obozu, poszli do Bohunowych kozaków i tam się o kniaziównę wypytawali. Do Wołodyjowskiego zaś rzekł:

— Sam ja funkcje różne Skrzetuskiemu wynaj-

duję, bo widzę, że się boleść w nim zamknęła i że go stoczy, a szkoda mi go niewypowiedziana. Nic-że on wam o niej nie mówił?

— Mało co. W pierwszej chwili zerwał się, żeby między kozaków naoslep iść, ale przypomniał sobie, że to teraz chorągwie *nomine excepto* stoją, i żeśmy na ojczyzny ordynansie, którą przed wszystkim ratować trzeba, i dlatego u waszej książęcej mości wcale nie był. Bóg jeden wie co się w nim dzieje.

— I doświadcza go też ciężko. Czuwajże wasze nad nim, bo widzę, żeś mu wiernym przyjacielem.

Pan Wołodyjowski skłonił się nisko i wyszedł, bo w tej chwili wszedł do księcia wojewoda kijowski z panem starostą stobnickim, z panem Denhofem, starostą sokalskim, i z kilku innymi dygnitarzami wojskowymi.

— I cóż? — spytał go Skrzetuski.

— Jadę z tobą, jeno wpierw muszę pójść do swojej chorągwi, bo mam kilku ludzi gdzieś wysłać.

— Chodźmy razem.

Wyszli, a z nimi pan Podbipięta, Zagłoba i stary Zaćwilichowski, który szedł do swojej chorągwi. Niedaleko namiotów chorągwi dragońskiej Wołodyjowskiego, spotkali pana Łaszczę, idącego, a raczej taczającego się, na czele kilkunastu szlachty, gdyż i on i towarzysze byli zupełnie pijani. Na ten widok pan Zagłoba westchnął. Pokochali się oni bowiem jeszcze pod Konstantynowem z panem strażnikiem koronnym z tej przyczyny, iż pod pewnym względem mieli natury tak podobne, jak dwie krople wody. Pan Łaszcz bowiem, choć rycerz straszliwy,

dla pogaństwa jak mało kto groźny, był zarazem przesławnym hulaką, ucztownikiem, kosterą, który czas, od bitew, modlitw, zajazdów i zabijatyk wolny, lubił nadewszystko spędzać w kole takich ludzi, jak pan Zagłoba, pić na umór i krotofil słuchać. Był to warchoł na wielką rękę, który sam jeden tyle wzniecał niepokoju, tyle razy przeciw prawu wykroczył, że w każdym innem państwie byłby dawno głową nałożyl. Ciężyla też na nim niejedna kondemnata, ale on nawet w czasie pokoju niewiele sobie z nich robił, a teraz w czasie wojny tembardziej wszystko poszło w zapomnienie. Z księciem połączył się był pod Rosłowcami i niemałe usługi pod Konstantynowem oddał, ale od chwili odpoczynku w Zbarażu, stał się prawie nieznośny przez hałasy, które wzniecał. Swoją drogą niktby nie zliczył i nie spisał, ile pan Zagłoba wina u niego wypił, ile się nagadał i naopowiadał, z wielką uciechą gospodarza, który też go codziennie zapraszał.

Ale od wieści o wzięciu Baru pan Zagłoba spośpniał, stracił humor, werwę i więcej pana strażnika nie odwiedzał. Myślał nawet pan Łaszcz, że gdzieś od wojska ów jowialny szlachcic odjechał, gdy nagle zobaczył go teraz przed sobą.

Wyciągnął tedy ku niemu ręce i rzekł:

— Witam-że waćpana! Czemu to do mnie nie zajdziesz? co porabiasz?

— Panu Skrzetuskiemu towarzyszę — odparł pośpnie szlachcic.

Pan strażnik nie lubił Skrzetuskiego za powagę i przezywał go sensatem, zaś o nieszczęściu jego wiedział doskonale, bo był obecny na owej uczcie

w Zbarażu, w czasie której wieść przysłała o wzięciu Baru. ~~ww Ale jakoż natury~~ człek wyuzdany, a do tego w tej chwili spity, nie uszanował boleści ludzkiej i chwyciwszy porucznika za guz od żupana, spytał:

— To acpan po pannie płaczesz? a gładka była? co?

— Puść mnie waszmość pan! — rzekł Skrzetuski.

— Czekał!

— Za służbą idąc, nie mogę być rozkazom J. M. pana powolny.

— Czekał! — mówił Łaszcz z uporem pijanego człowieka. — Tobie służba, nie mnie. Mnie tu nikt nic do rozkazania nie ma!

Potem znizywszy głos, powtórzył pytanie:

— A gładka była, co?

Brwi porucznika zmarszczyły się.

— Tedy powiem waszmości panu, że bolączki lepiejby nie tykać.

— Nie tykać? Nie bój się! Jeśli była gładka, to żyje.

Twarz Skrzetuskiego powlokła się śmiertelną bladością, ale się pohamował i rzekł:

— Mości panie... bym nie zapomniał, z kim mówię...

Łaszcz wytrzeszczył oczy.

— Co to? grozisz aspan? aspan mnie?... dla jednej gamratki?

— Ruszaj-że, mości strażniku, w swoją drogę! — huknął, trzęsąc się ze złości, stary Zaćwilichowski.

— A wy chłystki, szaraki, sługusy! — wrzeszczał strażnik. — Mości panowie do szabel!

I wydobywszy swoją, skoczył nią do Skrzetuskiego, ale w temże mgnieniu oka żelazo świsnęło w rękę pana Jana, i szabla strażnika furknęła, jak ptak w powietrzu, on sam zaś zachwiał się z rozmachu i padł jak długi na ziemię.

Pan Skrzetuski nie dobijał, jeno stał blady jak trup, jakby odurzony, a tymczasem zerwał się tumult. Z jednej strony skoczyli żołnierze strażnikowi, z drugiej dragoni Wołodyjowskiego sypnęli się jak pszczoły z ula. Rozległy się krzyki: „Bij! bij!“ Wielu nadlatywało, nie wiedząc o co idzie. Szable poczęły szczekać, tumult lada chwila mógł zmienić się w walną bitwę ogólną. Na szczęście, towarzysze Łaszcza, widząc, iż coraz przybywało Wiśniowieczyków, wytrzeźwiawszy ze strachu, porwali pana strażnika i poczęli z nim uchodzić.

I z pewnością, gdyby pan strażnik miał do czynienia z innem, mniej karnem wojskiem, byliby go roznieśli na szablach w drobne szmaty, ale stary Zaćwilichowski, oprzytomniawszy, krzyknął tylko: „Stój!“ i szable schowały się do pochew.

Niemniej zawrzało w całym obozie, a echo tumultu doszło do uszu książęcych, zwłaszcza, iż pan Kuszal, będący na służbie, wpadł do izby, w której książę z wojewodą kijowskim, ze starostą stobnickim i panem Denhofem obradował—i krzyknął:

— Mości książę, żołnierze szablami się siekają!

W tej chwili pan strażnik koronny, blady i bezprzytomny ze wściekłości, ale już trzeźwy, wleciał jak bomba.

— Mości książę, sprawiedliwości! — wołał. — W tym obozie jak u Chmielnickiego, ani na krew,

ani na godność względu nie mają! Szablami dygnitarzy koronnych siekaj! Jeśli wasza książęca mość sprawiedliwości nie wymierzysz, na gardło nie skążesz, to ja sam sobie ją wymierzę!

Książę porwał się z za stołu.

— Co się stało? kto waszmości pana napastował?

— Twój oficer Skrzetuski!

Prawdziwe zdumienie obilo się na twarzy księcia.

— Skrzetuski?

Nagle drzwi się otworzyły i wszedł Zaćwilichowski.

— Mości książę, ja byłem świadkiem — rzekł.

— Ja tu nie racye dawać przyszedłem, jeno kary żądać! — wołał Łaszc.

Książę zwrócił się ku niemu i utkwiał w niego oczy:

— Powoli, powoli! — rzekł zcicha i z przyciskiem.

Było coś tak strasznego w jego oczach i przyciszonym głosie, że strażnik, choć słynny z zuchwałości, zamilkł nagle, jakby mowę stracił, a panowie aż przybledli.

— Mów waść! — rzekł książę do Zaćwilichowskiego.

Zaćwilichowski opowiedział rzecz całą, jak nieszlachetnym i niegodnym, nietylko dygnitarza, ale i szlachcica sentymentem powodowany pan strażnik, począł przeciw boleści pana Skrzetuskiego bluźnić, a następnie z szablą się na niego rzucił; jaką moderacyę, jego wiekowi prawdziwie niezwyčajną, okazał namiestnik, tylko na wytrąceniu napastnikowi oręża poprzestając; — nakoniec staruszek tak skończył:

— A jako mnie wasza książęca mość zna, iż do siedmdziesięciu lat łgarstwo warg moich nie skalało i póki żyw będę nie skala, tak pod przysięgą jednego słowa w relacyi mojej zmienić nie mogę.

Książę wiedział, że słowo Zaćwilichowskiego złotu równe, a przytem zbyt dobrze znał Łaszcza. Ale na razie nie odrzekł nic, jeno wziął pióro i począł pisać.

Skończywszy, spojrzął na pana strażnika.

— Sprawiedliwość będzie waszmości panu wymierzona — rzekł.

Pan strażnik usta otworzył i chciał coś mówić, ale słowa mu jakoś nie dopisały, więc wsparł się w bok, skłonił się i wyszedł dumnie z izby.

— Żeleński — rzekł książę — oddasz to pismo panu Skrzetuskiemu.

Pan Wołodyjowski, który namiestnika nie odstępował, strapił się nieco, widząc wchodzącego książęcego pacholika, był bowiem pewien, że wypadnie im przed księciem zaraz się stawić. Tymczasem pacholik zostawił list i nic nie mówiąc, wyszedł, a Skrzetuski przeczytawszy go, podał przyjacielowi.

— Czytaj! — rzekł.

Pan Wołodyjowski spojrzął i wykrzyknął:

— Nominacya na porucznika!

I chwyciwszy za szyję Skrzetuskiego, ucałował oba jego policzki.

Pełne porucznikowstwo w husarskiej chorągwi było niemal dygnitaryatem wojskowym. Tej, w której służył pan Skrzetuski, rotmistrem był sam książę, a porucznikiem nominalnym pan Suffczyński z Sieńczy, człowiek już stary i dawno z czynnej służby

wybyły. Pan Jan oddawna sprawował *de facto* obowiązki i jednego i drugiego, co zresztą w podobnych chorągwiach, w których dwa pierwsze stopnie bywały nieraz tytularnemi tylko godnościami, przytrafiało się często. Rotmistrem królewskiej chorągwi bywał sam król, prymasowskiej prymas, porucznikami w obydwóch wysocy dygnitarze dworscy, sprawowali zaś chorągwie istotnie namiestnicy, których z tego powodu w zwykłej mowie porucznikami i pułkownikami zwano. Takim faktycznym porucznikiem *vel* pułkownikiem był pan Jan. Ale między faktycznem sprawowaniem urzędu, między godnością w potocznej mowie dawaną a istotną, była jednak wielka różnica. Obecnie, na mocy nominacyi, pan Skrzetuski stawał się jednym z pierwszych oficerów księcia wojewody ruskiego.

Ale gdy przyjaciele rozpływali się z radości, winszując mu nowego zaszczytu, twarz jego nie zmieniła się ani na chwilę i pozostała tak samo surową i kamienną, bo już nie było takich godności a dostojęństw na świecie, któreby mogły ją rozjaśnić.

Wstał jednak i poszedł dziękować księciu, a tymczasem mały Wołodyjowski chodził po jego kwaterze, zacierając ręce.

— No, no! — mówił — porucznik nominowany w husarskiej chorągwi! W takich młodych lecicach, jeszcze się to chyba nikomu nie zdarzyło.

— Żeby mu Bóg wrócił tylko szczęście! — rzekł Zagłoba.

— Ot co jest! ot co jest! Uważaliście, że ani drgnął.

— Wolałby się on tego zrzec — rzekł pan Longinus.

— Mości panie! — westchnął Zagłoba — cóż dziwnego! Jabyłm oto te moje pięć palców za nią oddał, chociażem nimi chorągiew zdobył!

— Tak to, tak!

— Ale to pan Suffczyński musiał umrzeć? — zauważył Wołodyjowski.

— Pewnie że umarł.

— Kto też namiestnictwo weźmie? Chorąży młodzik i dopiero od Konstantynowa funkcję sprawuje.

Pytanie to pozostało nierozstrzygnięte, ale odpowiedź na nie przyniósł z powrotem sam porucznik Skrzetuski.

— Mości panie! — rzekł do pana Podbiplęty — książę mianował waści namiestnikiem.

— O Boże! Boże! — jęknął pan Longinus, składając jak do modlitwy ręce.

— Tak samo mógłby jego inflancką kobyłę mianować — mruknął Zagłoba.

— No, a podjazd? — spytał pan Wołodyjowski.

— Jedziemy, nie mieszkając — odpowiedział pan Skrzetuski.

— Siła kazał książę ludzi wziąć?

— Jedną kozacką, drugą wołoską chorągiew, razem pięciuset ludzi.

— Hej, to wyprawa, nie podjazd, ale kiedy tak, to czas nam w drogę!

— W drogę, w drogę! — powtórzył pan Zagłoba. — Może też Bóg nam dopomoże, że wieści jakowej zasięgniemy.

We dwie godziny później, równo z zachodem słońca, czterej przyjaciele wyjeżdżali z Czołhańskiego Kamienia ku południowi, prawie zaś jednocześnie

opuszczał obóz razem ze swymi ludźmi pan strażnik koronny. Patrzyło na ten odjazd mnóstwo rycerstwa z pod różnych chorągwi, nie szczędząc okrzyków i urągów; oficerowie cisnęli się koło pana Kuszla, który opowiadał, z jakich przyczyn pan strażnik został wypędzony i jak się to odbyło.

— Ja mu nosiłem rozkaz księcia — mówił pan Kuszel — i wierzajcie waszmościowie, iż periculosa to była misya, bo gdy go wyczytał, począł tak ryczeć, jak wół, gdy go żelazem cechują. Na mnie się też do nadziaka porwał, dziw, iż nie uderzył, ale zdaje się, iż przez okno ujrzał Niemców pana Koryckiego, otaczających kwaterę, i moich dragonów z bandelotami w ręku. Dopiero wziął krzyczeć: „Dobrze! dobrze! odejdę, kiedy mnie wypędzają! Pójdę do księcia Dominika, który mnie wdzięczniej przyjmie! Nie będę (prawi) z dziadami służył, ale się pomuszczę (krzyczał), jakem Łaszcz! jakem Łaszcz! — i z tego chłystka (prawi) muszę mieć satysfakcyę!“ Myślałem, że go jad zaleje — a stół to dziobał nadziakiem ze złości raz przy razie. I powiem waszmościom, że nie jest pewien, czy się co złego panu Skrzetuskiemu nie przytrafi, bo ze strażnikiem nie ma żartów. Zawzięty to jest człek i dumny, który jeszcze żadnej urazy płazem nie puścił, odważny i przytem dygnitarz.

— Co się zaś ma Skrzetuskiemu trafić sub tute la księcia pana! — rzekł jeden z oficerów. — I pan strażnik, choć na wszystko gotowy, będzie się rachował z taką ręką.

Tymczasem porucznik, nie wiedząc nic o słubach, jakie przeciw niemu pan strażnik czynił, od-

dałał się coraz bardziej od obozu na czele swego oddziału, kierując się ku Ożygowcom w stronę Bohu i Medwiedówki. Chociaż już wrzesień poważyl liście na drzewach, noc była pogodna i ciepła jak w lipcu, bo taki to już był cały ów rok, w którym prawie nie było zimy, a wiosną zakwitło wszystko już wówczas, gdy przeszłych lat legiwał jeszcze głęboki śnieg na stepach. Po dość mokrem lecie, pierwsze miesiące jesieni nastały suche a łagodne, o białych dniach i widnych księżycowych nocach. Jechali tedy po łatwej drodze, nie strażując zbyt, bo byli jeszcze zbyt blisko obozu, aby jaki napad miał grozić — jechali żwawo: namiestnik z kilkunastu końmi na przedzie, a za nim Wołodyjowski, Zagłoba i pan Longinus.

— Obaczcie-no waszmościowie, jako się światło miesiąca kładzie na owem wzgórzu — szeptał pan Zagłoba — przysięgłbyś, że dzień. Mówią, że tylko w czasie wojen bywają takie noce, aby dusze, wyszłe z ciał, łbów sobie nie rozbijały pociemku o drzewa, jako wróble w stodole o krokwie, i łatwiej drogę znalazły. Dziś też jest piątek, dzień Zbawiciela, w którym zjadliwe humory z ziemi nie wychodzą i złe moce nie mają przystępu do człowieka. Czuję, że mi lżej jakoś i nadzieja we mnie wstępuje.

— Żeśmy to już przecie wyjechali i jakowys ratunek przedsiębiorzem — to grunt! rzecze Wołodyjowski.

— Najgorzej to w umartwieniu na miejscu siedzieć — mówił dalej Zagłoba — gdy na koń się dziesiesz, zaraz ci desperacya od trzęsienia się coraz niżej zlatuje, aż ją w końcu i zgola wytrzęsiesz.

— Nie wierze ja — szepnął Wołodajowski —
aby tak wszystko można wytrząść — e x e m p l u m :
afekt, który się niby kleszcz w serce wpija.

— Gdy jest szczery — rzecze pan Longinus —
to choćbyś się z nim, jako z niedźwiedziem borykał,
zmoże cię.

To rzekłszy, pan Longinus ulżył wezbranej piersi
westchnieniem, podobnem do sapnięcia miecha ko-
walskiego, zaś mały Wołodajowski podniósł oczy ku
niebu, jakby szukał między gwiazdami tej, która
księżniczce Barbarze świeciła.

Konie poczęły parskać w całej chorągwi, a pocz-
towi odpowiadali im: „Zdrów! zdrów!“ — potem uci-
szyło się wszystko, aż jakiś tęskny głos począł śpie-
wać w tylnych szeregach:

„Jedziesz na wojnę, nieboże,
Jedziesz na wojnę!
Noce ci będą na dworze,
A dzionki znojne...“

.

— Starzy żołnierze mówią, że konie zawsze pry-
chają na dobrą wróżbę, co mnie i ojciec nieboszczyk
jeszcze powiadał — rzekł Wołodajowski.

— Coś mnie jakoby w ucho szepce, że nie na-
próżno jedziemy — odpowiedział Zagłoba.

— Dajże Bóg, aby i porucznikowi jakowaś otu-
cha w serce wstąpiła — westchnął pan Longinus.

Zagłoba począł głową kiwać i kręcić, jak czło-
wiek, który z jakąś myślą się nie może uporać, a na-
koniec ozwał się:

— Całkiem mnie co innego w głowie siedzi,
i muszę się już chyba przed waćpanami z tej myśli

spuścić, gdyż mi jest wcale nieznosna: oto czyście waściowie nie zauważyli, że od niejakiemu czasu Skrzetuski — nie wiem — może dysymuluje — ale taki jest, jakby najmniej z nas wszystkich o salwowaniu onej niebogi myślał.

— Gdzie zaś! — odpowiedział Wołodyjowski: — humor to tylko u niego taki, aby to nic nikomu nie wyznać. Nigdy on nie był inny.

— To swoją drogą, ale jeno sobie waszmość przypomnij: gdyśmy mu nadzieję pokazywali, mówił: „Bóg zapłać!“ i mnie i waćpanu, tak negligenter, jakby o lada jaką sprawę chodziło, a Bóg widzi, czarnaby to była z jego strony niewdzięczność, bo co się ta nieboga po nim napłakała i natęskniła, tegoby na wołowej skórze nie spisać. Na własne oczy to widziałem.

Wołodyjowski potrząsnął głową.

— Nie może to być, aby on jej zaniechał — rzekł — choć prawda, że pierwszym razem, gdy mu ją z Rozłogów ów dyabeł porwał, desperował tak, iżemy się o jego mentem obawiali, a teraz daleko więcej okazał upamiętania. Ale jeśli mu Bóg spokój w duszę wlał i siły dodał, to i lepiej. Jako szczerzy przyjaciele, powinniśmy się z tego cieszyć.

To rzekłszy, Wołodyjowski konia spiął i posunął się naprzód ku Skrzetuskiemu, a zaś Zagłoba jechał czas jakiś w milczeniu wedle pana Podbiپیty.

— Czy wasze nie tego mniemania, co i ja, że gdyby nie amory, siła złego nie stałaby się na świecie?

— Co komu Pan Bóg przeznaczył, to go i tak nie minie — odparł Litwin.

— A waćpan to nigdy k'rzeczy nie odpowiesz.

To inna sprawa, a to inna. Przez co Troja zburzona? he? Albo to i ta wojna nie o ryżą kosę? Zacziało się Chmielowi Czaplińskiej, czy też Czaplińskiemu Chmielnickiej, a my dla ich żądz grzesznych karki kręcimy.

— Bo to niepoczciwe amory, ale są i zacne, od których chwała Boża się przymnaża.

— Teraz się waćpan lepiej utrafił. A prędkoż sam w onej winnicy pracować poczniesz? Słyszałem, że szarfą na wojnę przewiązano.

— Braciaszku!... Braciaszku!...

— Ale trzy głowy na zawadzie stoją, co?

— Ach! tak ono i jest!

— To ci powiem: machnij dobrze i utnij odrazu: Chmielnickiemu, chanowi i Bohunowi.

— Żeby się to tylko chcieli ustawić! — odrzekł rozrzuwionym głosem pan Longin, wznosząc ku niebu oczy.

Tymczasem Wołodyjowski jechał długo wedle Skrzetuskiego i spoglądał w milczeniu z pod hełmu na jego martwą twarz, aż wreszcie trącił strzemieniem w jego strzemię.

— Janie! — rzekł — źle, że się zapamiętywasz.

— Ja się nie zapamiętywam, jeno się modlę — odpowiedział Skrzetuski.

— Święta to jest i chwalebna rzecz, aleś ty nie zakonnik, byś na samej modlitwie poprzestawał.

Pan Jan zwrócił z wolna swoją męczeńską twarz ku Wołodyjowskiemu i spytał głuchym, pełnym śmiertelnej rezygnacji głosem:

— Powiedz-że, Michale, co mnie pozostaje więcej prócz habitu?...

— Pozostaje ci ją ratować — odpowiedział Wołodujowski.

— Tak też i uczynię, do ostatniego oddechu. Ale choćbym ją też i żywą odnalazł, zali to nie będzie za późno? Strzeż mnie Boże, bo o wszystkim mogę myśleć, tylko nie o tem, strzeż Boże rozumu mojego! Już ja niczego więcej nie pragnę, jeno wyrwać ją z tych rąk potępionych, a potem niech ona znajdzie taki przytułek, jakiego i ja będę szukał. Widać woli Bożej nie było... Daj mnie się modlić, Michale, a krwawiącej rany nie tykaj...

Wołodujowskiemu ścisnęło się serce; chciał jeszcze było pocieszać, o nadziei mówić, ale słowa nie chciały mu przejść przez gardło i jechali dalej w głuchem milczeniu, tylko wargi pana Skrzetuskiego poruszały się szybko w modlitwie, przez którą chciał widocznie myśli okropne odpędzić, a małego rycerza, gdy spojrzał przy świetle księżyca na tę twarz, aż strach zdjął, bo mu się wydało, że to jest zupełnie twarz mnicha, surowa, wynędzniała, przez posty i umartwienia.

„Znajdziesz po wojnie, nieboże,
Znajdziesz po wojnie,
Pustki z powrotem w komorze,
Ran w skórze hojnie.“

ROZDZIAŁ V.

Pan Skrzetuski szedł ze swym podjazdem w ten sposób, że we dnie wypoczywał w lasach i jarach, pilnie rozstawiając strażę, a nocami tylko posuwał się naprzód. Zbliżywszy się do jakiej wioski, zwykle otaczał ją tak, aby noga nie wyszła, brał żywność, paszę dla koni, a przedewszystkiem zbierał wieści o nieprzyjacielu, poczem wychodził, nie czyniąc ludziom nic złego, wyszedłszy zaś, zmieniał nagle drogę, aby nieprzyjaciel nie mógł się we wsi dowiedzieć, w którą podjazd udał się stronę. Celem wyprawy było dowiedzieć się, czy Krzywonos ze swymi czterdziestu tysiącami ludzi oblega dotąd Kamieniec, czy też rzuciwszy bezowocne oblężenie, idzie w pomoc Chmielnickiemu, aby razem z nim stanąć do walnej rozprawy, a dalej co robią dobrudscy Tatarzy? — czy już Dniestr przeszli i połączyli się z Krzywonossem, czy z tamtej strony jeszcze leżą? Ważne to były dla oboza polskiego wiadomości, i regimentarze sami powinni się byli o nie starać, ale że nie przyszło im to, jako niedoświadczonym ludziom do głowy, przeto ksiązę wojewoda ruski wziął na siebie ten ciężar. Jeżeliby bowiem pokazało się, że Krzywonos razem z białogrodzkimi i dobrudzkimi hordami za-

niechał niezdobytego Kamieńca i do Chmielnickiego dążył — tedy należało jak najprędzej do tego ostatniego uderzać, nimby do najwyższej potęgi nie wyrósł. Tymczasem generał-regimentarz, książę Dominik Zasławski-Ostrogski, nie śpieszył się w chwili wyjazdu Skrzetuskiego; dopiero za dwa, lub trzy dni spodziewano się go w obozie. Widocznie uczładował swym zwyczajem po drodze i miał się dobrze, a tymczasem mijała najlepsza pora złamania potęgi Chmielnickiego, i książę Jeremi rozpaczał na myśl, że jeśli wojna tak dalej prowadzoną będzie, to nie tylko Krzywonos i ordy zadniestrzańskie na czas do Chmielnickiego przybędą, ale i sam chan na czele wszystkich perekopskich, nohajskich i azowskich.

Jakoż i były wieści w obozie, że chan już Dniepr przebył i że dwieście tysięcy koni dzień i noc na zachód dąży, a książę Dominik nie przybywał i nie przybywał.

Coraz też było prawdopodobniejszem, że wojska stojące pod Czołhańskim kamieniem muszą stanąć do rozprawy z potęgą pięćkroć liczniejszą — i że w razie klęski regimentarzy, nic już nie przeszkodzi nieprzyjacielowi wtargnąć do serca Rzeczypospolitej, pod Kraków i Warszawę.

Krzywonos tem był niebezpieczniejszy, że na wypadek, gdyby regimentarze chcieli się posunąć w głąb Ukrainy, on, idąc z pod Kamieńca wprost na północ, aż pod Konstantynów, mógł im zagrozić odwrót, a w każdym razie wówczas byliby wzięci we dwa ognie. Przeto pan Skrzetuski postanowił nie tylko wywiedzieć się o Krzywonosie, ale go i powstrzymać. Przejęty ważnością swego zadania, od któ-

rego spełnienia los całego wojska w części zależał, ważył porucznik. Chętnie życie swoje i swoich żołnierzy; jednakże przedsięwzięcie owo i tak za szalone poczytywane byłoby mogło, gdyby młody rycerz miał zamiar wstępnym bojem w pięćuset ludzi powstrzymać czterdziestotysięczną Krzywonosową watahę, posiłkowaną przez białogrodzkie i dobrudzkie ordy. Ale pan Skrzetuski zbyt był doświadczonym żołnierzem, aby się na szaleństwa rzucać i wiedział doskonale, że w razie bitwy, w godzinę fala przejdzie po trupach jego i towarzyszków—chwycił się więc innych środków. Oto naprzód rozpuścił wieść między własnymi żołnierzami, że idą tylko jako przednia straż całej dywizji straszego księcia, i wieść tę rozpuszczał wszędzie, we wszystkich futorach, wioskach i miasteczkach, które wypadało mu przechodzić. Jakoż rozeszła się ona lotem błyskawicy wzdłuż Zbrucza, Smotrycza, Studzienicy, Uszki, Kałusiku, z ich biegiem dostała się do Dniestru i leciała dalej, jakby wiatrem gnana, od Kamieńca aż do Jahorlika. Powtarzali ją baszowie tureccy w Chocieniu, i Zaporozcy w Jampolu, i Tatarzy w Raszkowie. I znowu rozległ się ów znany okrzyk: „Jarema idzie!” od którego zamierały serca zbuntowanego ludu: drżał on z przerażenia, niepewny dnia ani godziny.

A nikt nie wątpił w prawdę wieści. Regimentarze uderzą na Chmiela, a Jarema na Krzywonosą—to leżało w porządku rzeczy. Sam Krzywonos uwierzył i ręce mu opadły. Co miał robić? Ruszyć na księcia? Toż pod Konstantynowem inny duch był w czerni i większe siły, a jednak zostali pobici, zdzie-

siątkowani, ledwie z życiem uszli. Krzywonos był pewien, że jego mołojcy będą się bili jak wściekli przeciw każdemu innemu wojskom Rzeczypospolitej i przeciw każdemu innemu wodzowi, ale za zbliżeniem się Jaremy, pierzchną jak stado łabędzi przed orłem, jak stepowe puchy przed wiatrem.

Czekać księcia pod Kamieńcem było jeszcze gorzej. Krzywonos postanowił rzucić się na wschód, aż hen ku Braclawowi, ominąć swego złego ducha i dążyć do Chmielnickiego. Pewnym był wprawdzie, że tak kołując na czas nie zdąży, ale przynajmniej na czas się o rezultacie dowie i o własnym ratunku pomyśli.

A wtem przyleciały z wiatrem nowe wieści, że Chmielnicki już pobit—puszczał je, jak i poprzednie, umyślnie pan Skrzetuski; wówczas, w pierwszej chwili, nie wiedział już nieszczęsny wążka co począć.

Następnie postanowił tembardziej na wschód ruszyć, jak najdalej się w stepy posunąć — może też spotka Tatarów i przy nich się schroni.

Ale przedewszystkiem chciał się upewnić; dlatego pilnie wypatrywał między swymi pułkownikami, kogoby znalazł na wszystko gotowego a pewnego, by go z podjazdem po języka wysłać. Ale wybór był trudny, chętnych brakło, i trzeba było koniecznie znaleźć takiego człowieka, któryby na wypadek dostania się w ręce nieprzyjaciela, ni pieczony ogniem, ni nawlekany na pal, ni łamany kołem, nie wydał planu ucieczki.

Nakoniec Krzywonos znalazł.

Pewnej nocy kazał wołać do siebie Bohuna i rzekł mu:

Ogniem i mieczem. T. III.

— Słyszysz, Jurku, mój przyjacielu! idzie na nas Jarema z potęgą wielką — zginąć przyjdzie nie-szczęsnym!

— Słyszałem i ja, że idzie. My już z wami, bat'ku, o tem mówili — ale czemu nam ginąć?

— Ne zderżymo. Innemuby zdzierżyli, Jaremie nie. Mołojcy się jego boją.

— A ja się jego nie boję—ja mu pułk w Wasilówce na Zadnieprzu wyciął.

— Wiem ja to, że ty się jego nie boisz. Twoja sława kozacka, mołojcka, warta jego kniaziowej, ale ja mu bitwy dać nie mogę, bo mołojcy nie zechcą... Przypomnij, co na radzie mówili, jako się na mnie do szabel i kiścieni rzucali, że ich na rzeź chcę prowadzić.

— To idźmy do Chmiela, tam zażyjemy krwi i zdobyczy.

— Mówią, że Chmiel już od regimentarzy pobit.

— Temu ja nie wierzę, ojcie Maksymie. Chmiel lis, bez Tatarów nie uderzy na Lachów.

— Tak i ja myślę, ale trzeba wiedzieć. Wtedyby my wrażego Jaremę obeszli i z Chmielem się połączyli, ale trzeba wiedzieć! Ot, żeby się kto Jaremy nie bał, a z podjazdem poszedł i języka porwał, jaby mu czapkę czerwonych złotych nasypał.

— Ja pójdę, ojcie Maksymie, nie czerwonych szukać, ale sławy kozackiej, mołojckiej!

— Ty drugi po mnie ataman, a ty chcesz iść? Będziesz ty jeszcze pierwszym atamanem nad kozakami, nad dobrymi mołojcami, bo ty się Jaremy nie boisz. Idźże ty, sokole, a potem czego chcesz żądaj.

No, ja ci powiem, żeby ty nie poszedł, to jaby poszedł sam, ale mnie nie można.

— Nie można, bo jakbyście wy, ojczu, wyszli, takby mołojcy krzyknęli, że hołowu spasajete i rozlecieliby się na cały świat; a jak ja pójde, tak im serca przybędzie.

— A siła komunika ci dać?

— Nie wezmę ja dużo, z małą watahą łatwiej się ukryć i podejść — ale z pięciuset dobrych mołojców dajcie, a już moja głowa, że wam języków przywiozę i nie pocztowych, ale towarzyszków, od których się wszystkiego dowiecie.

— Jedźże zaraz. Z Kamieńca już z dział biją na radość i na spaseńcie Lachom, a na pohybel nam niewinnym.

Bohun odszedł i zaraz jął gotować się do drogi. Mołojcy jego, jako nieodmiennie bywało w takich okazyach, pili na zabój, „nim śmierć matka przytuli“, on zaś pił z nimi, aż parską gorzałką, szalał, hulał, następnie kazał beczkę dziegciu zatoczyć, i jak był w altembasach i sajetałach, rzucił się w nią we wszystkim, zanurzył się raz, drugi, razem z głową — i wykrzyknął:

— Czarny ja teraz, jako noc matka, lackie oczy nie dojrzą!

I wytarzawszy się na perskich kobiercach zdobycznych, skoczył na koń, i pojechał, a za nim poczępali, wśród pomroki nocnej, wierni mołojcy, przeprowadzani okrzykiem:

— Na sławul na szczastiel

Tymczasem pan Skrzetuski dotarł już do Jarolinieć; tam trafiwszy na opór, sprawił krwawy

chrzest mieszczanom i zapowiedziawszy, że nazajutrz książę Jarema nadejdzie, dał odpoczynek strudżonym koniom i żołnierzom.

Potem, zebrawszy na naradę towarzyszków — rzekł im:

— Dotąd Bóg nam szczęści. Miarkuję też po terrorze, jaki chłopstwo ogarnia, iż zgoła mają nas za przednią straż książęcą i wierzą, że cała potęga idzie za nami. Ale musimy pomyśleć, aby się zaś nie obaczyli, widząc, iż jedna kupa wszędzie chodzi.

— A długoż my tak będziemy chodzili? — spytał pan Zagłoba.

— Póki o Krzywonosie nie będziemy wiedzieli, co postanowił.

— Ba, to i na bitwę może do obozu nie zdążymy.

— Być to może — odrzekł pan Skrzetuski.

— Mości panie, wielcem z tego nie rad — rzekł szlachcic. — Zaprawiło się trocha ręce na hultajstwie pod Konstantynowem, zdobyło się tam coś na nich. Ale to psu mucha! palce świerzbią...

— Może tu waszeć więcej bitew zażyjesz, niż sam myślisz — odparł odważnie pan Skrzetuski.

— O! a to q u o m o d o? — pytał dość niespokojnie Zagłoba.

— Bo lada dzień możemy się natknąć na nieprzyjaciela, a choć nie po to tu jesteśmy, by mu orężem drogę zagrozić, przecie wypadnie się bronić. Ale wracam do materyi: trzeba nam więcej kraju zająć, aby w kilku miejscach na raz o nas wiadano, tu i owdzie opornych wyciąć, by się groza rozniosła, a wszędy wieści puszczać; dlatego mniemam, iż wypadnie nam się rozdzielić.

www.libtool.com.cn

— Tak i ja mniemam — rzecze Wołodyjowski — będziem im się w oczach mnożyć i ci, którzy uciekną do Krzywonosy, o krocjach będą gadali.

— Mości poruczniku, waszmość tu wodzem, tedy rozporządź — rzekł Podbięta.

— Pójdę ja na Zinków, ku Sołodkowcom, a jak będę mógł, to dalej — mówił Skrzetuski — waćpan, mości namiestniku Podbięto, idź prosto na dół ku Tatarzyskom — ty, Michale, pojedź pod Kupin, a pan Zagłoba dotrze do Zbrucza koło Satanowa.

— Ja? — rzecze pan Zagłoba.

— Tak jest. Waćpan człowiek przemyślny i pełen fortelów; myślałem, że chętnie podejmiesz się tej imprezy, ale jeśli nie, to czwarty oddział weźmie Kosmacz, wachmistrz.

— Weźmie, ale pod moją komendą — zawołał Zagłoba, którego nagle oślniła myśl, iż będzie wodzem osobnego oddziału. — Jeślim się pytał dlaczego, to że mi się żal było z wami rozłączać.

— Czy jeno masz waćpan eksperyencyę w rzeczach wojskowych? — spytał Wołodyjowski.

— Czy mam eksperyencyę? Jeszcze żaden boćcian nie myślał o tem, aby z waści prezent ojcu i matce zrobić, gdym ja już większe podjazdy, jako ten cały jest, wodził. Wiek życia w wojsku przesłużyłem i dotądbym służył, gdyby nie to, że jak mnie raz spleśniały suchar w brzuchu stanął, to mi trzy lata siedział. Musiałem za bezoarem do Galaty jeździć, o której peregrynacyi szczegółowo waćpanom w swoim czasie opowiem, gdyż teraz pilno mi w drogę.

— Jedź więc waćpan, a wieści przed sobą puszczaj, że Chmielnicki już pobit i że książę Płoskirów

już minął—rzekł pan Skrzetuski.—Ładajakiego języka nie bierz, ale gdybyś napotkał podjazdy z pod Kamieńca, to staraj się porwać takich, którzyby o Krzywonosie mogli dać wiadomości, bo ci, których mamy, dają relacye sprzeczne.

— Obym samego Krzywonosą napotkał! niechby mu przyszła chętka na podjazd wyjechać, zadałżebym mu pieprzu z imbirem! Nie bójcie się waszmościowie, nauczę ja hultajów śpiewać — ba, nawet i tańcować!

— We trzech dniach zjedziem się napowrót w Jarmolińcach, a teraz każdy w swoją drogę—rzekł Skrzetuski.—A ludzi proszę waszmościów oszczędzać.

— We trzech dniach w Jarmolińcach! — powtórzyli: Zagłoba, Wołodyjowski i Podbipięta.

ROZDZIAŁ VI.

Gdy pan Zagłoba znalazł się sam, na czele swego oddziału, zrobiło mu się zrazu jakoś niesmaczno, a nawet wcale straszno, i dużo byłoby za to dał, żeby mieć koło siebie Skrzetuskiego, Wołodyjowskiego, albo pana Longina, których w duszy najmocniej podziwiał i przy których czuł się zupełnie bezpieczny, tak ślepo wierzył w ich obrotność i męstwo.

Jechał więc z początku dość posepnie na czele swego oddziału i rozglądając się podejrzliwie na wszystkie strony, myślą mierzył niebezpieczeństwa, na jakie mógł się natknąć, i mruczał:

— Zawsze raźniejby było, żeby który z nich był tutaj. Do czego Bóg kogo przeznaczył, do tego stworzył, a ci trzej powinni byli bąkami się porodzić, bo na krwi lubią siadać. Tak im właśnie na wojnie, jako innym przy dzbanie, albo jako rybom we wodzie. W to im graj! Brzuchy mają lekkie, ale ręce ciężkie. Skrzetuskiego widziałem przy robocie i wiem jako jest *peritus*. Tak on trzepie ludzi, jak mnichy pacierze. Jego to rzemiosło ulubione. Ów Litwin, co własnej głowy nie ma, a trzech obcych szuka, nic na szwank nie wystawia; najmniej znam tego małego fircyka, ale osa też to musi być nielada,

miarkując z tego, com pod Konstantynowem widział i co mnie Skrzetuski o nim powiadał — ośa to musi być! Szczęściem, niedaleko on ode mnie ciągnie, i myślę, że najlepiej zrobię, jak się z nim połączę, bo jeśli wiem dokąd iść, to niech mnie kaczki zdepcą.

Pan Zagłoba uczuł się bardzo samotnym na świecie — aż się sam swej samotności uzałił.

— Tak to, tak! — mruczał. — Każdy ma się na kogoś obejrzyć, a ja co? Ni towarzysza, ni ojca, ni matki. Sierotam jest — i kwita!

W tej chwili wachmistrz Kosmacz zbliżył się ku niemu:

— Mości komendancie, dokąd idziemy?

— Dokąd idziemy? — powtórzył pan Zagłoba — co?

Nagle wyprostował się w siodle i wąs pokręcił.

— Do Kamieńca, jeśli taka będzie moja wola! Rozumiesz, mości wachmistrzu?

Wachmistrz skłonił się i cofnął w milczeniu do szeregów, nie zdając sobie sprawy, dlaczego się komendant rozsierdził, pan Zagłoba zaś cisnął jeszcze okolicy kilka groźnych spojrzeń, następnie uspokoił się i mruczał dalej:

— Jeśli do Kamieńca pójde, pozwolę sobie dać sto kijów w pięty, turecką modą. Tfu! tfu! żeby który z tamtych był przy mnie, więcej czułbym w sobie ducha. Co ja pocznę ze stem ludzi? Wolałbym być już sam, bo wówczas człek w fortele dufa. A teraz za dużo nas, by fortelami wojować, a za mało do obrony. Bardzo to niefortunna myśl przyszła Skrzetuskiemu do głowy, żeby podjazd rozdzielać. I dokąd ja pójde? Wiem co za mną, ale kto mi powie, co przede mną, i kto mi zaręczy, czy dyabli tam

www.libtool.com.cn
jakiej pułapki nie nastavili? Krzywonos i Bohun. Dobra sfora! Żeby ich dyabli obłuszczyli! Boże mnie broń przynajmniej od Bohuna. Skrzetuski życzy sobie z nim się spotkać — wysłuchaj go Paniel! Życzę mu tego, czego sobie sam życzy, bom mu przyjaciel — amen! Dotrę do Zbrucza i wrócę do Jarmoliniec, a języków więcej im przywiode, niż sami chcą. O to nie trudno.

Wtem Kosmacz zbliżył się ku niemu.

— Mości komendancie, jakowychś jeźdźców za wzgórzem widać!

— Niech jadą do dyabła! Gdzie? gdzie?

— A no tam, za górą. Znaki widziałem.

— Wojsko?

— Zdaje się wojsko.

— Niech ich psi kęsają! A siła ich?

— Nie wiadomo, bo daleko. Byśmy się tu za one skały ukryli, wpadniemy na nich niespodzianie, bo tędy im droga. Jeśli potęga za wielka, to pan Wołodyjowski niedaleko, strzały usłyszysz i na pomoc skoczysz.

Panu Zagłobie odwaga uderzała niespodzianie do głowy, jak wino. Być może, że to desperacja dała mu taki do czynu pochop; być może nadzieja, że pan Wołodyjowski jeszcze blisko, dość, że gołą szablą błysnął, oczyma zatoczył straszliwie i zakrzyknął:

— Ukryć się za skały! wpadniemy na nich niespodzianie! Pokażemy tym hultajom...

Sprawni żołnierze książęcy z miejsca zawrócili pod skały i w mgnieniu oka ustawili się w szyku bojowym, gotowi do niespodzianego napadu.

Upłynęła godzina; nakoniec dał się słyszeć gwar zbliżających się ludzi, echo niesło nutę wesółych

pieśni, a po chwili jeszcze, do uszu czatujących w zasadzce doszły odgłosy skrzypków, dud i bębenka. Wachmistrz zbliżył się znów do pana Zagłoby i rzekł:

— To nie wojsko, panie komendancie, nie kozacy, to wesele.

— Wesele?—rzekł Zagłoba. — Zagramże ja im, niech poczekają!

To rzekłszy, ruszył koniem, za nim wyjechali żołnierze i ustawili się szeregiem na drodze.

— Za mną!—krzyknął groźnie Zagłoba.

Linia ruszyła kłusem, potem galopem — i okrążywszy skałę, stanęła nagle tuż przed gromadą ludzi, zmieszanych i strwożonych niespodzianym widokiem.

— Stój! stój! — wołano z obu stron.

Było to istotnie chłopskie wesele. Naprzód jechali konno: dudziarz, teorbanista, skrzypek i dwaj „dowbysze,” trochę już pijani, wycinając od ucha skoczne kołomyjki. Za nimi panna młoda, hoża dziewczyna, w ciemnym żupanie i z włosami rozpuszczonymi na ramiona. Otaczały ją družki, śpiewające pieśni i niosące ponawlekane na ręce wieńce — a wszystkie dziewczki na koniach, siedzące po męsku, wystrojone, ubrane w polne kwiaty, wyglądały zdala jak zastęp kraśnych kozaków. W drugim szeregu jechał na dzielnym koniu pan młody, wśród družbów, z wieńcami na długich, podobnych do spis tyczkach— orszak zamykali rodzice nowożeńców i goście, wszyscy konno; jedynie beczki z gorzałką, miodem i piwem jechały na lekkich, wymoszczonych słomą wózkach, bełkocąc smakowicie po nierównej kamienistej drodze.

— Stój! stój! — wołano z obu stron.

Potem orszak weselny pomieszał się. Dziewczęta podniosły krzyk przeraźliwy i cofnęły się w tył, zaś parobcy i starsi druźbowie skoczyli naprzód, by pierściami zasłonić młodzieńców przed niespodzianym napadem.

Pan Zagłoba skoczył tuż przed nich i machając szablą, świecąc nią w oczy przerażonemu chłopstwu, począł wrzeszczeć:

— Ha! skurczybyki, psie chwosty, rebelizanty! Do buntu wam się zachciało! Za Krzywonosem trzymacie, łajdaki? na przeszkrobie jeździcie? drogę wojsku tamujecie? na szlachtę ręce podnosicie? Dam ja wam, pieskie dusze bezecne! W dyby pokażę, na pal powbijam, o szelmy! o poganie! Teraz za wszystkie zbrodnie zapłacicie!

Stary i biały jak gołąb druźba zeskoczył z konia, zbliżył się do szlachcica i chwyciwszy go pokornie za strzemień, począł kłaniać się w pas a błagać:

— Zmiłujcie się, jasny rycerzu, nie gubcie biednych ludzi. Bóg nam świadek, my niewinni, nie do buntu my idziemy, my z cerkwi, z Husiatyna, naszego krewniaka Dymitra, kowala, z bondarówną Ksenią wieńczyli. My z weselem, z korowajem.

— To niewinni ludzie, panie — szepnął wachmistrz.

— Precz mi! To szelmy! Od Krzywonosy na wesele przyszli! — huknął Zagłoba.

— Kołyb jego trastia mordowała! — zawołał starzec. — My jego na oczy nie widzieli, my biedni ludzie. Zmiłujcie się, jasny panie, dozwólcie przejść, my nikomu zła nie czynimy, a swoją powinność znamy.

— Do Jarmoliniec w tykach pójdziecie!...

— Pójdziemy gdzie każecie, paniel! Wam rozkazywać, nam słuchać! Ale wy nam łaskę zróbcie, jasny rycerzu! przykażcie panom żołnirom, żeby oni nam zła nie czynili, a sami—wybaczcie prostakom—i ot, bijem czołem pokornie: wypijcie z nami na szczęście uwieńczonym... Wypijcie, wasza miłość, na radość prostym ludziom, jako Bóg i święta Ewangelia nakazuje.

— Jeno nie myślcie, bym wam folgował, gdy wypiję! — rzekł ostro pan Zagłoba.

— Nie, paniel — zawołał z radością dziad — my nie myślim! Hej, grajki! — zakrzyknął na muzykę — zagrajcie dla jasnoho łycara, bo jasny łycar dobry, a wy, mołojcy, skoczcie po miód, po słodki, dla jasnoho łycara; on biednych ludzi nie ukrzywdzi. Skoro, chłopci, skoro! Diakujem, paniel!

Mołojcy kopnęli się co ducha do beczek, a tymczasem zawarczały bębenki, zapiszczały rażno skrzypki, dudziarz wydał policzki i począł miętosić dudę pod pachą, družbowie potrząsali wieńcami na tykach, co widząc, żołnierze poczęli się coraz bardziej przysuwać, wąsy kręcić, uśmiechać się i przez plecy mołojców na mołodycie poglądać. Zabrzmiały nanowo pieśni — i strach minął, nawet gdzieniegdzie ozwały się radosne: „U-ha! u-ha!“

Ale pan Zagłoba nie rozchmurzył się odrazu — nawet gdy mu dano kwartę miodu, mrucał jeszcze zticha: „A szelmy, a łajdaki!“ Nawet gdy już wąsy zanurzył w ciemnej powierzchni napitku, brwi jego nie rozmarszczyły się jeszcze; podniósł głowę i mrużąc oczy, mlaskając wargami, począł smakować tru-

nek — następnie zdziwienie, ale i oburzenie odbiło się na jego twarzy.

— Co to za czasy! — mruknął. — Chamy taki miód piją. Boże, Ty to widzisz i nie grzmisz?

To rzekłszy, przechylił kwartę i wypróżnił ją do dna.

Tymczasem przyszli ośmieleni weselnicy prosić go całą gromadą, by zła nie czynił i puścił wolno, a między nimi przyszła i panna młoda, Ksenia, nieśmiała, drżąca, ze łzami w oczach, a zapłoniona i śliczna jak zorza. Zbliżywszy się, złożyła ręce:

— Pomyłujcie, panel

I całowała żółty but pana Zagłoby.

Serce w szlachcicu odrazu jak wosk zmiękło.

Popuściwszy skórzanego pasa, począł w nim grzebać, a wygrzebawszy ostatnie czerwone złote, które mu swego czasu dał książę, rzekł do Kseni:

— Naścił Niech-że ci Bóg błogosławi, jako i wszelkiej niewinności.

Tu wzruszenie nie pozwoliło mu mówić więcej, bo mu owa wysmukła, czarnobrewa Ksenia przypomniała kniaziównę, którą kochał po swojemu pan Zagłoba. „Gdzie ona teraz nieboga i czy jej tam pilnują święci anieli?” — pomyślał i całkiem już był rozczulony, gotów z każdym ścisnąć się i bratać.

Weselnicy zaś, widząc jego wspaniały czyn, poczęli hukać z radości, a śpiewać, a cisnąć się do niego, całować poły.

— Dobry on! — powtarzano w tłumie — zołotyj Lach! czerwinci daje, zła ne robyt, dobry pan! Na sławu, na szczastiel!

Skrzypek aż się trząsł, tak ciął od ucha, du-

działowowi oczy na wierzch wylazły, „dowbyszm“ ręce ustawiały. Stary bondar, tchórzem widocznie podszyty, trzymał się aż dotąd w tyle, teraz wysunął się naprzód i razem z żoną bondarową i starą kowalichą, matką pana młodego, nuż kłaniać się w pas, a do futoru na wesele zapraszać, że to sława takiego mieć gościa i dla młodych pomyslna wróżba — że inaczej krzywda im będzie. Za nimi kłaniał się pan młody i czarnobrewa Ksenia, która, choć prosta młodystka, odrazu poznała, że jej prosba najwięcej może. A družbowie krzyczeli, że futor niedaleko, nie będzie rycerzowi z drogi, stary zaś bondar, bogaty, nie takiego miodu wytoczy. Pan Zagłoba spojrział po żołnierzach: ruszali wszyscy wąsami jak zające, różne sobie rozkosze w tańcu i napitkach obiecując, więc choć nie śmieli prosić, by jechać, zliłował się nad nimi pan Zagłoba — i po chwili on, družbowie, młodystka i żołnierze ruszyli w najpiękniejszej zgodzie do futoru.

Futor istotnie był niedaleko, a stary bondar bogaty, więc i wesele było szumne, popili się wszyscy mocno, a pan Zagłoba tak się rozochocił, że do wszystkiego był pierwszy. Zaczęły się tedy dziwne obrządki. Stare baby zawiodły Ksenię do komory i z nią się tam zamknęły; bawiły długo, poczem wyszły i oświadczyły, że młodystka, jak gołąbka, jak lilia. Wtedy radość zapanowała w zgromadzeniu, podniósł się krzyk: „Na sławul na szczastiel“ — Kobiety jęły klaskać w ręce i krzyczeć: „A szczo? ne kazały!“ — parobcy zaś tupali nogami i każdy tańczył w pojedynkę z kwartą w rękę, którą przed drzwiami komory „na sławu“ wypijał. Tańczył tak

i pan Zagłoba, tem tylko zacność swego urodzenia dystyngując, że nie kwartą, ale półgarncówką pił przed drzwiami. Potem bondarowie i kowalicha wprowadzili młodego Dymitra do komory — ale że młody Dymitr ojca nie miał, więc pokłoniono się panu Zagłobie, by go zastąpił — a on zgodził się i poszedł z innymi. Przez ten czas uciszyło się w izbie, tylko żołnierze, pijący na majdanie przed chatą, krzyk czynili, hałakując z radości po tatarsku i paląc z bandoletów. Lecz największa radość i hulatyka zaczęły się dopiero wówczas, gdy rodzice zjawili się napowrót w izbie. Stary bondar ścisnął z radości kowalicę, parobcy przychodzili do bondarowej i podejmowali ją pod nogi, a niewiasty sławiły ją, że tak ustrzegła córeczki, jak oka w głowie, jak hołubki i lilii ¹⁾, poczem puścił się z nią w tany pan Zagłoba. Poczeli więc dreptać naprzeciw siebie, a on w ręce klaskał i w prysiudach przysiadł i tak podskakiwał, i tak podkowami bił w podłogę, że aż drzazgi z desek leciały i pot obfity spływał mu z czoła. Poszli ich śladem inni, kto mógł — w izbie, kto nie mógł — na podwórce, młodycie z młojcami i z żołnierzami. Bondar coraz nowe beczki kazał wytaczać. Wreszcie wytoczyło się całe wesele z izby na majdan — zapalono stosy suchych bodiaków i łuczywa, bo zapadła już noc głęboka, i hulatyka zmieniła się w pijatykę na umór, żołnierze palili z bandoletów i muszkietów, jakby w czasie bitwy.

¹⁾ Wesele chłopskie z owych czasów opisuje naoczny świadek Beauplan.

Pan Zagłoba czerwony, spocony, chwiejący się na nogach, zapomniał co się z nim dzieje, gdzie jest; przez dymy, które mu były z czupryny, widział twarze biesiadników, ale choćby go na pal wbijano, nie umiałby powiedzieć, kto są ci biesiadnicy. Pamiętał, że jest na weselu — ale na czyjem? Ha! pewnie pana Skrzetuskiego z kniaziówną! Ta myśl wydała mu się najprawdopodobniejszą, utkwiała mu wreszcie jak gwoździć w głowie i taką napełniła go radością, że począł wrzeszczeć jak opętany: „Niech żyją! Panowie bracia, kochajmy się!“ — i coraz nowe spełniał półgarncówki: „W twoje ręce, panie bracie! Zdrowie naszego księcia pana! Żeby się nam dobrze działo! Bodaj ten paroksyzm ojczyznę minął!“ — Tu zalał się łzami i potknął się, idąc do beczki — i potykał się coraz więcej, bo na ziemi, jakby na pobojuwisku, leżało mnóstwo ciał nieruchomych. „Boże! — zawołał pan Zagłoba — niemasz już męstwa w tej Rzeczypospolitej. Jeden pan Łaszcz pić potrafi, drugi Zagłoba — a reszta! Boże! Boże!“ I oczy żałośnie ku niebu podniósł, a wtem spostrzegł, że ciała niebieskie nie tkwią już spokojnie nakształt złotych gwoździ w firmamencie, ale jedne trzęsą się, jakoby chciały z oprawy wyskoczyć, drugie zataczają koła, trzecie tańczą naprzeciw siebie kozaka — więc zdumiał się okrutnie pan Zagłoba i rzekł do swej duszy zdumionej: — Zali ja jeden tylko nie pijany in universo? Ale nagle i ziemia, tak samo jak gwiazdy, zatrzęsała się szalonym wirem, i pan Zagłoba runął jak długi na ziemię.

Wkrótce opadły go sny straszne. Zdało mu się, iż jakieś zmary usiadły mu na piersiach, że go gniotą

i przytłaczają do ziemi, że wiążą mu ręce i nogi. Jednocześnie o uszy obity mu się wrzaski i jak gdyby huk wystrzałów; jakieś jaskrawe światło przechodziło przez jego zamknięte powieki i raziło mu oczy blaskiem nieznośnym. Chciał się zbudzić, otworzyć oczy i nie mógł. Czuł, iż dzieje się z nim coś niezwykłego, że głowa zwiesza mu się w tył, jak gdyby go niesiono za ręce i nogi... Potem zdjął go jakiś strach; było mu źle, bardzo źle, bardzo ciężko. Wracała mu przez pół przytomność—ale dziwna—bo w towarzystwie takiej niemocy, jakiej nigdy w życiu nie doznawał. I jeszcze raz próbował się poruszyć, ale gdy mu się nie udało, rozbudził się lepiej i odemknął powieki.

Wówczas wzrok jego napotkał parę oczu, które wpijały się w niego chciwie, a były to czarne źrenice jak węgiel i tak złowrogie, że rozbudzony już zupełnie pan Zagłoba pomyślał w pierwszej chwili, że to dyabeł na niego patrzy — i znów przymknął powieki, i znów je prędko otworzył. Owe oczy patrzyły wciąż uporczywie — twarz wydała się znajomą: nagle pan Zagłoba zadygotał do szpiku kości, oblał go zimny pot, a po krzyżach przeszły mu aż do nóg tysiące mrówek.

Poznał twarz Bohuna.

ROZDZIAŁ VII.

Zagłoba leżał związany w kij do własnej szabli, w tej samej izbie, w której odbywało się wesele, a straszliwy watażka siedział opodal na zydlu i pał oczu przerażeniem jeńca.

— Dobry wieczór waścił — rzekł, dojrzwawszy otwarte powieki swej ofiary.

Pan Zagłoba nie odrzekł nic, ale w jednym mgnienu oka oprzytomniał tak, jakby kropli wina do ust nie brał, jeno mrówki, doszedłszy mu do pięt, wróciły się do góry aż do głowy, a szpik w kościach stał się zimny jak lód. Mówią, że człowiek tonący w ostatnim momencie widzi jasno całą swoją przeszłość, że przypomina wszystko — i zdaje sobie sprawę z tego, co się z nim dzieje; — taką jasność widzenia i pamięci posiadał w tej chwili pan Zagłoba, a ostatniem słowem tej jasności był cichy, niewypowiedziany ustami okrzyk:

— Ten mi dopiero da łupniał

A watażka powtórzył spokojnym głosem:

— Dobry wieczór waszmości.

— Brr! — pomyślał Zagłoba — wolałbym, by wpadł w furję.

— Nie poznajesz mnie, panie szlachcic?

— Czołem, czołem! Jak zdrowie?

— Nieźle. A wascinem to już ja sam się zajmę.

— Nie prosiłem Boga o takiego doktora i wątpię, abym mógł strawić twoje lekarstwa, ale dziej się wola Boża.

— No, ty mnie kurował, teraz ja się tobie wywdzięczę. My stare druchy. Pamiętasz, jak ty mnie głowę obwiązywał w Rozłogach? co?

Oczy Bohuna poczęły świecić, jak dwa karbunkuły, a linia wąsów przedłużała się w straszliwym uśmiechu.

— Pamiętam — rzekł Zagłoba — że mogłem cię nożem pchnąć i nie pchnąłem.

— A ja to ciebie pchnął? albo cię myślę pchnąć? Niel ty dla mnie lubczyk—kochańczyk; ja ciebie będę strzegł, jak oka w głowie.

— Zawsze mówiłem, że zacny z ciebie kawaler— rzekł Zagłoba, udając, że bierze za dobrą monetę słowa Bohuna, a jednocześnie przez głowę przeleciała mu myśl: — Już widać on mi specyał jakowys obmyśli; nie umrę poprostu.

— Ty dobrze mówił — ciągnął Bohun — ty także zacny kawaler; tak my się szukali i znaleźli.

— Co prawda, tom ciebie nie szukał, ale dziękuję za dobre słowo.

— Podziękujesz ty mi jeszcze lepiej niezadługo, i ja tobie podziękuję za to, że ty mnie młodycię z Rozłogów do Baru wywiódł. Tam ja ją i znalazł, a teraz, ot! na weseleby ciebie prosił, ale to nie dziś i nie jutro, teraz wojna, a ty stary człowiek, może nie dożyjesz.

Zagłoba, mimo strasznego położenia, w jakim się znajdował, nadstawił uszu.

— Na wesele? — mruknął.

— A co ty myślał? — mówił Bohun — czy to ja chłop, żeby ja bez popa niewolił, albo mnie nie stać na to, żeby ja w Kijowie ślub brał? Nie dla chłopaka ty ja do Baru przywiódł, ale dla atamana i hetmana...

— Dobrze! — pomyślał Zagłoba.

Potem zwrócił głowę ku Bohunowi:

— Każ mnie rozwiązać — rzekł.

— Poleż, poleż, ty w drogę pojedziesz, a ty stary, tobie odpocząć przed drogą.

— Dokąd mnie chcesz wieść?

— Ty mój przyjaciel, tak ja cię do drugiego mojego przyjaciela zawiodę, do Krzywonosy. Już my oba pomyślimy, żeby tobie tam było dobrze.

— Będzie mi ciepło! — mruknął szlachcic, i znowu mrówki poczęły mu chodzić po grzbiecie.

Nakoniec począł mówić:

— Wiem, że ty do mnie rankor masz, ale niesłusznie, niesłusznie — Bóg widzi. My żyli razem i w Czehryniu nie jeden gąsior wypili, bo miałem dla ciebie afekt ojcowski, za twoją fantazyę rycerską, jakiej lepszej nie znalazłeś na całej Ukrainie. Ot co! Czym ja tobie w drogę wchodził? Żebyś ja był z tobą do Rozłogów wtedy nie jeździł, tobyśmy do tej pory w dobrej przyjaźni żyli — a pocóżemjechał, jeśli nie z życzliwości ku tobie? I żebyś się nie był wściekł, żebyś nie był mordował onych nieszczęśnych ludzi — Bóg na mnie patrzy — nie byłbym ci wchodził w drogę. Co mnie się do cudzych spraw mieszać! Wolałbym, żeby dziewczyna była twoja, niż

czyja inna. Ale przy twoich tatarskich zalotach sumienie mnie ruszyło, że to przecie szlachecki dom. Sambyś nieinaczej postąpił. Mogłem cię przecie z tego świata zgładzić, z większym moim pożytkiem — a przecz-żem tego nie uczynił? Bom szlachcie i wstyd mi było. Zawstydz-że się i ty, bo wiem, że się nade mną chcesz znęcać. Dziewczynę i tak masz w ręku — czego ode mnie chcesz? Zalim jej nie strzegł, jak oka w głowie—tego twojego dobra? Żeś ją uszanował, znać, że i w tobie jest rycerski honor i sumienie, ale jakże to jej podasz rękę, którą w mojej krwi niewinnej ubroczysz? Jako to jej powiesz: tego człeka, który cię przez chłopstwo i Tatarstwo przeprowadził, na mękim wydał? Zawstydz-że się i puść mnie z tych pętów i z tej niewoli, w którą mnie zdradą pochwyciłeś. Młodyś jest i nie wiesz, coć potkać może—a za moją śmierć Bóg cię będzie karał na tem, co ci najmilsze.

Bohun wstał z zydlu, blady ze wściekłości, i zbliżywszy się do Zagłoby, zaczął mówić przydużonym przez furę głosem:

— Wieprzu nieczysty, pasy drzeć z ciebie każę, na wolnym ogniu spale, ćwiekami nabiję, na szmaty rozerwę!

I w przystępie szaleństwa pochwycił za nóż wiszący u pasa—przez chwilę ścisnął go konwulsyjnie w pięści—już, już ostrze zaświeciło panu Zagłobie w oczach, ale watażka pohamował się, nóż wepchnął z powrotem w pochwę i zakrzyknął:

— Mołojcy!

Sześciu Zaporozców wpadło do izby.

— Wziąć to ścierwo lackie i w chlewie rzucić, a strzedz, jak oka w głowie!

Kozacy porwali pana Zagłobę, dwóch za ręce i za nogi, jeden z tyłu za czuprynę — i wyniósłszy z izby, przenieśli przez cały majdan, nakoniec porzucili go na gnoju w stojącym opodal chlewie. Potem drzwi się zamknęły i jeńca otoczyła zupełna ciemność, jeno przez szpary między belkami i przez dziury w poszyciu przedzierało się tu i owdzie blade światło nocne. Po chwili oczy pana Zagłoby przyzwyczały się do pomroki. Rozejrzał się dokoła i ujrzał, że w chlewie nie ma świń, ani mołojców. Rozmowy tych ostatnich dochodziły go zresztą wyraźnie przez wszystkie cztery ściany. Widocznie cały budynek obstawiony szczelnie, ale mimo tych straży pan Zagłoba odetchnął głęboko.

Przedewszystkiem żył. Gdy Bohun błysnął nad nim nożem, był pewien, że już ostatnia jego chwila wybiła—i Bogu ducha polecał, co prawda, z największym strachem. Ale widocznie Bohun postanowił go zakonserwować na śmierć nierównie wymyślniejszą. Pragnął nietylko się zemścić, ale i nasycić się zemstą nad tym, który wydał mu krasawicę, i sławę jego mołojecką nadwerężył, a samego śmiesznością okrył, spowiwszy go jak dziecko. Była to tedy smutna dla pana Zagłoby perspektywa, ale na razie pocieszała go jednak myśl, że jeszcze żyje, że prawdopodobnie do Krzywonosy go powiodą i tam dopiero na pytki go wezmą—że więc ma kilka, a może i więcej dni przed sobą; tymczasem zaś leży sobie oto w chlewie, samotny, i może wśród ciszy nocnej o fortelach pomyśleć.

To była jedna dobra strona sprawy, ale gdy o złych pomyślał, znowu mrówki poczęły mu tysiącami chodzić po grzbiecie.

Fortele!...

— Gdyby tu wieprz, albo świnia leżała w tym chlewie — mruczał pan Zagłoba — miałyby ich więcej niż ja, boby jej nie związywali w kij do własnej szabli. Niechby Salomona tak związali, nie byłby mądrzejszy od własnych pludrów, albo od mego napiętka. O Boże, Boże, za co mnie tak karzesz! Na tylu ludzi na świecie, tego jednego złodzieja najbardziej uniknąć pragnąłem — i takie moje szczęście, że go właśnie nie uniknął. Będę miał skórę wyczesaną, jak świebodzińskie sukno. Żeby to inny mnie złapał, tobym deklarował, że do buntu przystaję, a potem umknął. Ale i innyby nie uwierzył, a cóż dopiero ten! Czuję, że mi serce zamiera. Dyabli mnie tu przynieśli — o Boże, Boże, ani ręką, ani nogą ruszyć nie mogę, o Boże! Boże!

Po chwili jednak pomyślał pan Zagłoba, że gdyby miał wolne ręce i nogi, łatwiejby mógł jakichkolwiek fortelów się chwycić. A nużby popróbowował? Byłe tylko szablę zdołał z pod kolan wysunąć, reszta poszłaby łatwiej. Ale jak tu ją wysunąć? przewrócił się na bok — źle... Pan Zagłoba zamyslił się głęboko.

Następnie począł się kołysać na własnym grzbiecie coraz prędzej i prędzej — a za każdym takim ruchem posuwał się o pół cala naprzód. Zrobiło mu się gorąco, czupryna zapociła mu się gorzej niż w tańcu, i chwilami ustawał i spoczywał, chwilami przerywał pracę, bo zdało mu się, że któryś z mójców idzie ku drzwiom — i znów rozpoczynał z nowym zapałem, nakoniec przysunął się do ściany.

Wówczas począł się kiwać inaczej, bo nie od

głowy ku nogom, ale z boku na bok, tak, że za każdym razem uderzał z lekka w ścianę końcem szabli, która wysuwała się przez to z pod kolan, przechylając się coraz bardziej ku wewnątrz, na stronę rękojeści.

Serce poczęło bić w panu Zagłobie jak młotem, bo ujrzał, że ten sposób może być skuteczny.

I pracował dalej, starając się jak najciszej uderzać, i tylko wówczas, gdy rozmowa młojców głośzyła lekkie uderzenia. Przyszła nareszcie chwila, że koniec pochwy znalazł się na jednej linii z łokciem i kolanem i że dalsze kiwania się ku ścianie nie mogły go już wypychać.

Tak, ale natomiast z drugiej strony zwieszała się już znaczna część szabli, i wiele cięższa, biorąc na uwagę rękojeść.

Na rękojeści był krzyżyk, jako zwykle przy karabelach; pan Zagłoba liczył na ów krzyżyk.

I po raz trzeci począł kołysać się, ale tym razem celem jego usiłowań było odwrócenie się nogami do ściany. Dopiąwszy i tego, jął posuwać się wzdłuż. Szabla jeszcze tkwiła między podkolanami a rękoma, ale rękojeść zawadzała się co chwila o nierówności gruntu — nakoniec krzyżyk zawadził silniej — pan Zagłoba kiwnął się ostatni raz i przez chwilę radość przygwoździła go na miejscu.

Szabla wysunęła się zupełnie.

Szlachcic zdjął wówczas ręce z kolan, a chociaż dłonie miał jeszcze związane, uchwycił nimi szablę napowrót. Pochwę przytrzymał nogami i wyciągnął żeleźce.

Rozciąć pęta na nogach było teraz dziełem jednej chwili.

Trudniej było z dłońmi. Pan Zagłoba musiał ułożyć szablę na gnoju, tyłcem do dołu, ostrzem do góry, i trzeć o ostrze postronki dopóty, dopóki ich nie rozciął.

Gdy to uczynił, był nietylko wolny od pęt, lecz i uzbrojony.

Odetchnął też głęboko, poczem przeżegnał się i zaczął Bogu dziękować.

Ale od rozcięcia pęt do uwolnienia się z rąk Bohunowych było jeszcze bardzo daleko.

— Co dalej? — pytał samego siebie pan Zagłoba.

I nie znalazł odpowiedzi. Chlew naokoło obstawiony mołojcami; było ich tam razem ze stu, mysz nie mogłaby się wymknąć niepostrzeżona, a cóż dopiero człowiek tak tęgi, jak pan Zagłoba!

— Widzę, że zaczynam w piętkę gonić — rzekł sam do siebie — a mój dowcip tyle wart, żeby nim buty wysmarować, chociaż i smarowidła lepszego możnaby u Węgrzynów na jarmarku kupić. Jeśli mnie Bóg nie ześle jakiej myśli, to pójdę wronom na pieczeń, ale jeśli ześle, to się ofiaruję w czystości trwać, jako pan Longinus.

Głośniejsza rozmowa mołojców za ścianą prze-rwała mu dalsze rozmyślanie, poskoczył więc i ucho przyłożył do szpary między belkami.

Wysuszone sosnowe belki odbijały głosy, jak pudło teorbanu; słowa dochodziły wyraźnie.

— A gdzie my stąd pojedziemy, ojcze Owsiwuju? — pytał jeden głos.

— Nie znaju, pewno do Kamieńca — odparł drugi.

— Bał konie ledwo nogami włóczę, nie dojdą.

— Dłatego tu i stoimy; do rana wypoczną.

Nastała chwila milczenia; potem pierwszy głos ozwał się ciszej, jak poprzednio:

— A mnie się widzi, ojczy, że ataman z pod Kamieńca za Jampol ruszy.

Zagłoba wstrzymał oddech w piersi.

— Milcz, jeśli ci młoda głowa miła!—brzmiała odpowiedź.

Nastała chwila milczenia, tylko z za innych ścian dochodziło szeptanie.

— Wszędy są, wszędy pilnują! — mruknął Zagłoba.

I poszedł ku przeciwległej ścianie.

Tym razem doszedł go chrzęst żutych obroków i parskanie koni, które widocznie stały tuż, a między niemi mołojcy rozmawiali leżący, bo głosy dochodziły z dołu.

— Hej! — mówił jeden — my tu jechali nie śpiąc, nie jedząc, koniom nie popasając, poto, by na pale w obozie Jaremy poszli.

— To już pewno, że on tu jest?

— Ludzie, którzy z Jarmoliniec uciekli, widzieli go, jako ciebie widzę. Strach co mówią: wielki on jak sosna, we łbie dwie główne, a koń pod nim smok.

— Hospody pomyśl!

— Nam tego Lacha z żołnierzami zabrać i uciekać.

— Jak uciekać? Konie i tak zdychają.

— Żle, braty ridnyje. Żeby ja był atamanem, tak jaby temu Lachowi szyję uciął i do Kamieńca choć piechotą wracał.

— Jego z sobą pod Kamieniec weźmiemy. Tam z nim atamany nasze poigrają.

— Pierwej z wami dyabli poigrają — mruczał Zagłoba.

Jakoż mimo całego strachu przed Bohunem, a może właśnie dlatego, przysiągł sobie, że się żywcem nie da wziąć. Jest wolny od pęt, szablę ma w ręku — będzie się bronił. Rozsiekają go, to rozsiekają; ale żywcem nie wezmą.

Tymczasem parskanie i stękanie koni, widocznie nadzwyczajnie zdrażonych, zgłuszyło dalszą rozmowę, a natomiast poddało pewną myśl panu Zagłobie.

— Żebym to mógł przez tę ścianę się przedostać, a na konia niespodzianie skoczyć! — myślał. — Jest noc, nimby się obaczyli, co się stało, jużbym im uszedł z oczu. Po tych jarach i rozłogach przy słońcu trudno gonić, a cóż dopiero w ciemnościach. Dajże mi Boże sposobność!

Ale o sposobność nie było łatwo. Trzebaby chyba ścianę rozwalić, a na to trzeba było być panem Podbipiętą, lub się podkopać jak lis, a i wówczas pewnieby usłyszeli, zobaczyli i ucapili zbiega za kark, nimby nogą strzemienia sięgnął.

Do głowy panu Zagłobie cisnęły się tysiące fortelów, ale właśnie dlatego, że były ich tysiące, żaden nie przedstawiał się jasno.

— Nie może już inaczej być, jeno skórą zapłać — pomyślał.

I ruszył ku trzeciej ścianie.

Nagle uderzył głową o coś twardego, zmacał: była to drabinka. Chlew nie był świński, ale bawoli, i do połowy długości miał strych, służący za skład słomy i siana. Pan Zagłoba bez chwili namysłu wylazł na górę.

Potem siadł, odetchnął i począł zwolna wciągać za sobą drabinkę.

— No, tom jest i w fortacy! — mruknął. — Choćby też i drugą drabinę znaleźli, nieprędko się tu dostaną. Jeśli pierwszego łba, który się tu wychyli, nie rozwalę na dwoje, to się pozwolę na schab uwędzić. O, do dyabła! — rzekł nagle — istotnie będą mnie mogli nietylko uwędzić, ale upiec i na łój przetopić. Ale niech tam! zechcą chlew spalić, do brze! żywcem mnie tembardziej nie dostaną, a wszystko mi jedno, czy mnie krucy zdziobią surowego, czy piezonego. Byłem tych zbójceckich rąk uszedł, o resztę nie dbam i mam nadzieję, że jeszcze jakoś to będzie.

Pan Zagłoba łatwo przechodził widać od ostatniej rozpaczki do nadziei. Jakoż niespodzianie taka w niego wstąpiła ufność, jakby już był w obozie księcia Jeremiego. A jednak położenie jego nie poprawiło się o wiele. Siedział na strychu i mając szablę w garści, mógł istotnie długo przystępu bronić. Ot i wszystko. Ale ze strychu do wolności była droga, jak z pieca na łeb, z tą jeszcze różnicą, że w dole czekały szable i spisy mołojców, czyhających pod ścianami.

— Jakoś to będzie! — mruknął pan Zagłoba.

I zbliżywszy się do dachu, począł zlekka rozrywać i unosić poszycie, aby sobie prospectus na świat otworzyć.

Poszło mu to z łatwością, gdyż mołojcy rozmawiali ciągle pod ścianami, chcąc zabić nudę czuwania, a przytem powstał dość silny wiatr i głuszył powiewem wśród pobliskich drzew szelest unoszonych snopków.

Po pewnym czasie dziura była gotowa; pan Za-

głoba wetknął w nią głowę i począł rozglądać się naokoło. www.libtool.com.cn

Noc poczyniała już ustępować, a na wschodnią stronę nieba wstępował pierwszy brzask dnia, więc przy bladym świetle ujrzał pan Zagłoba cały majdan wypełniony kołmi, przed chatą szeregi śpiących mołojców, powyciągane nakształt długich niewyraźnych linii, dalej żóraw studzienny i koryto, w którem świeciła woda, a obok nich znów szereg śpiących ludzi i kilkunastu mołojców z gołymi szablami w rękę, przechadzających się wzdłuż owego szeregu.

— To moi ludzie, których w łyka wzięto — mruknął szlachcic. — Ba! — dodał po chwili — żeby to byli moi, ale książęcy. Dobrym byłem ich wodzem, niema co mówić! Zawiodłem ich psu w gardło. Wstyd będzie oczy pokazać, jeśli mnie Bóg wróci wolność. A wszystko przez co? przez amory i napitki. Co mnie było do tego, że się chamy żenią? Tyle miałem do roboty na tem weselu, ile na psiem. Wyrzekam się tego zdrajcy miodu, który włazi w nogi, nie w głowę. Wszystko złe na świecie z pijaństwa, bo gdyby nas byli trzeźwych napadli, byłbym jako żywo otrzymał wiktoryę i Bohuna w chlewie zamknął.

Tu wzrok pana Zagłoby padł znowu na chatę, w której spał watażka, i zatrzymał się na jej drzwiach.

— O śpij, złodzieju! — mruknął — śpij! niech ci się przyśni, żeć dyabli łuszcza, co cię i tak nie minie. Chciałeś z mojej skóry przetak uczynić, spróbuj tu wleźć do mnie na górę, a obaczymy, czy ci twojej tak nie posiekam, że się i psom na buty nie zda. Żebym się tylko mógł stąd wyrwać, żebym się mógł wyrwać! Ale jak?

Rzeczywiście zadanie było prawie nie do spełnienia. Cały majdan tak był zapchany ludźmi i końmi, że choćby pan Zagłoba zdołał wydostać się z chlewa, choćby zsunąwszy się z dachu, skoczył na jednego z tych koni, które stały tuż pod chlewem, nie zdołałby żadną miarą dotrzeć nawet do wrót, a cóż dopiero wydostać się za wrota!

A jednak zdawało mu się, że dokonał większej połowy zadania: był wolny, uzbrojony i siedział pod strychem, jakoby w fortocy.

— Cóż u licha — myślał — czy potem się z łyk uwolnił, żeby się na nich powiesić?

I znowu fortele poczęły mu huczeć w głowie, ale było ich takie mnóstwo, że ani rusz wybrać.

Tymczasem szarzało coraz bardziej. Okolice chaty poczęły się wychylać z cienia, dach chaty powlókł się jakoby srebrem. Już pan Zagłoba mógł dokładniej odróżnić pojedyncze grupy na majdanie, już dojrzał czerwoną barwę swych ludzi, leżących koło studni — i baranie kozuchy, pod którymi spali mołojcy wedle chaty.

Nagle jakaś postać podniosła się z szeregu śpiących i poczęła iść wolnym krokiem przez majdan, zatrzymując się tu i owdzie koło ludzi i koni; chwilę pogadała z mołojcami, pilnującymi jeńców, i na koniec zbliżyła się do chlewa. Pan Zagłoba sądził w pierwszej chwili, że to jest Bohun, zauważył bowiem, że strażnicy rozmawiali z ową postacią, tak jak podwładni z przełożonym.

— Ej! — mruknął — żebyś to miał teraz guldynkę w ręku, nauczyłbym cię, jak to nogami się nakrywać.

W tej chwili postać owa podniosła głowę i na twarz jej padł szary blask switu: to nie był Bohun, ale sotnik Hołody, którego pan Zagłoba poznał natychmiast, bo go znał doskonale jeszcze z tych czasów, gdy dotrzymywał Bohunowi kompanii w Czechryniu.

— Chłopcy! — rzekł Hołody — a nie śpicie?

— Nie, bat'ku, choć i chce się spać. Czasby nas zmienić.

— Zaraz was zmienię. A wraży syn nie uciekł?

— Oj, oj! Chyba dusza z niego uciekła, ojczy, bo się ani ruszył.

— Szczwana to liszka. A obaczcie no, co się z nim dzieje, bo on gotów się w ziemię zapaść.

— Zaraz! — odrzekło kilku mołojców, zbliżając się ku drzwiom chlewa.

— Stoczcie też i siana ze stropu. Konie wytrześć! Ze wschodem ruszamy!

— Dobrze, bat'ku!

Pan Zagłoba, porzuciwszy co tchu swoje stanowisko przy dziurze w dachu, przyczołgał się do otworu w stropie. Jednocześnie usłyszał skrzyp drewnianej zawory i szelest słomy pod nogami mołojców. Serce biło mu młotem w piersi, a ręką ścisnął głownię szabli, ponawiając sobie w duchu śluby, że prędzej da się spalić razem z chlewem, lub na sieczkę pociąć, niż żywcem wziąć. Spodziewał się też, że lada chwila mołojcy podniosą wrzask straszliwy, ale się omylił. Czas jakiś słychać było, jak chodzili coraz to śpieszniej po całym chlewie, nareszcie jeden ozwał się:

— Jaki tam czort? nie mogę go zmacać! My go ot tu rzucili.

— Niesamowity, czy co? Skrzesz ognia, Wasyl, ciemno tu, jak w lesie.

Nastąpiła chwila milczenia; Wasyl szukał widocznie hubki i krzesiwa, drugi zaś młójec począł wołać zcicha:

— Pane szlachcic, odezwij się!

— Całuj psa w ucho! — mruknął Zagłoba.

Wtem żelazo poczęło szczekać o krzemień, sypnął się rój iskier i rozświecił ciemne wnętrza chlewa i głowy młójców, przybrane w kapuzy, poczem zapadła ciemność jeszcze głębsza.

— Niema! niema! — wołały gorączkowe głosy.

Wówczas jeden z młójców poskoczył ku drzwiom.

— Bat'ku Hołody! bat'ku Hołody!

— Co takiego? — pytał sotnik, ukazując się we drzwiach.

— Niema Lacha!

— Jak to niema?

— W ziemię zapadł! Niema nigdzie. O Hospody pomyśl! My ogień krzesali, niema!

— Nie może być! Oj, byłoby wam od atamana! Uciekł, czy co? pospaliście się?

— Nie, bat'ku, my nie spali. Z chlewa on nie wyszedł naszą stroną.

— Cicho, nie budzić atamana! jeśli nie wyszedł, to musi gdzieś być. A wy wszędzie szukali?

— Wszędzie.

— A na stropie?

— Jak jemu było na strop leżeć, kiedy był w łykach.

— Durny ty! Żeby on się nie rozwiązał, toby tu był. Szukać na stropie! Skrzesać ognia!

Sypnęły się znowu iskry. Wieść przeleciała wnet przez wszystkie strażę. Poczęto się tłoczyć do chlewa z owym pośpiechem, zwyczajnym w nagłych razach; słychać było szybkie kroki, szybkie pytania i jeszcze szybsze odpowiedzi. Rady krzyżowały się, jak miecze w boju.

— Na strop! na strop!

— A pilnuj z zewnątrz!

— Nie budzić atamana, bo będzie bieda!

— Niema drabiny!

— Przynieść drugą!

— Niema nigdzie!

— Skoczyć do chaty, czy tam niema?

— O Lach przeklęty!

— Leżeć po węglach na dach, dachem się przedostać!

— Nie można, bo wystaje i podbity deskami!

— Przynieść spisy! Po spisach tędy wejdziemy!
A sobaka! drabinę wciągnął!

— Przynieść spisy! — zabrzmiał głos Hołodego.

Mołojcy skoczyli po spisy, inni zaś popodnosili głowy ku stropowi. Już też rozpierzchłe światło wniknęło przez otwarte drzwi i do chlewa, a przy jego niepewnym blasku widać było kwadratowy otwór stropu, czarny i cichy.

Z dołu ozwały się pojednawcze głosy:

— No, pane szlachcic! Spuść drabinę i zleź!
I tak się nie wymkniesz: poco ludzi trudzić? Zleź, zleź!
Cisza.

— Ty mądry człowiek! Żeby tobie to co pomogło, tak tyby siedział, ale że to tobie nie pomoże, tak ty zleziesz dobrowolnie, ty dobry!

Cisza.

— Zieź, a nie, to ci skórę ze łba zedrzemy, łbem na dół w gnój cię zrzucimy!

Pan Zagłoba pozostał równie głuchy na groźby, jak na pochlebstwa, i siedział w ciemnościach jak borsuk w jamie, gotując się do zaciętej obrony. Tylko szablę coraz mocniej ścisnął, i sapał trochę, i w duchu pacierz szeptał.

Tymczasem przyniesiono spisy, związano trzy w pęk i postawiono ostrzami ku otworowi. Panu Zagłobie przemknęła przez głowę myśl, czyby nie porwać ich i nie wciągnąć, ale pomyślał także, że dach może być za nisko i że nie zdoła ich wciągnąć zupełnie. Zresztą przyniesionoby w tej chwili inne.

Tymczasem cały chlew napełnił się mołojcami. Niektórzy świecili łuczywem, inni poznosili najrozmaitsze drągi i drabiny od wozów, które okazały się za krótkie, więc wiązano je co duchu rzemieniami, bo po spisach trudno istotnie było się wspinać. Jednakże znaleźli się chętni.

— Ja pójdę! — wołało kilka głosów.

— Czekać na drabinę! — rzekł Hołody.

— A co szkodzi, bat'ku, popróbować po spisach?

— Wasyl wlezie! on tak jak kot chodzi.

— To próbuj!

A inni poczęli zaraz żartować:

— Ej, ostrożnie! On szablę ma, szyję utnie, obaczysz!

— Sam za łeb złapie i wciągnie, a tam cię opatrzy, jak niedźwiedź!

Wasyl nie dał się stropić.

— On znaje — rzekł — że niechby on mnie palcem dotknął, czortaby mu ataman dał zjeść i wy, braty.

Było to ostrzeżenie dla pana Zagłoby, który siedział cicho, ani mruknął.

Lecz mołojcy, jak to zwykle między żołnierzami, wpadli już w dobry humor, bo całe zajście poczęło ich bawić, więc dalej przymawiać Wasylowi:

— Będzie jednym durnym mniej na świecie, na białym.

— On tam nie będzie zważał, jak my jemu zapłacim za twoją szyję. On śmiały mołojec!

— Ho! ho! On niesamowity. Czort jego wie, w co on się tam już zmienił, to czarownik! Ty, Wasyl, niewiadomo kogo tam znajdziesz w czeluści!

Wasyl, który splunął już w dłonie i obejmował właśnie niemi spisy, wstrzymał się nagle.

— Na Lacha pójdę — rzekł — na czorta nie!

Ale tymczasem związano drabiny i przystawiono je do otworu. Żle było i po nich wchodzić, bo się zaraz wygięły na związaniu i szczeble cienkie trzeszczały pod stopami, które na próbę na najniższym stawiono. Ale począł wchodzić sam Hołody, wchodząc zaś mówił:

— Ty, panie szlachcic, widzisz, że to nie żarty. Uparłeś się na górze siedzieć, to siedź, ale się nie broń, bo my cię dostaniem i tak, choćby i cały chlew mieli rozebrać. Ty miej rozum!

Nakoniec głowa jego dotknęła czeluści i pograżała się w niej zwolna. Nagle dał się słyszeć świst szabli, kozak krzyknął strasznie, zachwiał się i padł między mołojców, z rozwaloną na dwie połowy głową.

— Koli! koli! — zawrzasnęli mołojcy.

W całym chlewie powstał straszliwy zamęt, podniosły się krzyki i wołania, które zgłuszył grzmiący głos pana Zagłoby:

— Ha, złodzieje, ludojady, ha, basałyki! do nogi was wytłukę, szelmy parszywe! Poznajcie rycerską rękę! Ludzi uczciwych po nocy napadać w chlewie szlachcica zamykać! ha, łotry! W pojedynkę ze mną, w pojedynkę, albo i po dwóch! Chodźcie-no sam! ale łby zostawcie w gnoju, bo poncinam, jakom żywi!

— Koli! koli! — wołali mołojcy.

— Chlew spalimy!

— Ja sam spalę, bycze ogony, byle z wami!

— Po kilku! po kilku na raz! — krzyknął stary kozak. — Trzymać drabiny, spisami podpierać, przynieść snopów na łby i dalej... Musimy go dostać!

To rzekłszy, ruszył w górę, a razem z nim dwóch towarzyszków; szczeble poczęły się łamać, drabiny wygięły się jeszcze mocniej, ale przeszło dwadzieścia krzepkich rąk pochwyciło je za drągi, w górze popodpierano spisami. Inni powtykali ostrza spis w otwór, by cięcia szabli zahamować.

W kilka chwil później, trzy nowe ciała spadły na głowy stojącym w dole.

Pan Zagłoba, rozgrzany tryumfem, ryczał jak bawół i zionął takie przekleństwa, jakich świat nie słyszał i od jakich dusze niezawodnie zamaryłyby w mołojcach, gdyby nie to, że wściekłość poczęła ich ogarniać. Niektórzy kłóli spisami strop, inni darli się na drabinę, chociaż w czeluści czekała śmierć pewna. Nagle krzyk się zrobił przy drzwiach i do chlewa wpadł sam Bohun.

Był bez czapki, tylko w szarawarach i koszuli, w rękę miał gołą szablę, w oczach płomień.

— Przez dach, psiawiary! — krzyknął. — Poszycie rozerwać i żywcem brać!

A Zagłoba, ujrzawszy go, ryczał:

— Chamie, pójdz-no tu tylko! Nos i uszy ci obetnę, gardła nie wezmę, bo to kata własność. A co! tchórz cię obleciał? boisz się, parobku? Związać mi tego szelmę, a łaskę znajdziecie. Cóż, wisielcze, cóż, kukło żydowska, sam tu! Wychył jeno łba na strop! Chodź, chodź, będę ci rad! poczęstuję tak, żeć się przypomni i twój ojciec dyabeł i twoja mać gamratka.

Tymczasem krokwie dachu jęły trzeszczeć. Widocznie mołojcy dostali się na niego i teraz rwali już poszycie.

Zagłoba dosłyszał, ale strach nie odjął mu sił. Był jakby spity bitwą i krwią.

— Skoczę w kąt i tam zgine — pomyślał.

Ale w tej chwili na całym majdanie rozległy się strzały, a jednocześnie kilkunastu mołojców wpadło do chlewa.

— Bat'kul bat'kul — krzyczeli w niebogłosy: — bywaj!

Pan Zagłoba w pierwszej chwili nie zrozumiał co się stało — i zdumiał. Spojrzy przez czeluść na dół, aż tam nikogo już niema. Krokwie w dachu nie trzeszczą.

— Co to jest? co się stało? — zawołał głośno. — Ha! rozumiem. Chcą chlew puścić z ogniem i z pistoletów do dachu pałą.

Tymczasem na zewnątrz słychać było coraz straszniejsze wrzaski ludzkie, tętent koni. Strzały zmieszane z wyciem, szczęk żelaza.

— Boże! to chyba bitwa! — pomyślał pan Zagłoba.

I skoczył do swojej dziury w dachu.

Spojrzał — i nogi ugięły się pod nim z radości.

Na majdanie wrzała bitwa, a raczej ujrzał pan Zagłoba straszliwy pogrom Bohunowych mołojców. Napadnięci znienacka, rażeni ogniem z pistoletów, przykładanych do łbów i piersi, przyparci do płotów, do chaty i do stodoły, cięci mieczami, pchani falą piersi końskich, miażdżeni kopytami, mołojcy ginęli, nie dając prawie oporu. Szeregi żołnierzy, przybranych w krasne barwy, siekąc zapamiętane i naciskając uciekających, nie dozwoliły im się sformować, ani szablę się złożyć, ani odetchnąć, ani dosiąść koni. Broniły się tylko pojedyncze kupy; inni dopinali wśród wrzawy, zamętu i dymu rozluźnione popręgi kulbak i ginęli, nim zdolali nogą dotknąć strzemienia — inni rzucając spisy i szable, zmykali pod płoty, więźli między żerdziami i przeskakiwali przez wierzch, wrzeszcząc i wyjąc nieludzkimi głosami. Zdawało się nieszczęsnym, że sam książę Jeremi spadł na nich niespodzianie, jak orzeł, że druzgocze ich całą jego potęgą. Nie mieli czasu się opamiętać, obejrzeć: okrzyki zwycięzców, i świst szabel, i huki wystrzałów gnały ich jak burza, gorący oddech koński oblewał im karki. „Ludy, spaszajcieś!“ — rozległo się ze wszystkich stron. — „Bij, zabij!“ — odpowiadali napastnicy.

I dojrzał наконец pan Zagłoba małego pana Wołodyjowskiego, jak stojąc wedle wrot na czele kilkunastu żołnierzy, głosem i buławą wydawał innym rozkazy, a niekiedy rzucał się na swym gnia-

dym koniu w zamęt i wówczas ledwo się złożył, ledwie się zwrócił, już padał człowiek, nawet nie wydawszy okrzyku. O, bo mistrz to był nad mistrzami mały pan Wołodyjowski — i żołnierz z krwi i kości, więc bitwy nie tracił z oka, ale poprawiwszy tu i owdzie, znowu się wracał i patrzył, i poprawiał, właśnie jak ów, który kapelą kierując, czasem sam zagra, czasem grać przestaje, a nad wszystkimi ustawicznie czuwa, by każdy swoje odegrał.

Widząc to, pan Zagłoba począł nogami tupać w deski stropu, aż kłęby kurzu powstały, w ręce klaskać i ryczeć:

— Bij psubraty, bij, morduj, ze skóry łup! siekaj, tnij, wał, rznij, morduj! Dalejże w nich, dalej! na szable ich i w pień!

Tak krzyczał pan Zagłoba i rzucał się, oczy krwią mu zasłzy z wysilenia i zaniewidział na chwilę, ale gdy znów wzrok odzyskał, ujrzał jeszcze piękniejszy widok — oto w kupie kilkudziesięciu mołojców, pomykał na koniu jak błyskawica Bohun, bez czapki, w koszuli tylko i hajdawerach, a za nim na czele żołnierzy mały pan Wołodyjowski.

— Bij! — krzyknął Zagłoba — to Bohun!

Ale głos nie doszedł; tymczasem Bohun z mołojcami przez płot, pan Wołodyjowski przez płot, niektórzy zostali — innym konie zwinęły się w skoku. Spojrzy Zagłoba: Bohun na równinę, pan Wołodyjowski na równinę. Wnet rozproszyli się i mołojcy w ucieczce, i żołnierze w biegu — rozpoczął się pościg pojedynczy. Zagłobie dech zamarł w piersi, oczy ledwie mu z powiek nie wyskoczą, cóż bowiem widzi? Oto jedzie już pan Wołodyjowski na karku

Bohuna, jak ogar na dziku, watażka zwraca głowę, nadstawia szablę.

— Biją się! — krzyczy Zagłoba.

Chwila jeszcze i Bohun pada razem z koniem, a pan Wołodyjowski, tratując po nim, pędzi za innymi.

Ale Bohun żyw, bo zrywa się z ziemi i pobiegł ku skałom zarosłym chaszczami.

— Trzymaj! trzymaj! — ryczy Zagłoba — to Bohun!

Wtem pędzi nowa wataha mołojców, która aż do tej chwili przemykała się z drugiej strony skał, a teraz odkryta, szuka nowej drogi do ucieczki. Za nią w odległości pół staj pędzą żołnierze. Wataha owa dogania Bohuna, ogarnia go, porywa i uprowadza z sobą. Nakoniec ginie z oczu w zakrętach parowu, a za nią giną i żołnierze.

Na majdanie zapanowała cisza i pustka, bo nawet i żołnierze pana Zagłoby, odbici przez Wołodyjowskiego, dopadłszy koni po mołojcach, pognali razem z innymi za rozproszonym nieprzyjacielem.

Pan Zagłoba spuścił drabinę, zlaźł z góry i wyszedłszy z chlewa na majdan, rzekł:

— Wolnym jest...

To rzekłszy, począł rozglądać się naokoło. Na majdanie leżało mnóstwo trupów zaporoskich i kilkanaście żołnierskich. Szlachcic chodził między nimi zwolna i oglądał każdego starannie, nakoniec przykląkł nad jednym. Po chwili podniósł się z blaszaną manierką w rękę.

— Pełna — mruknął.

I przyłożywszy do ust, przechylił głowę.

— Nieźła!

Znów obejrzał się naokoło i znów powtórzył, ale już wiele raźniejszym głosem:

— Wolnym jest!

Potem poszedł do chaty, na progu natknął się na trupa starego bondara, którego młójcy zamordowali, i zniknął we wnętrzu. Gdy wyszedł, naokół bioder, na kubraku zawalonym w nawozie, świecił mu pas Bohuna, gęsto przeszywany złotem, za pasem zaś nóż z wielkim rubinem w głowni.

— Bóg wynagrodził męstwo! — mruczał — bo i trzosik dość pełny. Ha, zbój plugawy! Mam nadzieję, że się nie wymknie! Ale ten mały fircyk! niech go kule biją! Ciężta to sztuka, jak osa. Wiedziałem, że dobry żołnierz, ale żeby tak sobie na Bohunie jechał, jak na łysej kobyle, tegom się po nim nie spodziewałem. Że też to w tak małym ciele taki może być animusz i wigor! Bohun mógłby go u pasa na sznurku nosić, jak kozik. Niechże go kule biją! — albo lepiej niech mu Bóg szczęści! Musiał Bohuna nie poznać, bo byłby go dokończył. Ful jak tu prochem pachnie, aż w nozdrzach wiercił! Alem się też z takich terminów wykręcił, w jakowych jeszcze nie bywałem. Chwała bądź Bogu! No, no, ale żeby tak na Bohunie jechać! Muszę się temu Wołodyjowskiemu jeszcze przypatrzeć, bo chyba dyabeł w nim siedzi.

Tak rozprawiając, siadł pan Zagłoba na progu chlewa i czekał.

Tymczasem zdala na równinie ukazali się żołnierze, wracający z pogromu, a na czele jechał pan Wołodyjowski. Ujrawszy Zagłobę, przyspieszył biegu i zeskoczywszy z konia, szedł ku niemu.

— Waćpana to jeszcze oglądam? — pytał zdala.

— Mnie we własnej osobie — rzekł pan Zagłoba. — Bóg waści zapłacić, iżeś z pomocą przybył!

— Chwalić Boga, że w porę! — odpowiedział mały rycerz, ściskając z radości dłoń pana Zagłoby.

— Ale skądżeś się waszmość o opresyi, w jakiej tu zostawałem, dowiedział?

— Chłopi dali znać z tego futuru.

— O! ja myślałem, że mnie zdradzili.

— Gdzie tam, to dobrzy ludzie! Ledwie z życiem uszli chłopak i dziewczyna, a co się z resztą weselników stało, nie wiedzą.

— Jeśli nie zdrajcy, to od kozaków pobici. Futurnik leży wedle chaty. Ale mniejsza z tem. Mówże waść, czy Bohun żyw? uciekł?

— Alboż to był Bohun?

— Ten bez czapki, w koszuli i hajdawerach, któregoś waść z koniem obalił.

— Ciąłem go w dłoń; bogdaj to lichu, żem go nie poznał. Ale waść, ale waść, mości Zagłobo, cożes to waść najlepszego uczynił?

— Com uczynił? — powtórzył pan Zagłoba. — Chodź, panie Michale i patrz!

To rzekłszy, ujął go za rękę i wprowadził do chlewa.

— Patrz! — powtórzył.

Pan Wołodyjowski nie widział przez chwilę nic, bo wszedł ze światła, ale gdy już oczy jego oswoiły się nieco z ciemnością, dojrzał ciała leżące nieruchomie na gnoju.

— A tych ludzi kto narznął? — pytał zdziwiony.

— Ja! — rzekł Zagłoba — pytałeś waść, com uczynił? więc masz!

— No! — rzekł młody oficer, kręcąc głową. — A jakim-że to sposobem?

— Tam się broniłem na górze, a oni szturmowali mnie z dołu i przez dach. Nie wiem jak długo to było, bo w bitwie człowiek czasu nie liczy. Bohun to był, Bohun, ze srogą potęgą i z wyborem ludzi. Popamięta on waćpana, popamięta i mnie! Innym czasem ci opowiem, jako w niewolę popadłem, com wytrzymał i jakom Bohuna splantował, bom i na języki się z nim próbował. Ale dziś tak *fatigatus*, że ledwie na nogach się trzymam.

— No! — powtórzył pan Wołodyjowski — niema co mówić, mężnie waść stawiałeś; jeno to powiem, żeś lepszy rębacz, niż wódz.

— Panie Michale! — rzecze szlachcic — nie pora rozprawiać. Lepiej Bogu dziękujmy, że nam obydwom tak wielką dziś spuścił wiktoryę, o której pamięć nieprędko między ludźmi zaginie.

Pan Wołodyjowski spojrzał zdumiony na Zagłobę. Jakoś dotąd wydawało mu się, że to on sam odniósł ową wiktoryę, którą pan Zagłoba widocznie chciał się z nim podzielić.

Ale popatrzał tylko na szlachcica, pokręcił głową i rzekł:

— Niech-że i tak będzie.

W godzinę później obaj przyjaciele, na czele połączonych oddziałów, wyruszyli ku Jarmolińcom.

Z ludzi Zagłoby nie brakło prawie nikogo, gdyż we śnie zaskoczeni, nie stawiali oporu, Bohun zaś, wysłany głównie po języka, kazał żywcem brać, nie mordować.

ROZDZIAŁ VIII.

Bohun, lubo wódz mężny i przezorny, nie miał szczęścia w tej wyprawie, którą pod rzekomą dywizyę księcia Jeremiego przedsięwziął. Utwierdził się tylko w przekonaniu, że książę istotnie wyruszył całą potęgą przeciw Krzywonosowi, bo tak mu powiadali wzięci w niewolę żołnierze pana Zagłoby, którzy sami wierzyli w to najświęciej, iż książę ciągnie za nimi. Nie pozostawało więc nic innego nieszczęsnemu atamanowi, jak cofać się co prędzej do Krzywonosy, ale zadanie nie było łatwe. Zaledwie trzeciego dnia zebrała się koło niego wataha złożona z dwustu kilkunastu mołojców; inni albo w boju polegli, albo zostali ranni na polu potyczki, albo błakali się jeszcze wśród jarów i oczeretów, nie wiedząc co czynić, jak się obrócić, dokąd iść. A i ta kupa przy Bohunie nie na wiele była przydatna, bo zbita, za lada alarmem skłonna do ucieczki, zdemoralizowana, przerażona. A był to przecie wybór mołojców; lepszych żołnierzy trudno było w całej Siczy znaleźć. Ale mołojcy nie wiedzieli, z jak małą siłą pan Wołodyjowski na nich uderzył i że, dzięki tylko niespodzianemu napadowi na śpiących i nieprzygotowanych, taką klęskę mógł zadać, i wierzyli najświę-

kiej, że mieli sprawę, jeśli nie z samym księciem, to przynajmniej z potężnym, kilkakroć liczniejszym podjazdem. Bohun wrzał jak ogień; cięty w rękę, stratowany, chory, pobity, i wroga zakłętego z rąk wypuścił, i sławę nadwreżył, bo już ci młojcy, którzy w wigilię klęski, do Krymu, do piekła i na samego księcia byliby ślepo za nim poszli, teraz stracili wiarę, stracili ducha i o tem tylko myśleli, jakby gardła całe z pogromu wynieść. A przecie Bohun uczynił wszystko, co wódz uczynić powinien, niczego nie zaniedbał, strażę opodał futoru porozstawiał i spoczywał dlatego tylko, że konie, które z pod Kamieńca prawie jednym tchem przyszły, całkiem niezdatne były do drogi. Ale pan Wołodyjowski, któremu życie młode zbiegło w podejściach i łowach na Tatarów, podszedł jak wilk nocą pod strażę, pochwycił je, nim zdołały krzyknąć lub wystrzelić—i napadł tak, że oto on, Bohun, w hajdawerach tylko i w koszuli ująć potrafił. Gdy o tem watażka myślał, świat mu czerniał w oczach, w głowie się przewracało i rozpacz kasała mu duszę, jak pies wściekły. On, który na Czarnem morzu na galery tureckie się rzucał; on, który aż do Perekopu na karkach tatarskich dojeżdżał i chanowi w oczy pożogą ałusów świecił; on, który księciu pod ręką, przy samych Łubniach, regiment w Wasilówce wyciął, musiał uciekać w koszuli i bez czapki—i bez szabli, bo i tę w spotkaniu z małym rycerzem utracił. To też, gdy nikt nie patrzył, na postojach i popasach, watażka chwycił się za głowę i krzyczał: „Gdzie moja sława młojocka? gdzie moja szabla-drużka?“ A gdy tak krzyczał, porywał go obłęd dziki i spijał się,

jak nieboże stworzenie, potem na księcia chciał iść, na całą siłę jego uderzyć — i zginąć, i przepaść na wieki.

On chciał, ale mołojcy nie chcieli. „Ubij, bat'ku, nie pójdziemy!“ — odpowiadali ponuro na jego wybuchy — i napróżno mu było w napadach szaleństwa szablą ich siec, z pistoletów twarze osmalać — nie chcieli, nie poszli.

Rzekłbyś: ziemia usuwała się z pod nóg atamana, bo nie tu był jeszcze koniec jego nieszczęść. Bojąc się dla prawdopodobnej pogoni uchodzić wprost na południe i sądząc, że może Krzywonos już oblężenia zaniechał, rzucił się sam ku wschodowi i trafił na oddział pana Podbiپی. Ale czujny jak zóraw pan Longinus nie dał się zejść, pierwszy uderzył na watażkę, rozbił go tem łatwiej, że mołojcy bić się nie chcieli — i podał w ręce panu Skrzetuskiemu, a ten go najpotężniej rozgromił, tak, że Bohun, po długim błędzeniu w stepach, w kilkanaście zaledwie koni, bez sławy, bez mołojców, bez zdobyczy i bez języków, dotarł nareszcie do Krzywonosy.

Lecz dziki Krzywonos, tak straszny zwykle dla podwładnych, którym nie dopisało szczęście, tym razem nie rozgniewał się wcale. Wiedział z własnego doświadczenia, co to sprawa z Jeremim, więc przyhołubił jeszcze Bohuna, pocieszał i uspokajał, a gdy watażka zapadł na gorączkę, kazał go strzedz, i leczyć, i pilnować, jak oka w głowie.

Tymczasem czterej książęcy rycerze, napelniwszy kraj grozą i przestachem, stanęli szczęśliwie z powrotem w Jarmolińcach, gdzie zatrzymali się na dni kilka, by ludziom i koniom dać odpoczynek. Tam gdy stanęli w jednej kwaterze, zdawał kolejno

każdy panu Skrzetuskiemu sprawę z tego, co go spotkało i czego dokonał — poczem zasiedli przy gąsiorku, aby w przyjacielskiem opowiadaniu ulżyć sercom i dać folgę wzajemnej ciekawości.

Ale wówczas pan Zagłoba mało komu pozwolił przyjść do słowa. Nie chciał słuchać, pragnął, by jego tylko słuchano, jakoż pokazało się, że najwięcej miał do opowiadania.

— Mości panowie! — mówił — popadłem w niewolę, prawda jest! ale fortuna kołem się toczy. Bohun całe życie bijał, a my dziś jego pobili. Tak to, tak! zwyczajnie na wojnie! Dziś ty garbujesz, jutro ciebie garbują. Ale Bohuna za to Bóg skarał, iż nas śpiących smaczno snem sprawiedliwych napadł i w tak bezecny sposób rozbudził. Ho, ho! myślał, że mnie swoim plugawym językiem przestraszy, a tu mówię waściom, jakem go przycisnął, tak zaraz stracił fantazyę, zmieszał się i wygadał to, czego nie chciał. Co tu długo mówić, żebym w niewolę nie wpadł, nie byłibyśmy mu obaj z panem Michałem klęski zadali, mówię: obaj, bo że w tym terminie magna pars fui, nie przestanę twierdzić do śmierci. Tak mi Boże daj zdrowie! Słuchajcie dalej moich racy: żebyśmy go z panem Michałem nie pobili, nie byłby mu podbił pięt pan Podbipięta, dalej pan Skrzetuski, a na koniec, żebyśmy go nie rozgromili, byłby on nas rozgromił — co że się nie stało, kto przyczyną?

— A z waścią, to jak z liszką — rzecze pan Longinus — tu ogonem machniesz, tam się umkniesz, a zawsze się wykręcisz.

— Głupi ogar, co za ogonem bieży, bo i nie dogoni i niczego pocziwego się nie dowącha, a w ostatku wiatr straci. Ilużes waść ludzi postradał?

— Ot, ze dwunastu wszystkiego, a kilku rannych; już tam nie bardzo nas bili.

— A waszmość, panie Michale?

— Ze trzydziestu, bom na nieprzygotowanych uderzył.

— A wasze, panie poruczniku?

— Tylu, ile pan Longinus.

— A ja dwóch. Powiedzcież sami, kto lepszy wódz? Ot, co jest! Poccożemy tu przyjechali? po służbie książęcej, wieści o Krzywonosie nałapać, otóż powiem waszmościom, że jam się pierwszy o nim dowiedział i z najlepszych ust, bo od Bohuna, i wiem, że pod Kamieńcem stoi, ale oblężenia myśli zaniechać, bo go tchórz obleciał. To wiem de publicis, ale wiem też jeszcze i coś innego, od czego radość wstąpi waćpaństwu w serca i o czem dotąd nie mówiłem dlatego, że chciałem, abyśmy w kupie o tem radzili; byłem też dotąd niezdrów, bo mnie fatygi obaliły i od tego zbójckiego wiązania w kij wnętrzności we mnie rebelizowały. Myślałem, że mnie krew zaleje.

— Mów-że waszmość, na miłość Boską! — zawołał Wołodyjowski. — Zali-żeś co o naszej niebo-dze słyszał?

— Tak jest, niech jej Bóg błogosławi — rzekł Zagłoba.

Pan Skrzetuski podniósł się na całą swą wysokość i usiadł natychmiast — i nastąpiła taka cisza, że słychać było brzęczenie komarów na okienku, aż pan Zagłoba zabrał głos znowu:

— Żyje ona, wiem to napewno, i jest w Bohunowych rękach. Moi moi panowie, straszne to ręce, ale przecie Bóg nie dozwolił, aby ją krzywda lub

hańba spotkała. Moi moiści panowie, to mnie sam Bohun powiadał, któryby prędzej czem innem chęć się gotów.

— Jak to może być? jak to może być? — pytał gorączkowo Skrzetuski.

— Jeśli lżę, niech mnie piorun zapali — odrzekł poważnie Zagłoba — bo to jest święta rzecz. Słuchajcie, co mnie Bohun mówił, gdy sobie chciał drwić ze mnie, nimem go do ostatka splantował: „Cożeś to myślał (prawi), żeś dla chłopą ją do Baru przywiozł? że to ja chłop (prawi), abym ją siłą niewolił? Czy to mnie nie stać, by mnie w Kijowie w cerkwi ślub dali i czerńcy (powiada), żeby mi śpiewali, i żeby trzysta świec mi palili — mnie, atamanowi! hetmanowi!“ — i nogami nade mną tupał, i nożem mi groził, bo myślał, że mnie ustraszy, alem mu powiedział, żeby psy straszyl.

Skrzetuski już się opamiętał, tylko mu się mnisza twarz rozświeciła i grała na niej napowrót obawa, nadzieja, radość i niepewność.

— Gdzie ona tedy jest? gdzie jest? — pytał z pośpiechem. — Jeśli się i tego waść dowiedział, toś z nieba spadł.

— Tego on mi nie mówił, ale mądrej głowie dość dwie słowie. Uważcie waszmościowie, że ciągle drwił ze mnie, nimem go splantował, i tak znowu powiada: „Naprzód (powiada) do Krzywonosą ciebie zawiodę, a potem na weselebym cię prosił, ale teraz wojna, więc to jeszcze nie prędko.“ Uważcie, waszmościowie: „jeszcze nie prędko“ — zatem mamy czas! Powtóre, uważcie także: „naprzód do Krzywonosą,

potem na wesele,“ więc żadną miarą niema jej u Krzywonosy, ale gdzieś daleko, gdzie wojna nie doszła.

— Złoty z wasci człowiek! — zawołał Wołodujowski.

— Myślałem tedy naprzód—mówił mile polechtany Zagłoba — że może ją do Kijowa odesłał, ale nie, bo mi rzekł, że na wesele do Kijowa z nią pojedzie; jeżeli tedy pojedzie, to znaczy, że jej tam niema. I za mądry on na to, by ją tam wozic, bo gdyby się Chmielnicki ku Czerwonej Rusi posunął, to Kijowa łatwo litewskie wojska mogą dostać.

— Prawda! prawda! — wykrzyknął pan Longinus. — Ot, jak mnie Bóg miły, niejeden mógłby się z wascią na rozum pomieniać.

— Jeny jabym się nie z każdym mieniał, od strachu, abym zaś boćwiny zamiast rozumu nie kupił, coby mi się między Litwą snadnie przytrafić mogło.

— Już swoje zaczyna — rzekł Longinus.

— Pozwól-że wasć skończyć. Tak tedy niema jej u Krzywonosy, ani w Kijowie, więc gdzie jest?

— W tem sękl

— Jeśli wasć się domyślasz, to powiedz prędzej, bo mnie ogień pali! — krzyknął Skrzetuski.

— Za Jampolem! — rzekł Zagłoba i potoczył tryumfalnie swoim zdrowem okiem.

— Skąd wasć wiesz? — pytał Wołodujowski.

— Skąd wiem? Ot stąd: siedziałem w chlewie, bo mnie w chlewie ów zbój kazał zamknąć, żeby go wieprze za to zecpały! a naokoło gadali z sobą koczacy. Przykładam tedy ucho do ściany i co słyszę? Jeden mówi: „Teraz chyba za Jampol ataman poje-

dzie“ — a drugi na to: „Milcz, jeśli ci młoda głowa miła!“ — Szyję daję, że ona jest za Jampolem.

— O! jak Bóg na niebie! — zakrzyknął Wołodjowski.

— Na Dzikie Pola przecie jej nie zaprowadził, więc wedle mojej głowy, musiał ją ukryć gdzieś między Jampolem a Jahorlikiem. Byłem też raz w tamtych stronach, gdy się królewscy i chanowi sędzie zjeżdżali, bo w Jahorliku, jak wacpaństwu wiadomo, pograniczne sprawy się sądzą o zabrane stada, a tych spraw nigdy nie brak. Pełno tam jest nad całym Dniestrem jarów i zakrytych miejsc, i różnych komyszy, w których żyją w futorach ludzie, co żadnej zwierzchności nie znają, mieszkając w pustyni i bliźnich nie widując. U takich to dzikich pustelników on pewnie ją ukrył, bo mu tam było i najbezpieczniej.

— Bał ale jak się tam dostać teraz, gdyż drogę Krzywonos zagradza — rzecze pan Longinus. — Jampol to też, jak słyszałem, gniazdo rozbójnicze.

Na to Skrzetuski:

— Choćbym i dziesięć razy gardło miał stracić, będę ją ratował. Pójdę przebrany i będę szukał, Bóg mi pomoże — znajdę.

— Ja z tobą, Janie! — rzecze pan Wołodjowski.

— I ja po dziadowsku z teorbanem. Wierzajcie mi, waszmościowie, że najwięcej mam między wami eksperyencyi, że mnie teorban z ostatkiem obrzydł, więc wezmę dudy.

— Toż i ja się na coś przydam, braciaszki? — rzekł pan Longinus.

— I pewnie — odpowiedział pan Zagłoba. — Jak będzie nam trzeba przez Dniestr się przebrać, to waćpan będziesz nas przenosił, jak święty Krzysztof.

— Dziękuję z duszy waszmościom — rzekł Skrzetuski — i gotowość waszą chętnem przyjmuję sercem. Niemasz to w przeciwnościach nad przyjaciół wiernych, których, jak widzę, nie pozbawiła mnie Opatrzność. Dajże mnie wielki Boże odsłużyć waszmościom zdrowiem i mieniem.

— Wszyscy my jako jeden mąż! — wykrzyknął Zagłoba. — Bóg zgodę pochwała, i obaczycie, iż frukta naszych prac niezadługo będziemy oglądali.

— To już nie pozostaje mnie nic innego — mówił po chwili milczenia Skrzetuski — jak chorągiewkę księciu odprowadzić i zaraz w kompanii ruszyć. Pójdziem Dniestrem, hen, na Jampol, aż do Jahorlika, i wszędzie będziemy szukali. A gdy, jak mam nadzieję, Chmielnicki już musi być zniesiony, lub nim dojdziemy do księcia, zniesiony będzie, przeto i służba publiczna nie staje nam na przeszkodzie. Pewnie chorągwie ruszą na Ukrainę, by buntu dogasić, ale się tam już bez nas obejdzie.

— A poczekajcie waszmościowie — rzecze Wołodyjowski — pewnie po Chmielnickim na Krzywonosą przyjdzie kolej, może więc razem z chorągwami ku Jampolowi ruszymy.

— Nie, nam trzeba być pierwaj — odparł Zagłoba — ale najpierwej odprowadzić chorągwie, by mieć wolne ręce. Spodziewam się też, że książę będzie z nas contentus.

— Szczególnie z waćpana.

— Tak jest, bo mu najlepsze wieści przywożę. Wierzaj mi waćpan, iż nagrody się spodziewam.

— Więc tedy w drogę?

— Do jutra musimy spocząć — rzekł Wołodjowski. — Zresztą niech Skrzetuski rozkazuje, on tu wodzem, ale ja przestrzegam, iż jeśli dziś ruszymy, konie moje wszystkie popadają.

— Wiem, że to jest niepodobieństwo — rzecze Skrzetuski — ale myślę, iż po dobrych obrokach jutro możemy.

Jakoż nazajutrz ruszono. Wedle ordynansów książęcych, mieli się wrócić do Zbaraża i tam czekać dalszych rozkazów. Szli więc na Kuźmin, w bok od Felsztyna ku Wołoczyskom, skąd na Chlebanówkę wiódł stary gościniec do Zbaraża. Drogę mieli przykrą, bo padały deszcze, ale spokojną i tylko pan Longinus, idący w sto koni naprzód, rozgromił kilka kup swawolnych, które się na tyłach wojsk regimentarskich zebrały. Dopiero w Wołoczyskach zatrzymali się znów na nocny wypoczynek.

Alse zaledwie zasnęli snem smacznym po długiej drodze, zbudził ich alarm — i strażę dały znać, że jakiś konny oddział się zbliża. Wnet jednak przyszła wieść, że to Wierszułowa tatarska chorągiew, zatem swoi. Zagłoba, pan Longinus i mały Wołodjowski natychmiast zebrali się w izbie Skrzetuskiego, a w ślad za nimi wpadł jak wichler oficer z pod lekkiego znaku, zziąjany, cały pokryty błotem, na którego spojrzawszy Skrzetuski, wykrzyknął:

— Wierszuł!

— Jam... jest! — mówił przybyły, nie mogąc oddechu złapać.

- Od księcia?
— Tak!... O tchu! tchu!
— Jakie wieści. Już po Chmielnickim?
— Już... po... Rzeczypospolitej!
— Na rany Chrystusa, co waść gadasz? Klęska?
— Klęska, hańba, sromota!... bez bitwy... Po-
płoch!... O! o!
— Uszom się nie chce wierzyć. Mów-że, mów,
na Boga żywego!... Regimentarze?
— Uciekli!
— Gdzie nasz książę?
— Uchodzi... bez wojska... Ja tu od księcia...
rozkaz... do Lwowa natychmiast... idą za nami!
— Kto? Wierszuł, Wierszuł. Opamiętaj się,
człowieku! Kto?
— Chmielnicki, Tatarzy!
— W imię Ojca i Syna i Ducha świętego! —
zawołał Zagłoba: — ziemia się rozstępuje.
Ale Skrzetuski zrozumiał już o co chodzi.
— Na potem pytania — rzekł — teraz na koń!
— Na koń, na koń!

Kopyta koni pod Wierszułowymi Tatarami
szczękały już przed oknami; mieszkańcy, zbudzeni
nadejściem wojska, wychodzili z domów z latarkami
i pochodniami w ręku. Wieść przeleciała całe miasto
jak błyskawica. Wnet uderzono we dzwony na trwo-
gę. Ciche przed chwilą miasteczko nappełniło się
zgiełkiem, tętentem koni, okrzykami komendy i wrza-
skiem żydowskim. Mieszkańcy chcieli uchodzić ra-
zem z wojskiem, zaprzęgano wozy, ładowano na nie
dzieci, żony, pierzyny; burmistrz na czele kilku mie-
szczan przyszedł błagać Skrzetuskiego, by nie od-

jeźdźzał naprzód i odprowadził mieszkańców chociaż do Tarnopola, ale pan Skrzetuski i słuchać go nie chciał, mając wyraźny rozkaz co tchu ruszać do Lwowa.

Ruszyli tedy, i dopiero w drodze Wierszuł, ochłonawszy, opowiadał jak i co się stało.

— Jak Rzeczpospolita Rzeczpospolita—mówił—nigdy nie poniosła takiej klęski. Nic Cecora, nic Żółte Wody, nic Korsuń!

A Skrzetuski, Wołodyjowski, pan Longinus Podbipięta, aż na karki koniom się kładli, to się za głowy brali, to ręce ku niebu podnosili.

— Rzec ludzką wiarę przechodzi — mówili — gdzież był książę?

— Opuszczony, od wszystkiego umyślnie usunięty, swoją nawet dywizyą nie władał.

— Kto miał komendę?

— Nikt i wszyscy. Dawno służyć, na wojnie zęby zjadłem, jeszcze takich wojsk i takich wodzów nie widział.

Zagłoba, który nie miał wielkiego afektu dla Wierszuła i mało go znał, począł głowę kręcić i cmokać, nakoniec rzekł:

— Mój mości panie, czyli się waćpanu w oczach tylko nie pomieszało, lub czyś częściowej porażki za ogólną klęskę, nie poczytał, bo to co powiadasz, całkiem imaginacyę przechodzi.

— Że przechodzi, przyznaję, i powiem więcej waści, że szyjębym sobie dał z radością uciąć, gdyby jakim cudem pokazało się, iż się myłę.

— Bo jakim-żeś waść sposobem pierwszy po klęsce w Wołoczyskach stanął? Przecież nie chcę

przypuścić, żebyś pierwszy dał drała? Gdzież są tedy wojska? któreśdy uciekają? co się z niemi stało? dlaczego uciekający nie uprzedzili waćpana? Na wszystkie owe kwestye napróżno szukam responsu!

Wierszuł w każdym innym czasie nie byłby puścił płazem takich pytań, ale w tej chwili nie mógł myśleć o niczem więcej, tylko o klęsce, więc odrzekł tylko:

— Jam pierwszy stanął w Wołoczyskach, gdyż inni uchodzą na Ożygowce, a mnie ksiązę umyślnie pchnął w stronę, gdzie się waćpanów spodziewał, aby was nawałnica nie ogarnęła, gdybyście się za późno dowiedzieli, a powtóre dlatego, że pięćset koni, które macie, to teraz niemała dla niego pociecha, bo dywizya w większej części wyginęła, lub rozproszona.

— Dziwne to rzeczył — mruknął Zagłoba.

— Strach pomyśleć, desperacya ogarnia, serce się kraje, łzy płyną! — mówił, łamiąc ręce, Wołodujowski. — Ojczyzna zgubiona, niesława po śmierci, takie wojska rozproszonel... zatracone! Nie może być inaczej, tylko koniec świata i sąd ostateczny się zbliża!

— Nie przerywajcie mu — rzekł Skrzetuski — pozwólcie, aby wszystko opowiedział.

Wierszuł zamilkł, jakby siły zbierał, przez chwilę słychać było tylko pluskanie kopyt w błocie, bo deszcz padał. Noc była jeszcze głęboka i ciemna bardzo, bo chmurna, a w tych ciemnościach, w tym dżdżu, dziwnie złowrogo brzmiały słowa Wierszuła, który tak mówić począł:

— Gdybym się nie spodziewał, że w boju polegnę, tobym chyba rozum utracił. Mówiliście waszmościowie o sądzie ostatecznym, i ja tak mniemam, że wprędce on już nastąpi, gdyż wszystko się rozpręga, złość bierze górę nad cnotą i Antychryst już chodzi po świecie. Wyście nie patrzali na to, co się stało, ale jeśli nawet relacyi o tem znieść nie możecie, cóż ja, którym klęskę i niezmierną hańbę własnymi oczyma oglądał! Bóg nam dał szczęśliwy początek w tej wojnie. Nasz książę, otrzymawszy pod Czołhańskim Kamieniem sprawiedliwość z pana Łaszcza, resztę puścił w niepamięć i pogodził się z księciem Dominikiem. Cieszyliśmy się wszyscy z tej *concordii* — jakoż było i błogosławieństwo Boże. Książę powtórnie pogromił pod Konstantynowem i samo miasto wziął, bo je nieprzyjacieli po pierwszym szturmie opuścił. Potem ruszyliśmy pod Piławce, choć książę nie radził tam chodzić. Ale zaraz w drodze pokazały się przeciw niemu rozmaite machinacye, niechęci, zawiści i jawne knowania. Nie słuchano go na radach, nie zważano na to, co mówił, a przedewszystkiem usiłowano rozdzielić naszą dywizyę, aby jej książę w ręku całej nie miał. Gdyby się sprzeciwił, zwałonoby na niego klęskę, więc milczał, cierpiał, znosił. Zostały tedy lekkie znaki z rozkazu generał-regimentarza w Konstantynowie razem z Wurclem, z armatami i z obersterem Machnickim; odłączono pana oboźnego litewskiego Osińskiego i pułk Koryckiego, tak, że przy księciu została tylko husarya pod Zaćwilichowskim, dwa regimenty dragonów — i ja z częścią mojej chorągwi. Wszystkiego nie było nad dwa tysiące ludzi.

A wtedy już go lekceważono, i sam słyszałem, jak mówili klienci księcia Dominika: „Już teraz nie powiedzą po wiktoryi, że za sprawą samego Wiśniowieckiego przyszła.“ I głośno opowiadali, że gdyby tak niezmierna sława okryła księcia, toby i na elekcyi jego kandydat, królewicz Karol, się utrzymał, a oni chcą Kazimierza. Zarazili fakecyami całe wojsko tak, że poczęły się dyskursa w kołach, jakby na sejmie, wysyłanie delegatów—i o wszystkim tam myślano, prócz o bitwie, tak jakby nieprzyjaciół był już pogromion. A owoż, gdybym zaczął opowiadać waszmościom o tych uctach, o tych wiwatach, o tym przepychu, wiarybym w waszych uszach nie znalazł. Niczem były hufce Pyrhusowe przy onych wojskach, całych od złota, klejnotów i strusich piór. A toż dwieście tysięcy sług i ćmy wozów szły za nami, konie padały pod ciężarem złotogłowiów i jedwabnych namiotów, wozy łamały się pod kredensami. Myślałby kto, że na zawojowanie świata całego idziemy. Szlachta z pospolitego ruszenia po całych dniach i nocach trzaskała batogami. „Ot (mówili) czem chmów uspokoimy, szabli nie dobywając.“ A my, starzy żołnierze, przywykli bić się, nie rozprawiać, jużśmy na widok onej pychy niesłychanej przeczuwali coś złego. Dopieroż zaczęły się tumulty przeciw panu Kisielowi, że zdrajca, i za nim, że zacny senator. Siekano się szablami po pijanemu. Strażników obozowych nie było. Nikt ładu nie przestrzegał, nikt dowództwa nie sprawował, każdy robił co chciał, szedł, gdzie mu było lepiej, stawał, gdzie mu się zdawało, czeladź wzniecała hałasy—o Boże miłosierny! toż to był kulig, nie wyprawa wojenna, kulig, na

którym salutem Republicae przetańcowano, przepito, przejeżdżono i przefrymarczono w ostatku!

— Jeszcze my żyjemy! — rzekł Wołodajowski.

— I Bóg jest w niebie! — dodał Skrzetuski.

Nastąpiła znów chwila milczenia, potem Wierszuł mówił dalej:

— Zginiemy totaliter, chyba że Bóg cud uczyni, za grzechy nas chłostać przestanie i niezasłużone miłosierdzie okaże. Chwilami ja sam nie wierzę temu, com na własne oczy oglądał, i zdaje mi się, że mnie zmora we śnie dusiła...

— Powiadaj waćpan dalej — rzekł Zagłoba — przyszlście tedy pod Piławce, i co?

— I staliśmy. O czem tam regimentarze radzili, nie wiem; na sądzie ostatecznym za to odpowiedzą, bo gdyby odrazu na Chmielnickiego uderzyli, byłby zniesiony i rozbity, jak Bóg w niebie, mimo nieładu, niesforności, i tumultów, i braku wodza. Już tam popłoch był między czernią, już radzono, jakby Chmielnickiego i starszyznę wydać, a on sam ucieczkę zamierzał. Książę nasz od namiotu do namiotu jeździł, prosił, błagał, groził: „Uderzmy, nim Tatarzy nadejdą, uderzmy!“ — i włosy z głowy wyrывał, a tam się jeden na drugiego oglądał — i nic, i nic! Pili, sejmikowali... Przyszły słuchy, że Tatarzy idą — chan w dwieście tysięcy koni — oni radzili i radzili. Książę zamknął się w namiocie, bo go całkiem spostpowali. W wojsku poczęto mówić, że kanclerz zakazał księciu Dominikowi bitwy staczać, że się układy toczą; wszczął się jeszcze większy nieład — na koniec Tatarzy przyszl, ale Bóg nam poszczęścił pierwszego dnia, potykał się książę, i pan Osiński,

i pan Łaszcz stawał bardzo dobrze — spędzali ordę z pola, wysiekli znacznie — a potem...

Tu głos Wierszułłowi zamarł w piersi.

— A potem? — pytał pan Zagłoba.

— Przyszła noc straszna, niepojęta. Pamiętam, strażowałem z mymi ludźmi wedle rzeki, gdy na raz słyszę, aż w obozie kozackim biją z armat, jak na wiwaty i słyszać krzyki. Dopieroż przypomniało mi się, co wczoraj mówiono w obozie, że jeszcze wszystka potęga tatarska nie stanęła, tylko Tuhaj-bej z częścią. Pomyślałem więc: kiedy tam wiwatuja, to już musiał i chan osobą swoją stanąć. Aż tu i w naszym obozie zaczyna się tumult. Skoczyłem sam z kilku ludźmi. — Co się stało? — Krzykną mi: „Regimentarze uszli!“ Ja do księcia Dominika — niema go! do podczaszego — niema! do chorążego koronnego — niema! Jezu Nazareński! Żołnierze latają po majdanie, krzyk, wrzask, zgiełk, główniami świecą: „Gdzie regimentarze? gdzie regimentarze?“ — a inni wołają: „Koni! koni!“ — a inni: „Panowie bracia, ratujcie się! zdrada! zdrada!“ Ręce do góry podnoszą, twarze obłąkane, oczy wytrzeszczone, tłoczą się, depczą, duszą, siadają na koń, lecą naoslep bez broni. Dopieroż ciskać hełmy, pancerze, broń, namioty! Aż tu jedzie książę na czele husaryi w srebrnej zbroi, sześć pochodni koło niego niosą, a on stoi w strzemionach i krzyczy: „Mości panowie, jam został, kupą do mnie!“ — Gdzie tam! nie słyszą go, nie widzą, lecą na husaryę, mieszają ją, przewracają ludzi i konie, ledwieśmy księcia samego uratowali, potem po zdeptanych ogniskach, w ciemności, niby wezbrany potok, niby rzeka, wszystko wojsko w dzi-

kim popłochu wypada z obozu, rozprasza się, ginie, ucieka... Nie masz już wojsk, nie masz wodzów, nie masz Rzeczypospolitej, jest tylko hańba niezmyta i noga kozacka na szyi...

Tu pan Wiercułł jęczeć począł i konia targać, bo go szął rozpaczy ogarnął; ten szął udzielił się innym i jechali wśród owego dżdzu i nocy, jak obłąkani.

Jechali długo. Pierwszy Zagłoba przemówił:

— Bez bitwy, o szelmy! o takie syny! pamiętacie, jak wspaniałą postać w Zbarażu czynili? jak sobie zjeść Chmielnickiego bez pieprzu i soli obciywali. O szelmy!

— Gdzie tam! — krzyknął Wierszułł — uciekli po pierwszej bitwie, wygranej nad Tatary i czernią, po bitwie, w której nawet pospolite ruszenie jako lwy walczyło.

— Jest w tem palec Boży — rzekł Skrzetuski — ale jest i jakowaś tajemnica, która wyjaśnić się musi...

— Bo gdyby wojsko pierzhło, to się na świecie zdarza — rzekł Wołodyjowski — ale tu wodze pierwsi obóz opuścili, jakby chcąc umyślnie nieprzyjacielowi wiktoryę ułatwić i wojsko na rzeź wydać.

— Tak jest! tak jest! — rzecze Wierszułł — mówią też, że to umyślnie uczynili.

— Umyślnie? na rany Boskie, to nie może być!

— Mówią, że umyślnie, a dlaczego, kto dojdzie! kto zgadnie!

— Żeby ich groby przytłukły, żeby ich rody wyginęły, a jeno pamięć niesławna po nich została! — rzekł Zagłoba.

— A m e n ! — rzekł Skrzetuski.

— A m e n ! — rzekł Wołodajowski.

— A m e n ! — powtórzył pan Longinus.

— Jeden jest człowiek, który może ojczyznę jeszcze ratować, jeśli mu buławę i resztę sił Rzeczypospolitej oddadzą; jeden jest, bo o innym już ani wojsko, ani szlachta nie będzie chciała słyszeć.

— Książę! — rzekł Skrzetuski.

— Tak jest!

— Przy nim będziemy stać, przy nim zginiemy! Niech żyje Jeremi Wiśniowiecki! — wykrzyknął Zagłoba.

— Niech żyje! — powtórzyło kilkadziesiąt niepewnych głosów.

Ale okrzyk zamarł zaraz, bo w chwili gdy ziemia rozstępowała się pod nogami, a niebo zdawało się walić na głowy, nie był czas na okrzyki i wiwaty.

Tymczasem poczęło świtać, i w oddaleniu ukazały się mury Tarnopola.

ROZDZIAŁ IX.

Pierwsi rozbitkowie z pod Piławiec dotarli do Lwowa świtanie dnia 26 września, i równo z otwarciem bram miejskich, straszna wieść piorunem rozleciała się po całym mieście, wzbudziwszy niedowierzanie w jednych, popłoch w drugich, w innych zaś rozpaczliwą chęć obrony. Pan Skrzetuski ze swym oddziałem przybył we dwa dni później, gdy już cały gród był zapchany uciekającym żołnierstwem, szlachtą i uzbrojonem mieszczaństwem. Myślano już o obronie, gdyż lada chwila spodziewano się Tatarów, ale nie wiadano jeszcze kto stanie na czele i jak się do dzieła weźmie, dlatego wszędy panował bezład i popłoch. Niektórzy uciekali z miasta, wywożąc rodziny i mienie, okoliczni zaś mieszkańcy szukali w niem schronienia; wyjeżdżający i wjeżdżający zawalali ulice i wzniecali tumulty o przejazd; wszędy pełno było wozów, pak, tłumoków i koni, żołnierzy z pod najrozmaitszych znaków; na wszystkich twarzach czytałeś niepewność, gorączkowe oczekiwanie, rozpacz lub rezygnację. Co chwila przestrasz, jak wir powietrzny, zrywał się niespodzianie, rozlegały się krzyki: „Jadą! jadą!” — i tłumy poruszały się jak fala, czasem biegly naoslep przed siebie, rażone

szaleństwem trwogi, dopóki nie pokazało się, że to nadjeżdża nowy jakiś oddział rozbitków. A oddziałów tych kupiło się coraz to więcej — ale jakże żałosny widok przedstawiali ci żołnierze, którzy jeszcze niedawno w złocie i piórach szli ze śpiewem na ustach a dumą w oczach na oną wyprawę przeciw chłopstwu! Dziś obdarci, wygłodzeni, znędznieli, pokryci błotem, na wyniszczonych koniach, z hańbą w twarzach, podobniejsi do żebraków, niż do rycerzy, litośćby tylko wzbudzać mogli, gdyby był czas na litość w tem mieście, na którego mury wnet mogła zwalić się cała potęga wroga. I każdy z tych pohańbionych rycerzy tem jedynie się pocieszał, że tak wielu, że tyle tysięcy miał towarzyszków wstydu; wszyscy kryli się w pierwszej godzinie, by następnie, ochłonawszy, rozwozić skargi, narzekania, rzucać przekleństwa i groźby, włóczyć się po ulicach, pić po szynkowniach i powiększać tylko nieład i trwogę.

Każdy bowiem powtarzał: „Tatarzy tuż! tuż!“ — Jedni widzieli pożogi za sobą, inni klęli się na wszystkie świętości, iż przyszło im już odcinać się zagonom. Gromady, otaczające żołnierzy, słuchały z natężeniem tych wieści. Dachy i wieże kościołów usiane były tysiącami ciekawych; dzwony były larum — a tłumy niewiast i dzieci dusiły się po kościołach, w których wśród świec jarzących błyszczał Przenajświętszy Sakrament.

Pan Skrzetuski przeciskał się zwolna od bramy Halickiej ze swoim oddziałem przez zbite masy koni, wozów, żołnierzy, przez cechy mieszczańskie, stojące pod swemi banderyami, i przez pospólstwo, które ze zdziwieniem spoglądało na ową chorągiew,

wchodzącą nie w rozsypce, ale w szyku bojowym do miasta. Poczęto krzyżeć, że pomoc nadchodzi, i znów niczem nieusprawiedliwiona radość ogarnęła tłuszcę, która jąła się cisnąć i chwycić za strzemiona pana Skrzetuskiego. Zbiegli się też i żołnierze, wołając: „To Wiśniowiecczycy! Niech żyje książę Jeremi!” — Tłok zrobił się tak wielki, że chorągiew zaledwie noga za nogą mogła się posuwać.

Nakoniec naprzeciw ukazał się oddział dragonów z oficerem na czele. Żołnierze rozgarniali tłumy, oficer zaś krzychał: „Z drogi! z drogi!” — i płazował tych, którzy mu nie ustępowali dość rychło.

Skrzetuski poznał Kuszla.

Młody oficer powitał serdecznie znajomych.

— Co to za czasy! co to za czasy! — rzekł.

— Gdzie książę? — pytał Skrzetuski.

— Umrzyłbyś go frasunkiem, gdybyś dłużej nie przyjeżdżał. Bardzo się tu za tobą i twoimi ludźmi oglądał. Jest teraz u Bernardynów; mnie wysłano za porządkiem w mieście, ale już Grozwajer tem się zajął. Pojadę z tobą do kościoła. Tam się rada odbywa.

— W kościele?

— Tak jest. Mają księciu buławę ofiarować, bo żołnierze oświadczają, że pod innym wodzem nie chcą bronić miasta.

— Jedźmy! Mnie też pilno do księcia.

Połączone oddziały ruszyły. Po drodze Skrzetuski wypytywał się o wszystko, co działo się we Lwowie, i czy obrona już postanowiona.

— Właśnie teraz się sprawa waży — rzecze Kuszal. — Mieszczanie chcą się bronić. Co za czasy!

Ludzie nikczemnych kondycyi okazują więcej serca, niż szlachta i żołnierze.

— A regimentarze? co się z nimi stało? Czyli są w mieście i czyli nie będą księciu przeszkód stawiali?

— Byle on sam nie stawiał. Był lepszy czas na oddanie mu buławy, teraz za późno. Regimentarze oczu nie śmieją pokazać. Książę Dominik popasał tylko w pałacu arcybiskupim i zaraz się wyniósł — i dobrze zrobił, bo nie uwierzysz, jaka jest w żołnierzach na niego zawziętość. Już go niema, a jeszcze ciągle krzyczą: „Dawaj go sam, wnet go rozsiekamy!“ — pewnie nie byłby uszedł jakowego przypadku. Pan podczaszy koronny pierwszy tu przybył, ba! nawet i na księcia wygadywać począł, ale teraz siedzi cicho, bo i przeciw niemu powstają tumulty. Do oczu mu wszystkie winy wymawiają, a on jeno łyży połyka. W ogólności strach co się dzieje, jakie czasy nadeszły! Mówię ci: dziękuj Bogu, żeś pod Piławcami nie był, żeś stamtąd nie uciekał, bo że nam, którzyśmy tam byli, rozum się nie pomieszał z ostatkiem, to chyba cud.

— A nasza dywizya?

— Niema już jej, ledwie coś zostało. Wurcia niema, Machnickiego niema, Zaćwilichowskiego niema. Wurcel i Machnicki nie byli pod Piławcami, bo zostali w Konstantynowie. Tam ich ten Belzebub, książę Dominik zostawił, by księcia naszego potęgę osłabić. Niewiadomo czy uszli, czy ich nieprzyjaciół ogarnął. Stary Zaćwilichowski przepadł, jak kamień w wodzie. Daj Bóg, żeby nie zginął!

— A wszystkich żołnierzy siła się tu zebrało?

— Jest dosyć, ale co z nich? Jeden księżę mógłby sobie dać z nimi rady, gdyby chciał buławę przyjąć, bo nikogo słuchać nie chcą. Okrutnie się księżę o ciebie frasował i o żołnierzy. Jedyna też to cała chorągiew. Jużemy cię oplakali.

— Teraz ten szczęśliwy, kogo płaczą.

Przez czas jakiś jechali w milczeniu, poglądając po tłumach, słuchając zgiełku i krzyków: „Tatary! Tatary!“ — W jednym miejscu ujrzeli straszny widok rozdzieranego na sztuki człowieka, którego tłum o szpiegowstwo posądził. Dzwony były ciągle.

— Czy orda prędko tu stanie? — spytał Zagłoba.

— Licho ją wie, może dziś jeszcze. To miasto nie będzie się długo broniło, bo nie wytrzyma. Chmielnicki idzie w dwieście tysięcy kozaków, prócz Tatarów.

— Kaput! — odpowiedział szlachcic. — Lepiej nam było jechać dalej na złamanie karku. Poco my tyle zwycięstw odnieśli?

— Nad kim?

— Nad Krzywonošem, nad Bohunem, dyabeł wie nie nad kim!

— Ale — rzekł Kuszel i zwróciwszy się do Skrzetuskiego, pytał cichym głosem. — A ciebie, Janie, w niczem-że Bóg nie pocieszył? nie znalazłeś tego, czegoś szukał? nie dowiedziałeś się przynajmniej czego?

— Nie czas o tem myśleć — zawołał Skrzetuski. — Co ja znaczę, moje sprawy, wobec tego, co się stało? Wszystko marność i marność, a na końcu śmierć.

— Tak i mnie się widzi, że cały świat niezadługo zginie — rzekł Kuszel.

Tymczasem dojechali do kościoła Bernardynów, którego wnętrze pałało światłem. Tłumy niezmierne

stały przed kościołem, ale nie mogły się do środka dostać, bo sznur halebarników zamykał wejście, puszczając tylko znaczniejszych, starszyznę wojskową.

Skrzetuski kazał drugi sznur wyciągnąć swoim ludziom.

— Wejdźmy! — rzekł Kuszel. — Pół Rzeczypospolitej jest w tym kościele.

Weszli. Kuszel niewiele przesadził. Co było znakomitszego w wojsku i w mieście, zgromadziło się na radę, więc wojewodowie, kasztelanowie, pułkownicy, rotmistrze, oficerowie cudzoziemskiego automatu, duchowieństwo, tyle szlachty, ile kościoł mógł pomieścić, mnóstwo wojskowych niższych stopni i kilkunastu rajców miejskich z Grozwajerem na czele, który mieszczaństwem miał dowodzić. Był także obecny i książę, i pan podczaszy koronny, jeden z regimentarzy — i wojewoda kijowski, i starosta stobnicki, i Wessel, i Arciszewski, i pan oboźny litewski Osiński — ci siedzieli przed wielkim ołtarzem, tak, aby publicum mogło ich widzieć. Radzono pośpiesznie, gorączkowo, jako zwykle w takich wypadkach: mówcy wstępowali na ławy i zaklinali starszyznę, by nie podawała miasta w ręce wraże bez obrony. Choćby i zginąć przyszło, miasto wstrzyma nieprzyjaciela, Rzeczpospolita ochłonie. Czego brak do obrony? Są mury, są wojska, jest determinacja — wodza tylko trzeba. A gdy tak mówiono, w publiczności zrywały się szmery, które przechodziły w głośnie okrzyki — zapal ogarniał zgromadzonych. „Zginiemy! zginiemy chętnie! — wołano — hańbę piławiecką nam zmazać, ojczyznę zasłonić!“ — I rozpoczęło się trzaskanie szablami, i głośnie ostrza migo-

tały przy blasku świec. A inni wołali: „Uciszyć się obrady porządkiem!” — „Bronić się, czy nie bronić?” — „Bronić! bronić!” — wrzeszczało zgromadzenie, aż echo odbite od sklepień powtarzało: „Bronić się!” — „Kto ma być wodzem?” „Kto ma być wodzem?” „Książę Jeremi! on wódz! on bohater! niech broni miasta, Rzeczypospolitej! niech mu oddadzą buławę i niech żyje!”

Wówczas z tysiąca płuc wyrwał się okrzyk tak gromki, że aż ściany zadrżały i szyby zabrzęczały w oknach kościelnych:

— Książę Jeremi! książę Jeremi! Niech żyje! niech żyje! niech zwycięża!

Zabłyły tysiące szabel — wszystkie oczy skierowały się na księcia, a on wstał spokojny, zę zmarzniętą brwią. Uciszyło się natychmiast, jakby kto makiem posiał.

— Mości panowie! — rzekł książę dźwięcznym głosem, który w tej ciszy doszedł do wszystkich uszu. — Gdy Cymbrowie i Teutoni napadli na rzeczpospolitą rzymską, nikt nie chciał ubiegać się o konsulat, aż go wziął Maryusz. Ale Maryusz miał prawo go brać, bo nie było wodzów przez senat naznaczonych... I ja bym się w tej toni od władzy nie wybiegał, chcąc ojczyźnie miłej zdrowiem służyć — ale buławy przyjąć nie mogę, gdyż ojczyźnie, senatowi i zwierzchności bym ubliżył — a samowolnym wodzem być nie chcę. Jest między nami ten, któremu Rzeczypospolita buławę oddała — jest pan podczaszy koronny...

Tu książę dalej mówić nie mógł, bo za ledwie pana podczaszego wspomniął, powstał straszliwy wrzask,

szczekanie szablami; tłum zakolysał się i wybuchnął jak prochy, na które iskra padła. „Precz! na pohybel! pereat!“ — rozległo się w tłumie. — „Pereat! pereat!“ — brzmiało coraz potężniej. — Podczaszy zerwał się z krzesła, blady, z kroplami zimnego potu na czole, a tymczasem groźne postacie zbliżały się ku stallom, ku ołtarzowi — i słyhać już było złowrogie: „Dawajcie go!“ — Książę, widząc na co się zanosi, wstał i wyciągnął prawicę.

Tłumy wstrzymały się, sądząc, że chce mówić; uciszyło się w mgnieniu oka.

Ale książę chciał tylko burzę i tumult zażegnać, rozlewu krwi w kościele nie dopuścić, więc gdy spostrzegł, że najgroźniejsza chwila minęła, usiadł na powrót.

O dwa krzesła dalej, przegrodzony tylko przez wojewodę kijowskiego, siedział nieszczęsny podczaszy; siwą głowę opuszczył na piersi, ręce mu zwisały, a z ust wydobywały się słowa, przerywane łkaniem:

— Pani! za grzechy moje przyjmuję z pokorą krzyż.

Starzec mógł wzbudzić litość w najtwardszem sercu, ale tłum zwykle bywa bezlitosny, więc naważczyły się hałasy, gdy nagle wojewoda kijowski powstał, dając znać ręką, że chce przemówić.

Był to towarzysz zwycięstw Jeremiego, dlatego słuchano go chętnie.

On zaś zwrócił się do księcia i w najczulszych słowach zaklinał go, by buławy nie odrzucał i nie wahał się ratować ojczyzny. Gdy Rzeczpospolita ginie, niech śpią prawa, niech ją ratuje nie wódz mianowany, ale ten, który najwięcej ratować zdolny.

— Bierz-że ty buławę, wodzu niezwycięzony! bierz, ratuj! nie miasto samo, ale całą Rzeczpospolitą. Oto ustami jej, ja, starzec, błagam ciebie, a ze mną wszystkie stany, wszyscy mężowie, niewiasty i dzieci — ratuj! ratuj!

Tu zdarzył się wypadek, który poruszył wszystkie serca: niewiasta w żałobie zbliżyła się do ołtarza i rzucając pod nogi księcia złote ozdoby i klejnoty, klękła przed nim i szlochając głośno, wołała:

— Mienie ci nasze przynosim! życie oddaję w twe ręce... ratuj! ratuj! bo giniemy!

Na ten widok senatorowie, wojskowi, a za nimi całe tłumy, zaryczały ogromnym płaczem—i był jeden głos w tym kościele:

— Ratuj!

Ksiązę zakrył oczy rękoma, a gdy podniósł twarz, i w jego źrenicach błyszczały łzy, jednak się wahał... Co się stanie z powagą Rzeczypospolitej, jeśli on tę buławę przyjmie?!

Wtem wstał podczaszy koronny.

— Jam stary — rzekł — nieszczęśliwy i przygnębiony. Mam prawo zrzec się ciężaru, który jest nad moje siły, i włożyć go na młodsze barki. Otóż wobec tego Boga ukrzyżowanego i wszystkiego rycerstwa, tobie oddaję buławę — bierz ją!

I wyciągnął oznakę ku Wiśniowieckiemu. Na stała chwila takiej ciszy, że słyszałbyś przelatującą muchę; nakoniec rozległ się uroczysty głos Jeremiego:

— Za grzechy moje, przyjmuj!

Wtedy szal opanował zgromadzenie. Tłumy złamały stalle, przypadały do nóg Wiśniowieckiego, ciskały kosztowności i pieniądze, wieść rozniosła się

łotem błyskawicy po całym mieście. Żołnierstwo odchodziło od zmysłów z radości i krzyczało, że chce iść na Chmielnickiego, na Tatarów i sultana; mieszczanie nie myśleli już o poddaniu, ale o obronie do ostatniej kropli krwi; Ormianie znosili dobrowolnie pieniądze do ratusza, nim o szacunku poczęto mówić; Żydzi w bóżnicy podnieśli wrzask dziękczynny. Armaty na wałach oznajmiły grzmotem radosną nowinę; po ulicach palono z rusznic, samopaków i pistoletów. Okrzyki: „Niech żyje!“ trwały przez całą noc. Ktoś, rzeczy nieświadom, mógłby sądzić, iż to miasto tryumf jakiś, czy uroczyste święto obchodzi.

A jednak lada chwila trzysta tysięcy nieprzyjaciół—armia większa od tych, jakie cesarz niemiecki lub król francuski mogli wystawić, a dziksza od zastępów Tamerlana, miała obledz mury tego grodu.

ROZDZIAŁ X.

W tydzień później, rankiem dnia 6 października, gruchnęła po Lwowie wieść zarówno nieoczekiwana jak straszliwa, że książę Jeremi, zabrawszy większą część wojska, opuścił potajemnie miasto i wyjechał niewiadomo dokąd.

Tłumy zebrały się przed arcybiskupim pałacem; nie chciano początkowo wierzyć. Żołnierze twierdzili, iż jeśli książę wyjechał, to niezawodnie wyjechał na czele potężnego podjazdu, aby zlustrować okolicę. Pokazało się (mówiono), że zbiegowie fałszywe głosili wieści, zapowiadając lada chwila Chmielnickiego i Tatarów; bo oto od 26 września upłynęło dni dziesięć, a nieprzyjaciela jeszcze nie widać. Książę zapewne chciał się naocznie przekonać o niebezpieczeństwie i po sprawdzeniu wieści niezawodnie powróci. Zresztą zostawił kilka regimentów i do obrony wszystko gotowe.

Tak było w istocie. Wszelkie rozporządzenia zostały wydane, miejsca wyznaczone, armaty zatoczone na wały. Wieczorem przybył rotmistrz Cichocki na czele pięćdziesięciu dragonów. Natychmiast opadli go ciekawi, ale on z tłumem rozmawiać nie chciał — i udał się wprost do generała Arciszewskiego; obaj

www.libtqool.com.cn
wez wali Grozwajera i po naradzie poszli na ratusz. Tam Cichocki oświadczył przerażonym rajcom, że książę wyjechał bezpowrotnie.

W pierwszej chwili opadły wszystkim ręce i jedne zuchwałe usta wymówiły słowo: „Zdrajca!” Ale wówczas Arciszewski, stary wódz, wsławiony wielkimi czynami w służbie holenderskiej, powstał i w ten sposób do wojskowych i rajców mówić począł:

— Słyszałem słowo bluźniercze, którego bogdajby nikt nie był wymówił, bo go desperacya nawet usprawiedliwić nie może. Książę wyjechał i nie wróci, tak jest! Ale jakież to prawo macie wymagać od wodza, na którego barkach zbawienie całej ojczyzny spoczywa, aby jedynie waszego miasta bronił? Coby się stało, gdyby tu ostatek sił Rzplitej otoczył nieprzyjaciół? Ani zapasów żywności, ani broni na tak wielkie wojsko tu niema, więc to wam powiem, a memu doświadczeniu wierzyć możecie, że im większa potęga byłaby tu zamknięta, tem krócej obrona trwałaby mogła, bo głód zwyciężyłby nas prędzej od nieprzyjaciela. Bardziej chodzi Chmielnickiemu o osobę księcia, niż o wasze miasto, więc gdy się dowie, że go tu nie masz, że nowe wojska zbiera i z odsieczą przybyć może, łącniej wam będzie folgował i na układy się zgodzi. Dziś szemrzenie, a ja wam powiadam, że książę, opuściwszy ten gród, grożąc Chmielnickiemu z zewnątrz, ocalił was i dzieci wasze. Trzymajcie się, brońcie, zadzierżcie tego nieprzyjaciela czas jakiś, a i miasto ocalić możecie i wielkopomną usługę Rzplitej oddacie, bo książę przez ten czas siły zbierze, inne fortece opatrzy, przebudzi zdrętwiałą Rzplitą i na ratunek wam pośpieszy. Je-

dyną on obrał zbawienia drogę, bo gdyby tu głodem zmorzon padł z wojskiem, tedyby już nikt nieprzyjaciela nie wstrzymał, który poszedłby na Kraków, na Warszawę i całą ojczyznę zalał, nigdzie nie znajdując oporu. Dlatego, zamiast szemrać, śpieszcie na wały bronić siebie, dzieci waszych, miasta i całej Rzplitej.

— Na wały! na wały! — powtórzyło kilka śmielszych głosów.

Grozwajer, człowiek energiczny i śmiały, ozwał się:

— Cieszy mnie determinacya ichmościów i wiedziecie, że książę nie odjechał bez obmyślenia obrony. Każdy tu wie co ma robić; i stało się to, co się było stać powinno. Obronę mam w ręku i będę się bronił do śmierci.

Nadzieja nanowo wstąpiła w struchlałe serca, co widząc, Cichocki ozwał się w końcu:

— Jego książęca mość przysłała też waćpanom wiadomości, iż nieprzyjaciół blisko. Porucznik Skrzetuski otarł się skrzydłem o dwutysięczny czambuł, który rozbił. Jeńcy mówią, że sroga potęga idzie za nimi.

Wiadomość ta wielkie wywarła wrażenie; nastąpiła chwila milczenia; wszystkie serca zabiły żywiej.

— Na wały! — rzekł Grozwajer.

— Na wały! na wały! — powtórzyli obecni oficerowie i mieszczanie.

A wtem rumor uczynił się za oknami; słychać było zgiełk tysiąca głosów, które się zlały w jeden niezrozumiały szum, podobny do szumu fal morskich; nagle drzwi sali otworzyły się z łoskotem, wpadło kilkunastu mieszczan, i nim obradujący mieli czas spytać co zaszło, rozległy się wołania:

— Łuny na niebie! Łuny na niebie!

— A słowo stało się ciałem! — rzekł Grozwa-
jer — na wały!!!

Sala opustoszała. Po chwili huk armat wstrząs-
nął murami miasta, oznajmiając mieszkańcom same-
go grodu, przedmieść i okolicznych wiosek, że nie-
przyjaciół nadciągnął.

Na wschodzie niebo czerwieniło się, jak okiem
dojrzeć; rzekłbyś: morze ognia zbliżało się ku miastu.

Księżę tymczasem rzucił się do Zamościa i starł-
szy po drodze czambulik, o którym Cichocki mie-
szczanom wspominał, zajął się naprawą i opatrzeniem
tej potężnej z natury twierdzy, którą też w krótkim
czasie niezdobytą uczynił. Skrzetuski razem z panem
Longinem i częścią chorągwi został w twierdzy, przy
panu Weyherze, staroście waleckim, a księżę ruszył
do Warszawy, by od sejmu uzyskać środki na za-
ciąg nowych wojsk i zarazem wziąć udział w elek-
cyi, która razem miała się odprawiać. Losy Wiśni-
owieckiego i całej Rzplitej miały ważyć się na tej
elekcyi, gdyby bowiem królewicz Karol został obra-
ny, tedyby partya wojenna wzięła górę—księżę otrzy-
małby naczelne dowództwo wszystkich sił Rzeczy-
pospolitej, i musiałoby przyjść do walnej, na śmierć
i życie, z Chmielnickim rozprawy. Królewicz Kazi-
mierz, lubo słynny z męstwa i pan wcale wojenny,
słusznie uchodził za stronnika polityki kanclerza
Ossolińskiego, zatem polityki układów z kozakami
i znacznych dla nich ustępstw. Obaj bracia nie szczę-
dzili obietnic i wysilali się na jednanie sobie stron-
ników — dlatego wobec równej siły obydwóch partyi

nikt nie mógł przewidzieć rezultatu elekcji. Stronicy kanclerscy obawiali się, aby Wiśniowiecki, dzięki rosnącej coraz sławie i miłości, jaką posiadał u rycerstwa i szlachty, nie przeważył umysłów na stronę Karola, książę zaś dla tych samych przyczyn pragnął osobiście popierać swego kandydata. Dlatego ciągnął śpiesznym pochodem do Warszawy, pewny już, że Zamość zdoła długo całą potęgę Chmielnickiego i krymską wytrzymać. Lwów, według wszelkiego prawdopodobieństwa, można było uważać za ocalony, gdyż Chmielnicki nie mógł żadną miarą bawić się długo zdobywaniem tego miasta, mając przed sobą potężniejszy Zamość, który mu drogę do serca Rzplitej zamykał. Te myśli krzepiły umysł książęcy i wlewały otuchę w jego serce, tylu tak strasznemi klęskami kraju strapione. Nadzieja wstąpiła weń pewna, że choćby też i Kazimierz był obrany — już wojna jest nieuniknioną i straszliwa rebelia musi w morzu krwi utonąć. Spodziewał się, że Rzeczpospolita jeszcze raz wystawi potężną armię—bo i układy były o tyle tylko możliwe, o ile poparłaby je potężna armia.

Kołysany temi myślami, jechał książę pod zasłoną kilku chorągwi, mając przy sobie Zagłobę i panna Wołodyjowskiego, z których pierwszy kłął się na wszystko, że przeprowadzi wybór księcia Karola, bo umie do szlachty braci gadać i wie, jak jej zażyć—drugi zaś eskortą księcia dowodził. W Siennicy, niedaleko Mińska, czekało księcia miłe, chociaż niespodziane spotkanie, zjechał się bowiem z księżną Gryzeldą, która z Brześcia Litewskiego do Warszawy dla bezpieczeństwa dążyła, spodziewając się przy-

tem słusznie, że i księżę tam ściągnie. Witali się tedy serdecznie po długiem niewidzeniu. Księżna, lubo duszę miała żelazną, rzuciła się z takim płaczem w objęcia męża, że utulić się przez kilka godzin nie mogła, bo ach! jak często bywały takie chwile, że już się go nie spodziewała ujrzeć więcej, a tymczasem Bóg dał, że oto wracał, sławniejszy niż kiedykolwiek, otoczony taką chwałą jaka nikogo jeszcze z jego rodu nie opromieniła, największy z wodzów, jedyna całej Rzeczypospolitej nadzieja. Księżna, odrywając się co chwila od jego piersi, spoglądała przez łzy na tę twarz chudą, zczerniałą, na to czoło wyniosłe, które troski i trudy poorały w głębokie brzoźdy, na oczy zaczerwienione od nocy bezsennych, i nanowu zalewała się łzami, a cały fraucymer wtórował jej z głębi wezbranych serc. Zwolna dopiero księstwo, uspokoiwszy się, poszli do obszernej plebanii miejscowej, i tam poczęły się pytania o przyjaciół, dworzan i rycerzy, którzy jakoby do rodziny należeli i z którymi pamięć o Łubniach się zrosła. Uspokoił tedy naprzód księżę troskliwość księżny o pana Skrzetuskiego, tłumacząc, iż dla tego tylko w Zamościu został, iż w utrapieniach, jakie od Boga mu były zesłane, nie chciał pogrążyć się w szum stołeczny i wołał w surowej służbie wojennej i w pracy leczyć rany serdeczne. Potem prezentował księżę pana Zagłobę i o czynach jego opowiadał. „Vir to jest incomparabilis, mówił, który nie tylko Kurcewiczównę Bohunowi wydał, ale ją przez środek obozów Chmielnickiego i Tatarów przeprowadził, potem zaś razem z nami, z wielką swoją sławą, najchwalebniej pod Konstantynowem stawał.“ — Słyszając

to, księżna pani nie szczędziła pochwał panu Zagłobie, kilkakrotnie mu rękę do pocałowania podając i lepszą jeszcze kontentację w stosownej porze obiecując, a *vir incomparabilis* kłaniał się, modestą bohaterstwo osłaniał, to znów się puszył i na fraucymer zerkął, bo choć był stary i niewiele sobie od płci białej obiecywał, przecie miło mu to było, że tyle o jego męstwie i czynach słyszała. Nie brakło jednak i smutku w tem radosnem skądinąd powitaniu, bo pominąwszy już czasy na ojczyznę ciężkie, ileż to razy, na pytania księżny o różnych znajomych rycerzy, książę odpowiadał: „Zabit, zabit, zaginion“ — przytem i panny zawodziły, bo niejedno tam między zabitymi drogie nazwisko wymieniono.

Tak radość mieszała się ze smutkiem, łyż z uśmiechami. Ale najbardziej strapiony był mały pan Wołodyjowski, napróżno się bowiem rozglądał i oczyma na wszystkie strony obracał — księżniczki Barbary nie było nigdzie. Co prawda, wśród trudów wojny, wśród ciągłych bojów, potyczek i pochodów, już był ów kawaler trochę o niej zapomniął, gdyż i z natury, o ile do miłości był łatwy, o tyle niezbyt w niej wytrzymały; ale teraz, gdy ujrzał znów fraucymer, gdy mu przed oczyma stanęło jako żywe życie łubniańskie, pomyślał sobie, że milejby mu też było, gdy chwila odpoczynku nadeszła, i powzdychać, i serce nanowo zająć. Więc gdy to się nie zdarzyło, a sentyment jak na złość odżył nanowo, strapił się pan Wołodyjowski ciężko i wyglądał, jakby go deszcz ulewny zmoczył. Głowę spuścił na piersi, wąsiki zwykle tak podkrecone w górę, że aż za nozdrza sięgały, jak u chrabąszcza, zwisły mu także ku do-

łowi, zadarty nos się wydłużył, z twarzy znikła zwyczajna pogoda, i stał milczący, nie poruszył się nawet, gdy książę z kolei jego męstwo i nadzwyczajne przewagi wychwalał. Cóż bowiem znaczyły dla niego wszystkie pochwały, gdy *ona* ich słyszeć nie mogła!

Aż zlitowała się nad nim Anusia Borzobohata, i choć miewali między sobą sprzeczki, postanowiła go pocieszyć. W tym celu, strzygąc oczyma ku księżnie, przysuwała się nieznacznie do rycerza i wreszcie znalazła się tuż przy nim.

— Dzień dobry waćpanu! — rzekła — dawnośmy się nie widzieli.

— Oj, panno Anno! — rzekł melancholicznie pan Michał — siła wody upłynęło i w niewesołych czasach się znów widzimy i nie wszyscy.

— Pewnie, że nie wszyscy, tylu rycerzy poległo!

Tu westchnęła Anusia, po chwili zaś mówiła dalej:

— I my nie w tej liczbie, jak dawniej, bo panna Sieniutówna za mąż poszła, a księżniczka Barbara została u pani wojewodziny wileńskiej.

— I pewnie za mąż idzie?

— Nie, niebardzo ona o tem myśli. A czemu się to waćpan o to dopytuje?

To rzekłszy, Anusia przymrużyła czarne oczęta tak, iż tylko szpareczki pozostały, i spoglądała ukośnie z pod rzęs na rycerza.

— Przez życzliwość dla rodziny — odparł pan Michał.

A Anusia na to:

— Oj to i słusznie, bo też wielką pan Michał ma w księżniczce Barbarze przyjaciółkę. Nieraz pytała:

gdzie to ów mój rycerz, który na turnieju w Łubniach najwięcej głów tureckich zrzucił, za com mu nagrodę dawała? co porabia? zali żyje jeszcze i o nas pamięta?

Pan Michał podniósł z wdzięcznością oczy na Anusię i popierwsze ucieszył się, powtóre dostrzegł, że Anusia wyładniała niepomiernie.

— Zali naprawdę księżniczka Barbara tak mówiła? — spytał.

— Jako żywo, i to jeszcze wspominała, jakieś waćpan przez fosę dla niej skakał, wtedy, gdyś to w wodę wpadł.

— A gdzie teraz pani wojewodzina wileńska?

— Była z nami w Brześciu, a tydzień temu pojechała do Bielska, skąd do Warszawy przybędzie.

Pan Wołodyjowski drugi raz spojrział na Anusię i nie mógł już wytrzymać.

— A panna Anna — rzekł — już do takowej gładkości doszła, że aż oczy bolą patrzeć.

Dziewczyna uśmiechnęła się wdzięcznie.

— Pan Michał tak jeno mówi, by mnie skaptować.

— Chciałem swego czasu — rzekł, ruszając ramionami rycerz — Bóg widzi, chciałem i nie mogłem, a teraz panu Podbipięcie życzę, by był szczęśliwszy.

— A gdzie pan Podbipięta? — spytała cicho Anusia, spuszczać oczki.

— W Zamościu ze Skrzetuskim; został już namiestnikiem w chorągwi i służby pilnować musi, ale gdyby był wiedział, kogo tu ujrzy, o! jak Bóg na niebie, byłby wziął permisyę i tu z nami wielkim

krokiem nadążył. Wielki to jest kawaler, na wszelką łaskę zasługujący.

— A na wojnie... nie doznał jakowego szwanku?

— Widzi mi się, że waćpanna nie o to chcesz pytać, jeno o te trzy głowy, które ściąć zamierzył.

— Nie wierzę, aby on to naprawdę zamierzył.

— A jednak wierz waćpanna, bo bez tego nie będzie nic. Nieleniwie on też szuka okazji. Pod Machnówką ażeśmy jeździli oglądać miejsce, w którym wśród tłumu walczył, i sam książę z nami jeździł, bo powiem waćpannie, dużo bitew widziałem, ale takich jatek, pókim żyw, nie będę widział. Kiedy się szarfa waćpanny do bitwy przepasze—strach, co dokazuje. Znajdzie on swoje trzy głowy, bądź waćpanna spokojna.

— Niechże każdy znajdzie to, czego szuka — rzekła z westchnieniem Anusia.

Za nią westchnął pan Wołodyjowski i wzrok podniósł ku górze, gdy nagle spojrzął ze zdziwieniem w jeden kąt izby.

Z tego kąta patrzała na niego jakaś twarz gniewna, zapalczywa, a całkiem mu nieznana, zbrojna w olbrzymi nos i wąsiska do dwóch wiech podobne, które poruszały się szybko, jakby z tłumionej pasyi.

Można się było przestraszyć tego nosa, tych oczu i wąsów, ale mały pan Wołodyjowski wcale nie był łatwo płochliwy, więc jak się rzekło, zdziwił się tylko i zwróciwszy się do Anusi, pytał:

— Co to za jakowaś figura, ot tam w kącie, która spogląda na mnie tak, jakby mnie z kretesem połknąć chciała, i wąsiskami rusza, jako właśnie stary kot przy pacierzu.

— To?—rzekła Anusia, ukazując białe ząbki—
to jest pan Charłamp.

— Cóż to za poganin?

— Wcale to nie poganin, jeno z chorągwi pana wojewody wileńskiego, rotmistrz petyhorski, który nas aż do Warszawy odprowadza i tam na wojewodę ma czekać. Niech pan Michał jemu w drogę nie wchodzi, bo to wielki ludojad.

— Widzę ja to, widzę. Ale skoro to ludojad, przecie są tłustsi ode mnie, dlaczegoż na mnie, nie na innych zęby ostrzy?

— Bo... — rzekła Anusia i zachychotała zcicha.

— Bo co?

— Bo on się we mnie kocha i sam mi powiedział, że każdego, któryby się do mnie zbliżał, w sztuki posieka, a teraz wierz mi waćpan, że się tylko przez wzgląd na obecność księstwa wstrzymuje, inaczey zarazby poszukał okazji.

— Masz-że tobie! — rzecze wesoło pan Wołodjowski. — To tak, panno Anno? Oj! niedarmośmy, jak widzę, śpiewywali: „Jak tatarska orda, bierzesz w jasyr c o r d a!“ Pamiętasz waćpanna? Że też waćpanna nie możesz się ruszyć, żeby się ktoś zaraz nie zakochał!

— Takie to już moje nieszczęście! — odparła, spuszczając oczki, Anusia.

— Ej, faryzeusz z panny Anny! A co na to powie pan Longinus?

— Cóż ja winna, że ten pan Charłamp mię prześladowe? ja go nie cierpię i patrzeć na niego nie chcę.

— No, no! patrz waćpanna, aby się przez nią

www.lubetool.com.cn
krew nie polała. Podbipiętę choć do rany przyłożyć, ale w rzeczach sentymentu żarty z nim niebezpieczne.

— Niech mu uszy obetnie, jeszcze będę rada.

To rzekłszy, Anusia zakręciła się jak fryga i furknęła na drugą stronę izby do imć Carboniego, doktora księżny, z którym zaczęła coś żywo szeptać i rozmawiać, a Włoch oczy wlepił w pułap, jakby go ekstaza porwała.

Tymczasem Zagłoba zbliżył się do Wołodyjowskiego i począł mrugać krotofilnie swoim zdrowem okiem.

— Panie Michale — spytał — a co to za dzierlatka?

— Panna Anna Borzobohata - Krasieńska, re-spektowa księżny pani.

— A gładka bestyjka, oczy jak tarczki, pysio jak malowane, a szyjka, uf!

— Niczego, niczego!

— Winszuję waszmości!

— Dałbyś waść pokój! To narzeczona pana Podbipięty, albo tak jak narzeczona.

— Pana Podbipięty? Bój-że się waćpan ran Boskich! przecie on czystość ślubował! A prócz tego, przy takiej między nimi proporcji, chybaby ją za kołnierzem nosił; na wąsach mogłaby mu siadać, jak mucha, cóż znowu?

— Ej, jeszcze go ona w karby weźmie. Herkules był mocniejszy, a przecie białogłowa go usidlila.

— Byle mu tylko rogów nie przyprawiła, choć ja pierwszy o to się postaram, jakem Zagłoba.

— Będzie takich więcej, jak waćpan, choć w samej rzeczy z dobrego to gniazda dziewczyna i uczciwa. Płochę to, bo młode i gładkie.

— Zacny z waści kawaler i dlatego ją chwali-
sz, ale że dzierlatka, to dzierlatka.

— Uroda ludzi ciągnie, *exemplum*: ten oto
rotmistrz okrutnie podobno w niej rozmiłowan.

— Ba! a spojrz-no waćpan na tego kruka, z któ-
rym ona rozmawia, co to za czort?

— To Włoch Carboni, doktor księżny.

— Uważ, panie Michale, jak mu się latarnia
rozjaśniła i ślepie przewraca, jak w delirium.
Ej, źle z panem Longinem! Znam ja się na tem
trochę, bom za młodu niejednego doświadczył. W in-
nej porze muszę waćpanu opowiedzieć wszystkie ter-
miny, w jakich bywałem, albo jeśli masz ochotę, to
choć zaraz posłuchaj.

Pan Zagłoba począł szeptać coś do ucha małe-
go rycerza i mrugać silniej niż zwykle, ale w tem
nadeszła pora wyjazdu. Księżę siadł z księżną do
karety, aby przez drogę nagadać się z nią po dłu-
giem niewidzeniu dowoli; panny pozajmowały kolaski,
a rycerstwo siadło na koń—i ruszono. Naprzód je-
chał dwór, a wojsko opodał z tyłu, gdyż kraj był tu
spokojny, i chorągwie tylko dla ostentacyi, nie dla
bezpieczeństwa potrzebne. Ciągnęli więc z Siennicy
do Mińska, a stamtąd do Warszawy, często gęsto
ówczesnym obyczajem popasając. Trakt był tak za-
pchnany, iż zaledwie noga za nogą można się było
posuwać. Wszystko dążyło na elekcyę, i z okolic
pobliższych, i z dalekiej Litwy: więc tu i owdzie
spotykano dwory pańskie, całe orszaki pozłociastych
karet, otoczone hajdukami, olbrzymimi pajukami,
ubranymi po turecku, za którymi postępowały na-

dworne roty, to węgierskie, to niemieckie, to janczarskie, to oddziały kozaków, to wreszcie poważne znaki nie zrównanej jazdy polskiej. Każdy ze znaczniejszych starał się stawić, i najokazalej, i w jak najliczniejszej asystencji. Obok licznych magnackich kalwakad, ciągnęły i szczuplejsze dygnitarzy powiatowych i ziemskich. Co chwila z kurzawy wychylały się pojedyncze karabony szlacheckie, obite czarną skórą, zaprzężone w parę lub cztery konie, a w każdym siedział szlachcic, personat, z krucyfiksem, lub obrazem Najświętszej Panny, zawieszonym na jedwabnym pasie u szyi. Wszyscy zbrojni: muszkiet po jednej stronie siedzenia, szabla po drugiej, a u aktualnych lub byłych towarzyszków chorągwianych jeszcze i kopia, stercząca na dwa łokcie za siedzeniem. Pod karabonami szły psy legowe lub charty, nie dla potrzeby, boć przecie nie na łowy się zjeżdżano, ale dla pańskiej rozrywki. Z tyłu luzacy prowadzili konie powodowe, pokryte dekami dla ochrony bogatych siedzeń od deszczu lub kurzawy, dalej ciągnęły wozy skrzypiące o kołach powiązanych wiciami, a w nich namioty i zapasy żywności dla sług i panów. Gdy wiatr chwilami zwiewał kurzawę z traktu na pola, cała droga odsłaniała się i mieniła jako wąz stubarwny, lub jako wstęga, misternie ze złota i jedwabów utkana. Gdzieniegdzie, na owej drodze brzmiały ochoczo kapele włoskie lub janczarskie, zwłaszcza przed chorągwiami koronnego i litewskiego komputu, których również w tym tłumie nie brakło, bo dla asystencji przy dygnitarzach iść musiały, a wszędy pełno było krzyku, gwaru, nawoływań, pytań i kłótni, gdyż jedni drugim ustępować nie chcieli. Raz w raz

też doskakiwali konni żołnierze i słudzy i do orszaku książęcego, wzywając do ustąpienia dla takiego a takiego dygnitarza, lub pytając kto jedzie. Ale gdy uszu ich doszła odpowiedź: „Wojewoda ruski!“ natychmiast dawali znać panom swym, którzy zostawiali drogę wolną, lub jeśli byli na przedzie, zjeżdżali w bok, by widzieć przeciągający orszak. Po popasach kupiła się szlachta i żołnierze, chcąc napoić ciekawe oczy widokiem największego w Rzeczypospolitej wojownika. Nie brakło też i wiwatów, na które książę wdzięcznie odpowiadał, raz z przyrodzonej sobie ludzkości, a powtórę chcąc tą ludzkością kaptować stronników dla królewicza Karola, których też i nakaptował samym swym widokiem niemało.

Z równą ciekawością patrzono na chorągwie książęce, na owych „Rusinów,“ jak ich nazywano. Nie byli oni już tak obdarci i wynędzniali, jak po konstantynowskiej bitwie, bo książę w Zamościu dał nową barwę chorągwiom, ale zawsze poglądano na nich, jak na cuda zamorskie, gdyż w mniemaniu mieszkańców bliskich okolic stolicy, przychodzili z końca świata. Więc też i dziwy opowiadano o owych stepach tajemniczych i borach, w których się rodzi takie rycerstwo, podziwiano ich płęć ogorzałą, spaloną wichrami z Czarnego morza, ich hardość spojrzenia i pewną dzikość postawy, od dzikich sąsiadów przejętą.

Ale najwięcej oczu zwracało się, po księciu, na pana Zagłobę, który dostrzegłszy, jaki go podziw otacza, spoglądał tak dumnie i hardo, toczył tak strasznie oczyma, iż zaraz szeptano w tłumie: „Ten

to musi być rycerz między nimi najprzedniejszy!“ — A inni mówili: „Sitałono już musiał dusz z ciała wypędzić, taki smok sierdzisty“ — gdy zaś podobne słowa dochodziły do uszu pana Zagłoby, starał się tylko o to, by jeszcze większą sierdzistością wewnętrzne ukontentowanie pokryć.

Czasem odzywał się do tłumu, czasem szydził, a najwięcej z litewskich komputowych chorągwi, w których poważne znaki nosiły złotą, a lekkie srebrną pętelkę na ramieniu.

— Naści hetkę, panie pętelko! — wołał na ten widok pan Zagłoba.

Więc też niejeden towarzysz sapnął, zgrzytnął, szablą trząsnął, ale pomyślawszy, iż to żołnierz z chorągwi wojewody ruskiego tak sobie pozwala, w ostatku splunął i okazyi zaniechał.

Bliżej Warszawy tłumy stały się tak gęste, iż tylko noga za nogą można się było posuwać. Elekcya obiecywała być liczniejszą niż zwykle, bo nawet szlachta z dalszych ruskich i litewskich okolic, która z przyczyny odległości nie byłaby dla samej elekcji przybyła, ściągала teraz do Warszawy dla bezpieczeństwa. A przecie dzień wyboru był jeszcze daleko, gdyż zaledwie pierwsze posiedzenia sejmu się rozpoczęły; ale ściągano na miesiąc i dwa naprzód, by ulokować się w mieście, temu i owemu się przypomnieć, tu i owdzie promocyi poszukać, po dworach pańskich jadać i pijać, i wreszcie, by po żniwach w stolicy rozkoszy zażyć.

Książę poglądał ze smutkiem przez tafle karety na owe tłumy rycerstwa, żołnierzy i szlachty, na te bogactwa i przepych ubiorów, myśląc, jakaby to siłę

można z nich utworzyć — ile wojska wystawić! Czemu to ta Rzeczpospolita, taka silna, ludna i bogata, dzielnem rycerstwem przepełniona, jest zarazem tak mdła, że sobie z jednym Chmielnickim i z dziczą tatarską poradzić nie umie? Czemu? Na krocie Chmielnickiego możnaby krociami odpowiedzieć, gdyby owa szlachta, owo żołnierstwo, owe bogactwa i dostatki, owe pułki i chorągwie chciały tak rzeczy publicznej służyć, jako prywatnie służyły. Cnota w Rzeczypospolitej ginie! — myślał książę — i wielkie ciało psuć się poczyną; męstwo dawne ginie i w słodkich wczasach, nie w trudach wojennych kocha się wojsko i szlachta! Książę miał poniekąd słuszność, ale o niedostatkach Rzeczypospolitej myślał tylko jak wojownik i wódz, który wszystkich ludzi chciałby na żołnierzy przerobić i na nieprzyjaciela poprowadzić. Męstwo mogło się znaleźć, i znalazło się, gdy stokroć większe wojny zagroziły wkrótce Rzeczypospolitej. Jej brakło jeszcze czegoś więcej, czego książę-żołnierz w tej chwili nie dostrzegał, ale co widział jego nieprzyjaciół, kanclerz koronny, biegłszy od Jeremiego statysta.

Lecz oto w siwem i błękitnem oddaleniu zamajaczyły śpiczaste wieże Warszawy, więc dalsze księcia rozmyślania rozpierzchły się, a natomiast wydał rozkazy, które oficer służbowy wnet Wołodyjowskiemu, dowódcy eskorty, odniósł. Skoczył wskutek tych rozkazów pan Michał od kolaski Anusinej, przy której dotąd koniem toczył, do ciągnących znacznie z tyłu chorągwi, aby szyk sprawić i w ordynku dalej już ciągnąć. Zaledwie jednak ujechał kilkanaście kroków, gdy usłyszał, że pędzi ktoś za nim — obej-

rzał się: był to pan Charłamp, rotmistrz lekkiego znaku pana wojewody wileńskiego i Anusin adorator.

Wołodziejowski wstrzymał konia, bo odrazu zrozumiał, że pewnie przyjdzie do jakowegoś zajścia, a lubił z duszy takie rzeczy pan Michał; pan Charłamp zaś zrównał się z nim i z początku nic nie mówił, sapał tylko i wąsami srodoze ruszał, widocznie szukając wyrazów — nakoniec ozwał się:

— Czołem, czołem, panie dragon!

— Czołem, panie pocztowy!

— Jak waszmość śmiesz nazywać mnie pocztowym — pytał, zgrzytając zębami, pan Charłamp — mnie, towarzysza i rotmistrza? ha?

Pan Wołodziejowski począł podrzucać obuszek, który trzymał w ręku, całą uwagę skupiwszy niby na to tylko, by po każdym młyńcu chwycić go za rękojęść — i odrzekł, jakby od niechcenia:

— Bo po pętelce nie mogę poznać szarzy.

— Waść całemu towarzystwu uwłaczasz, którego nie jesteś godzien.

— A to dlaczego? — pytał z głupia frant Wołodziejowski.

— Bo w cudzoziemskim autoramencie służysz.

— Uspokój-że się waćpan—rzecze pan Michał—choć w dragonach służę, przecież jest towarzysz, i to nie lekkiego, ale poważnego znaku pana wojewody, możesz tedy ze mną mówić, jak z równym, albo jak z lepszym ¹⁾.

¹⁾ Towarzysz z pod poważnego znaku nie mógł iść pod komendę nawet generała wojsk cudzoziemskiego autoramentu, przeciwnie nawet, często generał bywał oddawany pod kome-

Pan Charłamp pomiarkował się trochę, poznawszy, iż nie z tak lekką, jak mniemał, osobą ma do czynienia, ale nie przestał zębami zgrzytać, bo go zimna krew pana Michała do większej jeszcze złości doprowadziła — więc rzekł:

— Jak waćpan śmiesz mi w drogę włązić?

— Ej, widzę waszmość okazyi szukasz.

— Może i szukam, i to ci powiem — (tu pan Charłamp pochylił się do ucha pana Michała i kończył cichszym głosem) — że-ć uszy obetnę, jeśli mi przy pannie Annie będziesz zastępował drogę.

Pan Wołodyjowski znów począł podrzucać obuszek bardzo pilnie, jakby to czas był właśnie na takową zabawę, i ozwał się tonem perswazyi:

— Ej, dobrodzieju, pozwól jeszcze pożyć, zaniechaj mnie!

— O nie! nic z tego! nie wymkniesz się — rzekł pan Charłamp, chwytając za rękaw małego rycerza.

— Ja się przecie nie wymykam — mówił łagodnie pan Michał — ale teraz na służbie jestem i ordynansem księcia pana mojego dążę. Puść waść rękaw, puść, proszę cię, bo inaczej, co mnie biednemu robić: chyba tym oto obuchem w łeb zajadę i z konia zwalę.

Tu pokorny z początku głos Wołodyjowskiego tak jakoś zasyczał jadownicę, że pan Charłamp spojrział z mimowolnem zdziwieniem na małego rycerza i rękaw puścił.

dę towarzysza; aby tego uniknąć, generałowie i oficerowie regimentów cudzoziemskich starali się być jednocześnie towarzyszami w polskich. Takim towarzyszem był i p. Wołodyjowski.

— O! wszystko jedno! — rzekł — w Warszawie dasz mi pole, dopilnuję cię!

— Nie będę się krył, wszelako jakże to nam bić się w Warszawie? racz-że mnie waszmość nauczyć! Nie bywałem tam jeszcze w życiu mojem, ja prosty żołnierz, alem słyszał o sądach marszałkowskich, które za wydobyć szablę pod boki króla, lub interrexa, gardłem karzą.

— Znać to, żeś waćpan w Warszawie nie bywał i żeś prostak, skoro się sądów marszałkowskich boisz, i nie wiesz, że w czasie bezkrólewia kaptur sądzi, z którym sprawa łatwiejsza, a już o waście uszy gardła mi nie wezmą, bądź pewien.

— Dziękuję za naukę i często o instrukcyę poproszę, bo widzę, żeś waćpan praktyk nielada, i mąż uczony, a ja, jakom tylko infimę minorum praktykował, ledwie adjectivum cum substantivo pogodzić umiem i gdybym waćpana chciał, broń Boże, głupim nazwać, to tylko tyle wiem, że powiedziałbym: stultus, nie zaś stulta, ani stultum.

Tu pan Wołodzyjowski począł znów podrzucać obuszek, pan Charłamp zaś aż zdumiał się, potem krew mu uderzyła do twarzy i szablę z pochwy wyciągnął, ale w tem samem mgnieniu oka i mały rycerz, chwyciwszy obuszek pod kolano, swoją błysnął. Przez chwilę patrzali na się jak dwa odyńce z rozwartemi nozdrzami i z płomieniami w oczach — lecz pan Charłamp zmiarkował się pierwszy, iż z samym wojewodą przyszyłoby mu mieć sprawę, gdyby na jego oficera jadącego z rozkazem napadł — więc też i pierwszy szablisko napowrót schował.

— O! znajdę cię, taki synul — rzekł.

— Znajdziesz, znajdziesz, boćwino!—rzekł mały rycerz.

I rozjechali się, jeden do kalwakaty, drugi do chorałgi, które znacznie się przez ten czas zbliżyły, tak, iż z kłębów kurzawy dochodził już tupot kopyt po twardym trakcie. Pan Michał wnet sprawił jazdę i piechotę do porządnego pochodu i ruszył na ozele. Po chwili przycłapał ku niemu pan Zagłoba.

— Czego chciało od ciebie owo straszidło morskie? — spytał Wołodyjowskiego.

— Pan Charłamp? Ej nic, wyzwał mnie na rękę.

— Masz tobie! — rzekł Zagłoba. — Na wylot cię swoim nosem przedziobie. Bacz, panie Michale, gdy się będziecie bili, abyś największego nosa w Rzeczypospolitej nie obciął, bo osobny kopiec trzebaby dla niego sypać. Szczęśliwy wojewoda wileński! Inni muszą podjazdy pod nieprzyjaciela posyłać, a jemu ten towarzysz zdaleka go zawietrzy. Ale za co cię wyzwał?

— Za to, żem przy kolasce panny Anny Borzobohatej jechał.

— Bał trzeba mu było powiedzieć, żeby się do pana Longina do Zamościa udał. Tenby go dopiero poczęstował pieprzem z imbierem. Żle ten boćwin-karz trafił i widać mniejsze ma szczęście od nosa.

— Nie mówiłem mu nic o panu Podbiłpięcie — rzekł Wołodyjowski — bo nużby mnie zaniechał? Będę się na złość do Anusi z podwójnym ferworem zalecał, chcę też mieć swoją uciechę. A co my w tej Warszawie będziemy mieli lepszego do roboty.

— Znajdziemy, znajdziemy, panie Michale — rzekł, mrugając oczyma Zagłoba. — Kiedy byłem za

młodych lat deputatem do exakcyi od chorągwi, w której służyłem, jeździło się po całym kraju, ale takiego życia jak w Warszawie nigdzie nie znalazłem.

— Mówisz waćpan, że inne niż u nas na Ządnieprzu?

— Ej, co i mówić!

— Bardzom ciekaw — rzekł pan Michał.

A po chwili dodał:

— A taki temu boćwinkowi wąsy podetnę, bo ma za długie.

ROZDZIAŁ XI.

Upłynęło kilka tygodni. Szlachty na elekcyę zjeżdżało się coraz więcej. W mieście dziesięćkrotnie zwiększyła się ludność, bo razem z tłumami szlachty napływały tysiące kupców i bazarowników z całego świata, począwszy od Persyi dalekiej, aż do Anglii zamorskiej. Na Woli zbudowano szopę dla senatu, a naokół bieliły się już tysiące namiotów, którymi obszerne błonia całkiem się okryły. Nikt jeszcze nie umiał powiedzieć, który z dwóch kandydatów, królewicz Kazimierz, kardynał, czy Karol Ferdynand, biskup płocki, będzie wybrany. Z obu stron wielkie były starania i usilności. Puszczano w świat tysiące ulotnych pism, opiewających zalety i wady pretendentów — obaj mieli stronników licznych i potężnych. Po stronie Karola stał, jak wiadomo, książę Jeremi, tem groźniejszy dla przeciwników, że zawsze prawdopodobnem było, iż pociągnie za sobą rozmiłowaną w nim szlachtę, od której wszystko ostatecznie zależało. Ale i Kazimierzowi sił nie brakło. Przemawiało za nim starszeństwo, po jego stronie stawały wpływy kanclerza, na jego stronę zdawał się przechylać prymas, za nim obstawała większość magnatów, z których każdy licznych

www.libtool.com.cn
miał klientów, a między magnatami i księżę Dominik Zasławski-Ostrogski, wojewoda sandomierski, po Piławcach znieśławion wprawdzie bardzo i nawet sądem zagrożony, ale zawsze największy pan w całej Rzeczypospolitej, bał nawet w całej Europie, i mogący w każdej chwili niezmierny ciężar bogactw na szalę swego kandydata przyrzucić.

Jednakże stronnicy Kazimierza gorzkie nieraz miewali chwile zwątpienia, bo jak się rzekło, wszystko zależało od szlachty, która już od 4 października tłumnie obozowała pod Warszawą i nadszła jeszcze tysiącami ze wszystkich stron Rzeczypospolitej, a w niezmiernej większości opowiadała się przy księciu Karolu, pociągana urokiem imienia Wiśniowieckiego i ofiarnością królewicza na cele publiczne. Królewicz bowiem, pan gospodarny i zamożny, nie zawahał się w tej chwili poświęcić znacznych kosztów na formowanie nowych regimentów wojsk, które pod komendę Wiśniowieckiego miały być oddane. Kazimierz chętnie byłby poszedł za jego przykładem, i pewnie nie chciwość go wstrzymała, ale właśnie przeciwnie, zbytnia hojność, której bezpośrednim skutkiem był niedostatek i wieczny brak pieniędzy w skarbcu. Tymczasem obaj żywe prowadzili rokowania. Codziennie latali posłańcy między Nieporętem a Jabłonną. Kazimierz w imię swego starszeństwa i miłości braterskiej zaklinał Karola, by ustąpił — biskup zaś opierał się, odpisywał, iż nie godzi mu się gardzić szczęściem, które go spotkać może, „gdyż to szczęście in liberis suffragiis Rzplitej i komu Pan obiecał“ — a tymczasem czas płynął, sześciotygodniowy termin zbliżał się i razem

z nim groza kozacka, bo przyszły wieści, że Chmielnicki, porzuciwszy oblężenie Lwowa, który się po kilku szturmach okupił, stanął pod Zamościem i dzień i noc do tej ostatniej zasłony Rzplitej szturmuje.

Mówiono również, że oprócz posłów, których Chmielnicki do Warszawy wysłał z listem i oświadczeniem, iż jako szlachcic polski za Kazimierzem głos daje, kryło się między tłumami szlachty i w samym mieście pełno przebranej starszyny kozackiej, której nikt rozpoznać nie umiał, bo przybywali jako szlachta słuszną i zamożną, w niczem się od innych elektorów, zwłaszcza z ziem ruskich, nie różniąc — nawet i mową. Jedni, jak mówiono, poprzekradali się dla prostej ciekawości, aby się elekcyi i Warszawie przypatrzeć, inni na przeszepty, dla zasięgnięcia wieści, co o przyszłej wojnie mówią, ile wojsk myśli Rzeczpospolita wystawić i jakie na zaciągi obmyśli fundusze? Może było i dużo prawdy w tem, co o owych gościach mówiono, bo między starszyna zaporoską wielu było skozaczonych szlachciców, którzy i łaciny nieco zarwali, a przeto nie było ich po czem poznać; zresztą na dalekich stepach wogóle nie kwitła łacina, i tacy kniazie Kurcewicze nie umieli jej tak samo, jak Bohun i inni atamani.

Ale gadania podobne, których pełno było i na polu elekcyjnym i w mieście, razem z wieściami o postępach Chmielnickiego i podjazdach kozacko-tatarskich, które jakoby aż po Wisłę docierały, napełniały niepokojem i trwogą dusze ludzkie, a nieraz stawały się przyczyną tumultów. Dość było między zbraną szlachtą rzucić na kogo podejrzenie,

iz jest przebrany Zaporozcem, aby go w jednej chwili, nim zdolał się usprawiedliwić, rozniesiono w drobne strzępy na szablach. W ten sposób ginąć mogli ludzie niewinni i powaga obrad była znieważana, zwłaszcza, że obyczajem ówczesnym niezbyt przestrzegano i trzeźwości. Kaptur, postanowiony propter securitatem loci, nie mógł sobie dać rady z ciągłemi burdami, w których siekano się z łada powodu. Ale jeśli ludzi statecznych, przejętych miłością dobra i spokoju, oraz niebezpieczeństwem, jakie ojczyźnie groziło, martwiły owe tumulty, siekaniny i pijatki, natomiast szalapuci, kosterzy i warchołowie czuli się jakoby w swoim żywiole, uważali, że to ich właśnie czas, ich żniwo — i tem śmiej dopuszczali się różnych zdrożności.

Nie trzeba zaś mówić, że między nimi rej wodził pan Zagłoba, którą to hegemonię zapewniła mu i wielka sława rycerska i nienasycone pragnienie, poparte możliwością picia, i język tak wyprawnny, że żaden inny wyrównać mu nie mógł, i wielka pewność siebie, której nic zachwiać nie zdołało. Chwilami miewał on jednak napady „melankolii“ — wówczas zamykał się w izbie lub w namiocie i nie wychodził, a jeśli wyszedł, bywał w gniewliwym humorze, skłonny do zwady i bójki na prawdę. Zdarzyło się nawet, iż w takim usposobieniu poszczerbił mocno pana Duńczewskiego, Rawianina, za to tylko, iż przechodząc, o jego szablę zawadził. Pana Michała tylko wówczas obecność znosił i przed nim uskarżał się, iż go tęskność po panu Skrzetuskim i po *niebodze* trawi. „Opuściliśmy ją, panie Michale, — mawiał — wydaliśmy ją, jako Judasze, w bezbożne ręce, już wy

mnie się waszem *nomine excepto* nie zastanawiajcie!
Co się z nią dzieje, panie Michale, powiedz?”

Napróżno pan Michał tłumaczył mu, że gdyby nie Piławce, toby *niebogi* szukali, ale że teraz, gdy przegrodziła ich od niej cała potęga Chmielnickiego, jest to rzecz niepodobna. Szlachcic nie dawał się pocieszyć, tylko w jeszcze większą pasyę wpadał, klnąc na czem świat stoi *pierzynę, dziecinę i łacinę*.

Ale owe chwile smutku krótko trwały. Zwykle potem pan Zagłoba, jakby chcąc sobie wynagrodzić czas stracony, hulał i pił jeszcze więcej niż zwykle; czas spędzał pod wiechami, w towarzystwie największych opojów, lub stołecznych gamratek, w czem pan Michał wiernie dotrzymywał mu towarzystwa.

Pan Michał, żołnierz i oficer wyborny, nie miał w sobie jednak na szeląg tej powagi, jaką naprzykład w Skrzetuskim wyrobiły nieszczęścia i cierpienie. Obowiązek swój względem Rzeczypospolitej rozumiał Wołodyjowski w ten sposób, że bił kogo mu kazano — o resztę nie dbał, na sprawach publicznych się nie rozumiał; klęskę wojskową gotów był zawsze opłakiwać; ale ani do głowy mu nie przyszło, że warcholstwo i tumulty tyle są rzeczy publicznej szkodliwe, ile i klęski. Był to słowem młodzik wietrznik, który dostawszy się w szum stołeczny, utonął w nim po uszy i przyczepił się jak oset do Zagłoby, bo ten był mu mistrzem w swawoli. Jeździł więc z nim i między szlachtą, której przy kielichu niestworzone rzeczy opowiadał Zagłoba, kaptując zarazem stronników dla królewicza Karola, pił z nim razem, w potrzebie osłaniał go, kręcili się obaj, i po polu elekcyjnym, i w mieście, jak muchy

w ukropie—i nie było kęsa, do którego by nie wleźli. Byli i w Nieporęcie, i w Jabłonie, i na wszystkich ucztach, obiadach u magnatów, i pod wiechami, byli wszędy i uczestniczyli we wszystkim. Pana Michała świeżbiała młoda ręka, chciał się pokazać i okazać zarazem, że szlachta ukraińska lepsza niż inna, a żołnierze książęcy nad wszystkimi. Więc jeździli umyślnie szukać awantur, między Łęczycanów, jako do korda najsprawniejszych, a głównie między partyzantów księcia Dominika Zasławskiego, ku którym obaj szczególną czuli nienawiść. Zaczepiali tylko co znamienitszych rębajłów, których sława była niezachwiana i ustalona, i z góry układali zaczepki. „Waszmość dasz okazyę, — mawiał pan Michał — a ja potem wystąpię.“ Zagłoba, biegły bardzo w szermierce i do pojedynku z bratem szlachcicem wcale nie tchórz, nie zawsze zgadzał się na zastępstwo, zwłaszcza w zajściach z Zasławczykami, ale gdy z jakim łączyckim graczem przyszło mieć do czynienia, poprzestawał na dawaniu okazyi, gdy zaś już szlachcic rwał się do szabli i wyzywał, wtedy pan Zagłoba mawiał: „Mój mospaniel jużbym też nie miał sumienia, gdybym na śmierć oczywistą waćpana narażał, sam się z nim potykając; spróbuj się lepiej z tym oto moim synalkiem i uczniem, bo nie wiem, czy i jemu sprostasz.“ Po takich słowach wysuwał się pan Wołodyjowski ze swymi zadartymi wąsikami, zadartym nosem i miną gapia, i czy go przyjmowano, czy nie, puszczał się w taniec, a że istotnie mistrz to był nad mistrzami, więc po kilku złożeniach kładł zwykle przeciwnika. Takie to sobie obaj z Zagłobą wymyślali zabawy, od których ich sława

między niespokojnymi duchami i między szlachtą rosła, ale szczególnie sława pana Zagłoby, bo mówiono: „Jeśli uczeń taki, jakież mistrz być musi?” Jednego tylko pana Charłampa Wołodyjowski nigdzie przez długi czas odnaleźć nie mógł, myślał nawet, że go może na Litwę napowrót w jakich sprawach wysłano.

W ten sposób zeszło sześć blisko tygodni, w czasie których i rzeczy publiczne posunęły się znacznie naprzód. Wytężona walka między braćmi kandydatami, zabiegi ich stronników, gorączka i wzburzenie namiętności w partyzantach, wszystko przeszło prawie bez śladu i pamięci. Wiadomo już było wszystkim, że Jan Kazimierz będzie wybrany, bo królewicz Karol bratu ustąpił i dobrowolnie zrzekł się kandydatury. Dziwna rzecz, że w tej chwili wiele głos Chmielnickiego zaważył, gdyż spodziewano się powszechnie, że podda się powadze króla, zwłaszcza takiego, który w jego myśl byłby obrany. Jakoż te przewidywania sprawdziły się w znacznej części. Zato dla Wiśniowieckiego, który ani na chwilę, jak ongi Kato, nie przestawał upominać, aby owa zaporoška Kartagina była zburzona — taki obrót rzeczy był nowym ciosem. Teraz musiały już wejść na porządek spraw układy. Książę wiedział wprawdzie, że te układy albo odrazu nie doprowadzą do niczego, albo wkrótce siłą rzeczy będą zerwane, i widział wojnę w przyszłości — ale niepokój ogarniał go na myśl, jaki będzie los tej wojny. Po układach uprawniony Chmielnicki będzie jeszcze silniejszy, a Rzeczpospolita słabsza. I kto poprowadzi jej wojska przeciw tak wsławionemu jak Chmielnicki wodzowi? Zali

nie przyjdą nowe klęski, nowe pogromy, które do ostatka siły wyczerpią? Bo ksiązę nieśmiał się i wiedział, że jemu, najżarliwшему stronnikowi Karola, nie oddadzą buławy. Kazimierz obiecał wprowadzić bratu, że jego stronników, tak jak i swoich, będzie miłował, Kazimierz miał duszę wspaniałą — ale Kazimierz był stronnikiem polityki kanclerza — kto inny więc weźmie buławę — nie ksiązę — i biada Rzeczypospolitej, jeśli to nie będzie wódz od Chmielnickiego bieglejszy. Na tę myśl podwójny ból uciskał duszę Jeremiego — bo i obawa o przyszłość ojczyzny i to nieznośne uczucie, jakie ma człowiek, który widzi, że zasługi jego będą pominięte, że sprawiedliwość nie będzie mu oddana i że inni nad nim głowę podniosą. Nie byłby Jeremi Wiśniowieckim, gdyby nie był dumnym. On czuł w sobie siły do dźwigania buławy — i na nią zasłużył — więc cierpiał podwójnie.

Mówiono nawet między oficerami, że ksiązę nie będzie czekał końca elekcji i że z Warszawy wyjedzie — ale nie była to prawda. Ksiązę nie tylko nie wyjechał, ale odwiedził nawet królewicza Kazimierza w Nieporęcie, od którego z niezmierną łaskawością był przyjęty, poczem wrócił do miasta na dłuższy pobyt, którego wymagały sprawy wojskowe. Chodziło o zyskanie środków na wojsko — o co pilnie nastawał ksiązę. Przytem za Karolowe pieniądze tworzyły się nowe regimenta dragonów i piechoty. Jedne wysłano już na Ruś, drugie dopiero należało do ładn przyprowadzić. W tym celu rozesłał ksiązę na wszystkie strony oficerów biegłych w rzeczach organizacyi wojskowej, aby owe pułki przyprowa-

dzali do pożądanego stanu. Został wysłany Kuszel i Wierszuł, a wreszcie przyszła kolej i na Wołodujowskiego.

Pewnego dnia wezwano go przed oblicze księcia, który taki mu dał rozkaz:

— Pojedziesz waść na Babice i Lipków do Zaborowa, gdzie czekają konie dla regimentu przeznaczone; tam je opatrzysz, wybrakujesz i zapłacisz panu Trzaskowskiemu, a następnie przyprowadzisz je dla żołnierzy. Pieniądze za tym moim kwitem, tu w Warszawie, od płatnika odbierzesz.

Pan Wołodujowski wziął się rażno do roboty, pieniądze odebrał i tegoż dnia obaj z Zagłobą ruszyli do Zaborowa, w samodziśnię i z wozem, który wioził pieniądze. Jechali wolno, bo cała okolica z tamtej strony Warszawy roila się od szlachty, służby, wozów i koni; wioski aż po Babice były tak zapchane, że we wszystkich chałupach mieszkali goście. Łatwo było i o przygodę w natłoku ludzi różnych humorów — jakoż mimo największych starań i skromnego zachowania się, nie uniknęli jej i dwaj przyjaciele.

Dojechawszy do Babic, ujrzeni przed karczmą kilkunastu szlachty, która właśnie siadała na koń, aby jechać w swoją drogę. Dwa oddziały, pozdrowiwszy się wzajemnie, już miały się pominąć, gdy nagle jeden z jeźdźców spojrzał na pana Wołodujowskiego, i nie rzekłszy słowa, puścił się rysią ku niemu.

— A tuś mi, bratku! — zakrzyknął — chowałeś się, alem cię znalazł, nie ujdiesz mi teraz! Hej! mości panowie! — zakrzyknął na swoich towarzyszy — a czekajcie-no trocha. Mam temu oficerko-

wi coś powiedzieć i chciałbym, abyście świadkami moich słów byli.

Pan Wołodzyjowski uśmiechnął się z zadowoleniem, bo poznał pana Charłampa.

— Bóg mi świadkiem, że się nie chowałem—rzekł— i sam wacpana szukałem, aby się go zapytać, czyliś rankor jeszcze dla mnie zachował, ale cóż! nie mogliśmy się spotkać.

— Panie Michale — szepnął Zagłoba — po służbie jedziesz!

— Pamiętam! — mruknął Wołodzyjowski.

— Stawaj do sprawy!—wrzeszczał Charłamp.— Mości panowie! obiecałem temu młodzikowi, temu gołowąsowi, że mu uszy obetnę, i obetnę, jakem Charłamp! oba, jakem Charłamp! Bądźcie świadkami waszmościowie, a ty młodziku, stawaj do sprawy!

— Nie mogę, jak mnie Bóg miły, nie mogę! — mówił Wołodzyjowski — pofolguj-że mi wasze choć parę dni.

— Jak to, nie możesz? tchórz cię obleciał? Jeśli w tej chwili nie staniesz, toć oplązuję, aż ci się dziadek i babka przypomni. O bąku! o gzie jadowity, w drogę wchodzić umiesz, naprzykrzać się umiesz, językiem kasać umiesz, a do szabli ciebie niema!

Tu wmieszał się pan Zagłoba.

— Widzi mi się, że waszmość w piętkę gonisz — rzekł do Charłampa — i bacz, żeby cię ten bąk na prawdę nie ukąsił, bo wtedy żadne plastry nie pomogą. Tfu! do dyabła, czy nie widzisz, że ten oficer za służbą jedzie? Spójrz na ten wóz z pieniędzmi, które do regimentu wieziemy, i zrozum, do kąduka, iż strażując przy skarbie, ten oficer swoją

osobą nie rozporządza i pola dać ci nie może. Kto tego nie rozumie, ten kiep, nie żołnierz. Pod wojewodą ruskim służym i nie takich bijaliśmy, jak waćpan, ale dziś nie można, a co się odwlecze, to nie uciecze.

— Już-ci pewno, że kiedy z pieniędzmi jadą, to nie mogą—rzekł jeden z towarzyszków Charłampa.

— A co mnie do ich pieniędzy! — krzyczał niepoohamowany pan Charłamp — niech mi pole daje, bo inaczej płazować zacznę!

— Pola dziś nie dam, ale parol kawalerski dam — rzekł pan Michał — że się stawię za trzy, lub cztery dni, gdzie chcecie, jak tylko sprawy po służbie załatwię. A nie będziecie się waszmościowie tą obietnicą kontentowali, to każę cyngłów ruszać, bo będę myślał, że nie ze szlachtą i nie żołnierzami, ale z rozbójnikami mam do czynienia. Wybierajcie tedy, do wszystkich dyabłów, gdyż nie mam czasu tu stać!

Słyszac to, eskortujący dragoni zwrócili natychmiast rury muszkietów ku napastnikom, a ten ruch, również jak i stanowcze słowa pana Michała, widoczne wywarły wrażenie na towarzyszach pana Charłampa.

— Już też pofolguj — mówili mu — sameś żołnierz, wiesz co to służba, a to pewna, że satysfakcyę otrzymasz, bo to śmiała jakaś sztuka, jak i wszyscy z pod ruskich chorągwi. Pohamuj się, póki prosim!

Pan Charłamp rzucał się jeszcze przez chwilę, ale wreszcie zmiarkował, że albo towarzyszków rozniewa, albo ich na niepewną walkę z dragonami naraża, więc zwrócił się do Wołodyjowskiego i rzekł:

— Dajesz tedy parol, że się stawisz?

— Sam cię poszukam, choćby za to, że o taką rzecz dwa razy pytasz. Stawię się w czterech dniach; dziś mamy środę, niechże będzie w sobotę po południu, we dwie godzin. Obieraj miejsce.

— Tu w Babicach siła gości — rzekł Charłamp — mogłyby jakowe impedimenta się zdarzyć. Niechże będzie tu obok w Lipkowie, tam już spokojniej i mnie niedaleko, bo nasze kwatery w Babicach.

— A waćpanów taka sama będzie liczna kompania jak dziś? — pytał przezorny Zagłoba.

— O, nie trzeba! — rzekł Charłamp — przyjadę tylko ja i panowie Siellicy, moi krewni. Waszmościowie też, s p e r o, bez dragonów staniecie.

— Może u was w asystencyi wojskowej do pojedynku stają, — rzekł pan Michał; — u nas niema takiej mody.

— Tedy w czterech dniach, w sobotę, w Lipkowie? — rzekł Charłamp. — Znajdziem się przed karczmą, a teraz z Bogiem!

— Z Bogiem! — rzekł Wołodyjowski i Zagłoba.

Przeciwnicy rozjechali się spokojnie. Pan Michał był uszczęśliwiony z przyszłej zabawy i obiecywał sobie zrobić prezent panu Longinowi z obciętych wąsów Petyhorca. Jechał więc w dobrej myśli do Zaborowa, gdzie zastał i królewicza Kazimierza, który tam na łowy przyjechał. Wszelako pan Michał zdaleka tylko widział przyszłego pana, bo śpieszył się. We dwa dni sprawy ułatwił, konie obejrzał, zapłacił pana Trzaskowskiego, wrócił do Warszawy i na termin, bał nawet o godzinę za wcześniej,

stanął w Lipkowie, razem z Zagłobą i panem Kuszelem, którego na drugiego świadka zaprosił.

Zajechawszy przed karczmę, którą Żyd trzymał, weszli do izby, aby gardła trochę miodem przeplukać, i przy szklanicy zabawiali się rozmową.

— Parchu, a pan jest w domu? — pytał karczmarza Zagłoba.

— Pan w mieście.

— A siła u was szlachty stoi w Lipkowie?

— U nas pusto. Jeden tylko pan stanął tu u mnie, i siedzi w alkierzu; bogaty pan ze służbą i końmi.

— A czemu do dworu nie zajechał?

— Bo widać naszego pana nie zna. Zresztą dwór zamknięty od miesiąca.

— A może to Charłamp? — rzekł Zagłoba.

— Nie — rzekł Wołodyjowski.

— Ej, panie Michale! mnie się widzi, że to on.

— Co znowu!

— Pójdę, zajrzę, kto jest. Żydzie, a dawno ten pan stoi?

— Dziś przyjechał, niema dwóch godzin.

— A nie wiesz skąd on jest?

— Nie wiem, ale musi być zdaleka, bo konie miał zniszczone; ludzie mówili, że z za Wisły.

— Czemu on tedy aż tu w Lipkowie stanął?

— Kto jego wie?

— Pójdę zobaczę — powtórzył Zagłoba — może kto znajomy.

I zbliżywszy się do zamkniętych drzwi alkierza, zapukał w nie rękojęścią i ozwał się:

— Mości panie, można wejść?

— A kto tam? — ozwał się głos ze środka.

— Swoji! — rzekł Zagłoba, uchylając drzwi. —
Z przeproszeniem waszmości, może nie w porę? —
dodał, wsadzając głowę do alkierza.

Nagle cofnął się, drzwiami trzasnął, jakby śmierć zobaczył. Na twarzy jego malował się przestach w połączeniu z największym zdumieniem; usta otworzył i spoglądał obłąkanemi oczyma na Wołodyjowskiego i Kuszla.

— Co waćpanu jest? — pytał Wołodyjowski.

— Na rany Chrystusa! cicho! — rzekł Zagłoba —
tam... Bohun!

— Kto? co się waści stało?

— Tam... Bohun!

Obaj oficerowie podnieśli się na równe nogi.

— Czyś waść rozum stracił? Miarkuj się: kto?

— Bohun! Bohun!

— Nie może być!

— Jakom żyw! jak tu przed wami stoję, klnę
się na Boga i wszystkich świętych!

— Czegożes się waść tak stropił? — rzekł Wołodyjowski. — Jeśli on tam jest, to Bóg podał go w nasze ręce. Uspokój się waść! Jest-żeś pewny, że to on?

— Jako że z waćpanem mówię. Widziałem go, szaty przewdziewa.

— A on waćpana widział?

— Nie wiem; zdaje się, że nie.

Wołodyjowskiego oczy zaiskrzyły się, jak węgle.

— Żydziel — rzekł zcicha, kiwając gwałtownie
ręką. — Chodź tu! Czy są drzwi z alkierza?

— Niema, jeno przez tę izbę.

— Kuszel, pod okno! — szepnął pan Michał. —
O, już nam teraz nie ujdzie!

Kuszel, nie mówiąc ani słowa, wybiegł z izby.

— Przyjdź waćpan do siebie! — rzekł Wołodjowski. — Nie nad waćcinym, ale nad jego karciem zguba wisi. Co on ci może uczynić? nie!

— Ja też jeno ze zdziwienia nie mogę ochłonać! — odparł Zagłoba, a w duchu pomyślał: — Prawda! czego ja się mam bać? Pan Michał przy mnie, niech się Bohun boi!

I nasrożywszy się okrutnie, chwycił za rękojeść szabli.

— Panie Michale, już on nie powinien nam ująć!

— Czy to jeno on? bo mi się jeszcze wierzyć nie chce. Coby on tu robił?

— Chmielnicki go na przespziegi przysłał. To najpewniejsza rzecz! Czekaj, panie Michale! Chwycimy go i postawimy kondycję: albo kniaziównę odda, albo zagrozimy mu, że go wydamy sprawiedliwości!

— Byle kniaziównę oddał, jechał go sę!

— Ba, ale czy nas nie za mało? dwóch i Kuszel trzeci? Będzie się on bronił, jak wściekły, a ludzi też ma kilku.

— Charlamp z dwoma przyjedzie, będzie nas sześciu! dosyć! cyt!

W tej chwili otworzyły się drzwi, i Bohun wszedł do izby.

Nie musiał on poprzednio dostrzedz zaglądnącego do alkierza Zagłoby, gdyż teraz na jego widok drgnął nagle i jakby płomień przeleciał mu przez oblicze, a ręka z szybkością błyskawicy spoczęła na głowni szabli, ale wszystko trwało jedno mgnienie

oka. Wnet ów płomień zgasł w jego twarzy, która jednak przybladła nieco.

Zagłoba patrzył na niego i nie mówił nic, ataman również stał milczący; w izbie słyshałbyś przełatującą muchę — i ci dwaj ludzie, których losy płały się w tak dziwny sposób, udawali w tej chwili, że się nie znają.

Trwało to dość długo. Panu Michałowi wydało się, że upływają wieki całe.

— Żydziel — rzekł nagle Bohun — daleko stąd do Zaborowa?

— Niedaleko — odparł Żyd. — Wasza mość zaraz jedzie?

— Tak jest — rzekł Bohun i skierował się ku drzwiom izby, wiodącym do sieni.

— Za pozwoleniem! — zabrzmiał głos Zagłoby.

Watażka zatrzymał się odrazu, jakby w ziemię wrósł, i zwróciwszy się ku Zagłobie, wpił w niego swe czarne, straszne źrenice.

— Czego waść życzysz? — spytał krótko.

— Ej, bo mnie się zdaje, że my się skądś znamy. A czy my się to nie na weselu w futorze, na Rusi, widzieli?

— A tak jest! — rzekł hardo watażka, kładąc znowu rękę na głowni.

— Jak zdrowie służy? — rzekł Zagłoba. — Bo waćpan tak jakoś nagle wtedy z futoru wyjechał, że i pożegnać się nie miałem czasu.

— A waszmość tego żałował?

— Pewnie, że żałowałem, bylibyśmy potańcowali; kompania się zwiększyła. — (Tu pan Zagłoba wskazał Wołodyjowskiego). — Właśnie ten oto kawa-

ler nadjechał, który radby się był z waścią bliżej poznać.

www.libtool.com.cn

— Dość tego! — krzyknął pan Michał, wstając nagle — zdrajco, aresztuję cię!

— A to jakim prawem? — spytał ataman, podnosząc dumnie głowę.

— Boś buntownik, wróg Rzeczypospolitej i na przeszpiegi tu przyjechałeś!

— A waść co za jeden?

— O! nie będę się tobie wywódził, ale mi się nie wymkniesz!

— Zobaczymy! — rzekł Bohun. — Nie wywodziłbym się i ja waszmości, ktom jest, gdybyś mnie jako żołnierz na szable wyzwał, ale skoro aresztem grozisz, to ci się wywiode: oto jest list, który od hetmana zaporoskiego do królewicza Kazimierza wiozę, i nie znalazłszy go w Nieporęcie, do Zaborowa z nim jadę. Jakże to mnie będziesz teraz aresztował?

To rzekłszy, Bohun spojrzał dumnie i szydersko na Wołodyjowskiego, a pan Michał zmieszał się bardzo, jak ogar, który czuje, że mu się zwierzyna wymyka, i nie wiedząc, co ma począć, zwrócił pytający wzrok na Zagłobę. Nastąpiła ciężka chwila milczenia.

— Ha! — rzekł Zagłoba — trudno! Skoro jesteś posłańcem, tedy cię już aresztować nie możemy, ale z szablą się temu oto kawalerowi nie nadstawiaj, bo już raz przed nim umykał, aż ziemia jęczała.

Twarz Bohuna powlokła się purpurą, bo w tej chwili poznał Wołodyjowskiego. Wstyd i zraniona duma zagrały naraz w nienustraszonym watażce.

Wspomnienie to ucieczki paliło go jak ogień. Była to jedyna niestarta plama na jego sławie mołojckiej, którą nad życie, nad wszystko kochał.

A nieubłagany Zagłoba ciągnął dalej z zimną krwią:

— Ledwieś i hajdawerków nie zgubił, aż litość tego kawalera tknęła, i życie ci darował. Tfu! mości mołojcze, białogłowską masz twarz, ale i białogłowskie serce. Byłeś odważny ze starą kniaziową i z dzieciuchem kniazem, ale z rycerzem dudy w miech! Listy tobie wozić, panny porywać, nie na wojnę chodzić. Jak mnie Bóg miły, na własne oczy widziałem, jak hajdawerki oblatywały. Tfu! tfu! ot i teraz o szabli gadasz, bo list wieszysz. Jakże to nam się z tobą potykać, gdy tem pismem się zasłaniasz? Piasek w oczy, piasek w oczy, mości mołojczel! Chmiel dobry żołnierz, Krzywonos dobry, ale wielu jest między kozactwem drapichróstów.

Bohun posunął się nagle ku panu Zagłobie, a pan Zagłoba zasunął się również szybko za pana Wołodyjowskiego, tak, że dwaj młodzi rycerze stanęli przed sobą oko w oko.

— Nie od strachu ja przed waćpanem uciekał, ale by ludzi ratować — mówił Bohun.

— Nie wiem, dla jakich tam przyczyn umykałeś, ale wiem, żeś umykał — rzecze pan Michał.

— Wszędy dam waści pole, choćby tu zaraz!

— Wyzywasz mnie? — pytał, przymrużając oczy, Wołodyjowski.

— Ty mnie sławę mołojcką wziął, ty mnie pohańbił! mnie twojej krwi potrzeba.

— To i zgoda! — rzekł Wołodyjowski.

— *Volenti non fit injuria* — dodał Zagłoba. — Ale ktoś królewiczowi list odda?

— Niechże was głowa o to nie boli; to moja sprawa!

— Bijcie się tedy, kiedy nie może być inaczej — mówił Zagłoba. — Gdyby ci się też poszczęściło, mości watażko, z tym oto kawalerem, bacz, że ja drugi staję. A teraz chodź, panie Michale, przed sień, mam coś pilnego powiedzieć.

Dwaj przyjaciele wyszli i odwołali Kuszla z pod okna alkierza, poczem Zagłoba rzekł:

— Mości panowie, zła nasza sprawa! On na prawdę ma list do królewicza; zabijemy go, to kryminał! Pomnijcie, że kaptur propter securitatem loci w dwóch milach od pola elekcyi sądzi, a to wszakże quasi poseł! Ciężka sprawa! Musimy się chyba potem gdzie schować, albo może książkę nas osłoni, inaczej może być źle. A znowu puszczać go wolno, jeszcze gorzej. Jedyna to sposobność oswobodzenia naszej niebogi. Gdy go nie będzie na świecie, łatwiej ją odszukamy. Bóg sam widocznie chce jej i Skrzetuskiemu pomódz, ot co jest! Radźmy, mości panowie!

— Waść przecie znajdziesz jaki fortel? — rzekł Kuszel.

— Już to przez mój fortel sprawiłem, że on sam nas wyzwiał. Ale trzeba świadków, obcych ludzi. Moja myśl jest, aby na Chartampa zaczekać. Biorę to na siebie, że on pierwszeństwa ustąpi i w potrzebie będzie świadczył, jakośmy byli wyzwani i musieliśmy się bronić. Trzeba się też i od Bohuna wywiedzieć lepiej, gdzie dziewczynę ukrył. Jeśli ma

zginać, nic mu po niej, może powie, gdy go zaklniemy. A nie powie, to i tak lepiej, by nie żył. Trzeba wszystko przezornie i roztropnie czynić. Głowa pęka, móci panowie!

— Któż się będzie z nim bił? — pytał Kuszel.

— Pan Michał pierwszy, ja drugi — rzekł Zagłoba.

— A ja trzeci.

— Nie może być! — przerwał pan Michał — ja się jeden biję i na tem koniec. Położy mnie, to jego szczęście, niechże jedzie zdrów!

— O! jam mu już zapowiedział — rzekł Zagłoba — ale jeśli tak waszmościowie postanowicie, to ustąpię.

— No, jego wola, czy i z waćpanem ma się bić, ale więcej z nikim.

— Chodźmy tedy do niego!

— Chodźmy!

Poszli — i zastali Bohuna w głównej izbie popijającego miód. Watażka już był spokojny zupełnie.

— Posłuchaj-no waćpan — rzekł Zagłoba — bo to są ważne sprawy, o których chcemy z tobą pomówić. Waćpan wyzwałś tego kawalera — dobrze, ale trzeba ci wiedzieć, że skoro posłujesz, to cię prawo broni, boć do politycznego narodu, nie między dzikie bestye przyjechałeś. Owoż nie możemy ci dać pola inaczej, chyba przy świadkach zapowiesz, żeś sam z własnej ochoty wyzwał. Przyjedzie tu kilku szlachty, z którymi mieliśmy się pojedyńkować, przed nimi to oświadczysz — my zaś damy ci kawalerski parol, że jeśli się poszczęści z panem Wołodjowskim, tedy odjedziesz wolno i nikt ci nie będzie stawiał przeszkód, chyba, że jeszcze ze mną zmierzyć się zechcesz.

— Zgoda! ~~lib~~ rzekł Bohun. — Powiem przy owej szlachcie i ludziom moim zapowiem, aby list odwieźli i Chmielnickiemu powiedzieli, jeśli zginę, żem ja sam wyzwiał. A poszczęści mnie Bóg z tym kawalerem sławę mołojecką odzyskać, tak i waćpana jeszcze potem na szabelki poproszę.

To rzekłszy, spojrział Zagłobie w oczy, a Zagłoba zmieszał się nieco, kaszlnął, splunął i odrzekł:

— Zgoda! Gdy się z tym moim uczniem poprobujesz, poznasz, jaką ze mną będziesz miał robotę. Ale mniejsza z tem. Jest drugie p u n c t u m ważniejsze, w którym do sumienia twego się odwołujemy, gdyż luboś kozak, chcemy cię jako kawalera traktować. Waćpan porwałś kniaziównę Helenę Kurcewiczównę, narzeczoną naszego towarzysza i przyjaciela, i trzymasz ją w ukryciu. Wiedz, że gdybyśmy cię o to zapozwali, nicby ci nie pomogło, że cię Chmielnicki posłem swoim kreował, bo to jest r a p t u s p u e l l a e, gardłowa sprawa, któraby tu wnet sądzona była. Ale gdy do bitwy masz iść i możesz zginąć, wejdź w siebie, co się z tą niebogą stanie, gdy zginiesz? Zali jej zła i zguby chcesz, ty, który ją miłujesz? zali ją pozbawisz opieki, na hańbę i nie-szczęście wydasz? zali katem jej i po śmierci jeszcze chcesz zostać?

Tu głos pana Zagłoby zabrzmiał niezwykle mu powagą, a Bohun pobladł — i pytał:

— Czego wy ode mnie chcecie?

— Wskaż nam miejsce jej uwięzienia, abyśmy na wypadek twojej śmierci mogli ją odnaleźć i narzeczonemu oddać. Bóg będzie miał litość nad twoją duszą, jeśli to uczynisz.

Watażka wsparł głowę na dłoniach i zamyślił się głęboko, a trzej towarzysze pilnie śledzili zmiany w tej ruchliwej twarzy, która nagle oblała się takim smutkiem tklwym, jakby na niej nigdy gniew, ani wściekłość, ani żadne srogie uczucia nie grały i jakby ten człowiek tylko do kochania i tęsknoty był stworzony. Długi czas trwało milczenie, aż wreszcie przerwał je głos Zagłoby, który drżał, mówiąc następne słowa:

— Jeżeliś zaś ją już pohańbił, niechże cię Bóg potępi, a ona niech choć w klasztorze znajdzie schronienie...

Bohun podniósł oczy wilgotne, roz tęsknione, i tak mówił:

— Jeśli ja ją pohańbił? O! nie wiem, jak wy miłujecie, panowie szlachta, rycerze i kawalery, ale ja kozak, ja ją w Barze od śmierci i hańby ochroniłem, a potem w pustynię wywiózłem — i tam jak oka w głowie pilnowałem, palca na nią nie skrzywiłem, do nóg padałem i czołem biłem, jak przed obrazem. Kazała precz iść, tak poszedł — i nie widział jej więcej, bo wojna-matka trzymała.

— Bóg to właściwie na sądzie policzył! — rzekł, odetchnąwszy głęboko Zagłoba. — Ale zali ona tam bezpieczna? Tam Krzywonos i Tatarzy.

— Krzywonos pod Kamieńcem leży, a mnie do Chmielnickiego posłałem pytać, czy pod Kudak ma iść, i już pewno poszedł, a tam, gdzie ona jest, niema ani kozaków, ani Lachów, ani Tatarów — ona tam bezpieczna.

— Gdzie ona tedy?

— Słuchajcie, panowie Lachy! Niech będzie jak

chcecie, powiem ja wam, gdzie ona jest i wydać ją każę, ale zato wy mnie dajcie kawalerski wasz parol, że jeśli mnie Bóg poszczęści, tak wy nie będziecie już jej szukać. Wy za siebie przyrzeczecie i za pana Skrzetuskiego, a ja wam powiem.

Trzej przyjaciele spojrzeli po sobie.

— My tego nie możemy uczynić! — rzekł Zagłoba.

— O, jako żywo nie możemy! — wykrzyknęli Kuszel i Wołodyjowski.

— Tak? — rzekł Bohun, i brwi jego ściągnęły się, a oczy zaiskrzyły. — Czemuż to, panowie Lachy, nie możecie tego uczynić?

— Bo pan Skrzetuski jest nieobecny, a prócz tego wiedz o tem, że żaden z nas szukać jej nie przestanie, choćbyś i pod ziemię ją ukrył.

— Tak wyby taki targ ze mną uczynili: ty, kozacze, duszę oddaj, a my tobie szablą! O nie doczekacie! A co to wy myśleli, że u mnie szablą kozacka nie ze stali? że już nade mną, jak krucy nad ścierwem, kraczecie? A czemu to mnie ginąć, nie wam? Wam trzeba mojej krwi, a mnie waszej! zobaczymy, kto czyjej dostanie.

— Więc nie powiesz?

— A poco mnie mówić? Na pohybel-że wam wszystkim!

— Na pohybel tobie! Warteś, by cię na szablach roznieść!

— Spróbujcie! — rzekł watażka, wstając nagle.

Kuszel i Wołodyjowski porwali się również z ławy. Groźne spojrzenia poczęły się krzyżować, wembrane gniewem piersi oddychały mocniej i niewiadomo, do czegooby doszło, gdyby nie Zagłoba, który spojrzawszy w okno, wykrzyknął:

— Charłamp ze świadkami przyjechał!

Jakoż po chwili rotmistrz petyhorski, razem z dwoma towarzyszami, panami Sielickimi, weszli do izby. Po pierwszych powitaniach, Zagłoba wziął ich na stronę i począł rzecz wyluszczać.

A prawil tak wymownie, że wnet przekonał, zwłaszcza iż zapewnił, że pan Wołodyjowski prosi tylko o krótką zwłokę i wnet po walce z kozakiem stanąć jest gotów. Tu pan Zagłoba począł opowiadać, jak stara i straszna jest nienawiść wszystkich żołnierzy księcia do Bohuna, jako on jest wrogiem całej Rzeczypospolitej i jednym z najokrutniejszych rebelizantów; wreszcie jak kniaziównę porwał, pannę ze szlacheckiego domu i narzeczoną szlachcica, który jest zwierciadłem wszystkich cnót rycerskich.

— A gdy waszmościowie szlachtą jesteście i do braterstwa się poczuwacie, wspólna tedy to jest nasza krzywda, którą się stanowi całemu w osobie jednego wyrządza; zali więc ścierpicie, aby nie była pomszczona?

Pan Charłamp czynił w początku trudności i mówił, że skoro tak jest, to należy Bohuna natychmiast rozsiekać, „a pan Wołodyjowski niechaj po staremu ze mną staje.“

Musiał mu nanowo tłumaczyć pan Zagłoba, dlaczego to nie może być i że nawet nie po rycersku byłoby w tyłu na jednego napadać. Szczęściem, pomogli mu panowie Sieliccy, obaj ludzie rozsądni i stateczni, aż dał się nakoniec uparty Litwin przekonać i na zwłokę zezwolił.

Tymczasem Bohun poszedł do swoich ludzi i powrócił z esaułem Eliaszeńką, któremu zapowiedział,

jako do bitwy dwóch szlachty wyzwiał, poczem powtórzył głośno to samo wobec pana Charłampa i panów Sielickich.

— My zaś oświadczamy—rzekł Wołodyjowski— iż jeśli wyjdiesz zwycięzcą z walki ze mną, tedy od woli twojej zależy, czy jeszcze zechcesz się bić z panem Zagłobą, a w żadnym razie nikt więcej cię nie będzie wyzywał, ani też kupą na ciebie nie napadną, i odjedziesz dokąd zechcesz, na co parol kawalerski dajem i waszmościów teraz przybyłych prosimy, aby ze swej strony także to przyrzekli.

— Przyrzekamy! — rzekli uroczyście Charłamp i dwaj Sieliccy.

Wówczas Bohun wręczył list Chmielnickiego do królewicza Eliaszeńce i rzekł:

— Ty ceje pyśmo korolewiczu widdasz i koły ja pohybnu, tak ty skażesz i jomu i Chmielnickomu, szczo moja wyna buła, i szczo ne zdradoju mene zabyły.

Zagłoba, który pilne miał oko na wszystko, zauważył, że na ponurej twarzy Eliaszeńki nie odbił się najmniejszy niepokój — widać całkiem był pewny swego atamana.

Tymczasem Bohun zwrócił się dumnie do szlachty.

— No, komu śmierć, komu życie!—rzekł.— Możemy iść!

— Czas, czas! — odrzekli wszyscy, zasadzając poły od kontuszów za pasa i biorąc pod pachy szable.

Wyszli przed karczmę i skierowali się ku rzeczce, która płynęła wśród zarośli głógów, dzikich róż, tarek i choiny. Listopad postrzącał wprawdzie liść z krzewin, ale gęstwa tak była zbita, że czerniała

jakby wstęga kiru, het przez puste pola, aż ku lasom. Dzień był wprawdzie blady, ale pogodny tą melancholiczną pogodą jesieni, pełną słodyczy. Słońce bramowało łagodnie złotem obnażone gałęzie drzew i rozświecało żółte wydmy piaszczyste, ciągnące się nieco opodal prawego brzegu rzeczki. Zapaśnicy i ich świadkowie szli właśnie ku onym wydmom.

— Tam się zatrzymamy! — rzekł Zagłoba.

— Zgoda! — odpowiedzieli wszyscy.

Zagłoba coraz był niespokojniejszy, наконец zbliżył się do Wołodyjowskiego i szepnął:

— Panie Michale...

— A co?

— Na miłość Boską, panie Michale, staraj-że się! W twoich teraz rękach los Skrzetuskiego, wolność kniaziówny, twoje własne życie i moje, bo broń Boże na ciebie przygody, ja sobie z tym zbójem nie dam rady.

— To czemuś go waść wyzywał?

— Słowo się rzekło... Ufałem w ciebie, panie Michale, ale ja już stary, oddech mam krótki, zatyka mnie, a ten gładysz może skakać jak cyga. Cięty to ogar, panie Michale.

— Postaram się! — rzekł mały rycerz.

— Boże ci dopomóż. Nie trać ducha!

— Zaś tam!

W tej chwili zbliżył się ku nim jeden z panów Sielickich.

— Cięta jakaś sztuka ten wasz kozak — szepnął — tak sobie z nami poczyną, jak równy, jeśli nie jak lepszy. Hu! co za fantazyja! musiała się jego matka na jakiego szlachcica zapatrzeć!

— El!—rzekł Zagłoba—prędzej się jaki szlachcic na jego matkę zapatrzył.

— I mnie się tak widzi — rzekł Wołodyjowski.

— Stawajmy! — zawołał nagle Bohun.

— Stawajmy, stawajmy!

Stanęli. Szlachta półkolem. Wołodyjowski i Bohun naprzeciw siebie.

Wołodyjowski, jako to człowiek w takich rzeczach wytrawny, choć młody, naprzód nogą piasek zmacał, czy twardy, poczem rzucił okiem naokoło, chcąc wszystkie nierówności gruntu poznać, i widać było, że sprawy wcale nie lekceważył. Przecie przychodziło mu mieć do czynienia z rycerzem na całą Ukrainę najślawniejszym, o którym lud pieśni śpiewał i którego imię—jak Ruś szeroka—aż do Krymu było znane. Pan Michał, prosty porucznik dragonów, wiele sobie po owej walce obiecywał, albo śmierć sławną, albo równie sławne zwycięstwo, więc niczego nie zaniedbał, aby się godnym takiego przeciwnika okazać. Dlatego także niezwykłą miał w twarzy powagę, którą dojrzawszy, Zagłoba aż przeląkł się.

— Traci fantazyę! — pomyślał — już po nim, a zatem i po mnie!

Tymczasem Wołodyjowski, zbadawszy dokładnie grunt, począł odpinać kurtę.

— Chłodno jest — rzekł — ale się rozgrzejemy.

Bohun poszedł za jego przykładem i zrzucili obaj zwierzchnie ubranie tak, że pozostali tylko w hajdawerach i w koszulach—następnie poczęli zawijać na prawej ręce rękawy.

Ale jakże marnie wyglądał mały pan Michał przy roslim i silnym atamanie! prawie go nie było

widać. Świadkowie z niepokojem spoglądali na szeroką pierś kozaka, na olbrzymie muskuły, widne z pod zawiniętego rękawa, podobne do sęków i węzłów. Zdawało się, iż to mały kogucik staje do walki z potężnym jastrzębiem stepowym. Nozdrza Bohuna rozwarły się, jakby zawczasu krew wietrząc, twarz skróciła się mu tak, iż czarna grzywa zdawała się do brwi sięgać, i szabla drgała mu w ręku — oczy drapieżne utkwili w przeciwnika i czekał komendy.

A pan Wołodyjowski spojrział jeszcze pod światło na ostrze szabli, ruszył żółtymi wąsikami i stanął w pozycji.

— Jatki tu proste będą! — mruknął do Sielickiego Charłamp.

Wtem zabrzmiał trochę drżący głos Zagłoby:

— W imię Boże, zaczynajcie!

ROZDZIAŁ XII.

Świsnęły szable i ostrze szczęknęło o ostrze. Wnet zmienił się plac boju, bo Bohun natarł z taką wściekłością, że pan Wołodyjowski uskoczył w tył kilka kroków, i świadkowie również musieli się cofnąć. Błyskawicowe zygzaki szabli Bohuna były tak szybkie, że przerażone oczy obecnych nie mogły za nimi nadążyć — zdało im się, że pan Michał całkiem jest nimi otoczony, pokryty, i że Bóg jeden chyba zdoła go wyrwać z pod tej nawałności piorunów. Ciosy zwały się w jeden nieustający świst, pęd poruszanego powietrza uderzał o twarze. Furya watażki wzrastała: ogarniał go dziki szał bojowy, i parł przed sobą Wołodyjowskiego, jak huragan — a mały rycerz cofał się ciągle i tylko się bronił: wyciągnięta jego prawica nie poruszała się prawie wcale, dłoń tylko sama zataczała bez ustanku małe, ale szybkie jak myśl półkola, i chwycił szalone cięcia Bohunowe, ostrze podstawiał pod ostrze, odbijał i znów się zasłaniał, i jeszcze się cofał, oczy utkwili w oczach kozaka i wśród wężowych błyskawic wydawał się spokojny, jeno na policzki wystąpiły mu plamy czerwone.

Pan Zagłoba przymknął oczy — i słyszał tylko cios za ciosem, zgrzyt za zgrzytem.

— Broni się jeszcze! — pomyślał.

— Broni się jeszcze! — szeptali panowie Sieliccy i Charłamp.

— Już przyparty do wydmy — dodał cicho Kuszel. Zagłoba znów otworzył oko i spojrzał.

Plecy Wołodyjowskiego opierały się prawie o wydmy, ale widocznie nie był dotąd ranny, jeno rumieńce na jego twarzy stały się żywsze, a kilka kropel potu wystąpiło na czoło.

Serce Zagłoby zabiło nadzieją.

— Przecie i z pana Michała gracz nad gracze — pomyślał — a i tamten znuży się nareszcie.

Jakoż twarz Bohuna stała się blada, pot perlił mu także czoło, ale upór podniecał tylko jego wściekłość; białe kły błysnęły mu z pod wąsów, a z piersi wydobywało się chrapanie wściekłości.

Wołodyjowski nie spuszczał go z oka i bronił się ciągle.

Nagle, poczuwszy za sobą wydmy, zebrał się w sobie — już patrzącym zdało się, że padł, on tymczasem pochylił się, skurczył, przysiadł — i rzucił całą swoją osobą, niby kamieniem, w pierś kozaka.

— Atakuj! — wykrzyknął Zagłoba.

— Atakuj! — powtórzyli inni.

Tak było w istocie: watażka cofał się teraz, a mały rycerz, poznawszy już całą siłę przeciwnika, nacierał tak żwawo, że świadkom dech zamarł w piersi; widocznie poczynął się rozgrzewać — małe oczki sypały iskry; przysiadł się i zrywał, zmieniał w jednym mgnieniu pozycye, zataczał kręgi naokół watażki i zmuszał go do obracania się na miejscu.

— O mistrz! o mistrz! — wołał Zagłoba.

— Zginiesz! — ~~lib~~ ~~ozwał~~ ~~się~~ ~~na~~ ~~g~~ ~~le~~ Bohun.

— Zginiesz! — odparł jak echo Wołodyjowski.

Wtem kozak sztuką, najbieglejszym tylko szermierzom znaną, przerzucił nagle szablę z prawej ręki do lewej i dał cios od lewicy tak okropny, że pan Michał, jakby piorunem rażony, padł na ziemię.

— Jezus Maryja! — krzyknął Zagłoba.

Ale pan Michał padł umyślnie, i właśnie dlatego szabla Bohunowa przecięła tylko powietrze, mały rycerz zaś zerwał się, jak dziki kot, i całą niemal długością ostrza ciął straszliwie w odkrytą pierś kozaka.

Bohun zachwiał się, postąpił krok, ostatniem wysileniem dał ostatnie pchnięcie; pan Wołodyjowski odbił je z łatwością, uderzył jeszcze po dwakroć w pochylony łeb — szabla wysunęła się z bezwładnych rąk Bohuna i padł twarzą na piasek, który wnet zaczerwienił się pod nim szeroką kałużą krwi.

Eliaszeńko, obecny przy bitwie, rzucił się na ciało atamana.

Świadkowie przez jakiś czas nie mogli słowa przemówić, a pan Michał milczał także; wsparł się obu rękoma na szabelce i oddychał ciężko.

Zagłoba pierwszy przerwał milczenie:

— Panie Michale, pójdź w moje objęcia! — rzekł z rozczuleniem.

Otoczyli go tedy kołem.

— Toś waść gracz pierwszej wody! Niech waści kule biją! — mówili panowie Sieliccy.

— Waść widzę z cicha pęk! — rzekł Chałtamp. — Stanę ja waszmości, żeby nie mówiono, iżem się

uląkł, ale choćbyś i mnie miał waszmość tak pochłastać, zawszeć winszuję, winszuję!

— Et, dalibyście sobie waszmościowie pokój, bo w rzeczy nie macie się o co bić! — mówił Zagłoba.

— Nie może być, bo tu chodzi o moją reputacyę! — odparł Petyhorzec — za którą chętnie dam gardło.

— Nic mi po wascinem gardle, zaniechajmy się lepiej! — rzecze Wołodyjowski — gdyż prawdę waćpanu powiedziałwszy, tom mu tam w drogę, gdzie myślisz, nie wchodził. Wejdzie tam waćpanu kto inny, lepszy ode mnie, ale nie ja.

— Jak to?

— Parol kawalerski!

— To już sobie dajcie pokój! — wołali Sielicy i Kuszel.

— Niechże i tak będzie! — rzekł Charłamp, otwierając ramiona.

Pan Wołodyjowski padł w nie i poczęli się całować, aż echo rozlegało się po wydmach—pan Charłamp zaś mówił:

— Niechże waści nie znam, żeby zaś tak pochłastać podobnego wielkoluda! A i szablą umiał on też obracać.

— Anim się spodziewał, żeby taki był fehmistrz, i skąd on się mógł tego wyuczyć?

Tu uwaga powszechna zwróciła się znów na leżącego watażkę, którego Eliaszeńko obrócił przez ten czas twarzą do góry i z płaczem szukał w nim znaków życia. Twarzy Bohuna nie można było rozeznaczyć, bo pokryły ją sople krwi, która wypłynęła z ran w głowę zadanych i wnet ścięła się na chłodnem powietrzu. Koszula na piersiach również była cała we

krwi, ale dawał jeszcze znaki życia. Widocznie był w konwulsyi przedśmiernej, nogi jego drgały, a palce skrzywione nakształ szponów, darły piasek. Zagłoba spojrział i machnął ręką.

— Ma dosyć! — rzekł — żegna się ze światem.

— Aj! — rzekł jeden z Sielickich, spoglądając na ciało — to już trup!

— Ba, prawie na dzwona pocięty!

— Nie lada to był rycerz — mruknął, kiwając głową, Wołodyjowski.

— Wiem coś o tem — dodał Zagłoba.

Tymczasem Eliaszeńko chciał dźwigać i unieść nieszczęsnego atamana, ale że był człowiek dość wątły i niemłody, a Bohun prawie do olbrzymów należał — więc nie mógł. Do karczmy było kilka staj, a Bohun lada chwila mógł skonać; esaul, widząc to, zwrócił się do szlachty.

— Pany! — wołał, składając ręce. — Na Spasa i Światuju Preczystuju pomóżitel! Ne dajcie, szczob win tutki szczez, jak sobaka. Ja staryj ne zduszaju, a lude daľeko...

Szlachta spojrziała po sobie. Zawziętość przeciw Bohunowi znikła już we wszystkich sercach.

— Pewnie, że trudno go tu jak psa zostawić — mruknął pierwszy Zagłoba. — Skorośmy z nim na pojedynek stanęli, to już on dla nas nie chłop, ale żołnierz, któremu taka pomoc się należy. Kto ze mną go poniesie, mości panowie?

— Ja! — rzekł Wołodyjowski.

— To go ponieście na mojej burce — dodał Charlamp.

Po chwili Bohun leżał już na opończy, której

końce pochwycili Zagłoba, Wołodyjowski, Kuszel i Eliaszewko — i cały orszak, w towarzystwie Charłampa i panów Sielickich, udał się wolnym krokiem ku karczmie.

— Twarde ma życie — rzekł Zagłoba — jeszcze się rusza. Mój Boże, żeby mnie kto powiedział, że na jego niańkę wyjdę i że go będę tak niósł, myślałbym, że kpi ze mnie. Zbyt mam czułe serce, sam wiem o tem, ale trudno! Jeszcze mu i rany opatrzę. Mam nadzieję, że na tym świecie już się nie spotkamy więcej, niechże mile mnie wspomina na tamtym.

— To myślisz waszmość, że on żadną miarą nie wyżyje? — pytał Charłamp.

— On? nie dałbym za jego żywot starego wiechcia. Tak już było napisano i nie mogło go minąć, bo choćby mu się było z panem Wołodyjowskim powiodło, toby moich rąk nie uszedł. Ale wolę, że się tak stało, bo już i tak krzyki są na mnie, jako na mężobójcę bez litości. A co ja mam robić, jak mi kto w drogę wlezie? Panu Duńczewskiemu pięćset złotych basarunku musiałem zapłacić, a wiadomo waszmościom, że dobra ruskie nijakiej teraz intraty nie przynoszą.

— Prawda, że to waszmościów do szczytu tam splondrowano! — rzekł Charłamp.

— Ufl! Ciężki ten mójojec — mówił dalej Zagłoba — ażem się zasapał!.. Splondrowano, bo splondrowano, ale mam też nadzieję, że nam sejm jakowś pro wizyę obmyśli, inaczej na śmierć pochudniemy... Ciężki też on, ciężki! Patrzcie waszmościowie, znowu zaczyna krwawić; skocz-no waćpan, panie Charłamp, do karczmy, żeby Żyd chleba z pajęczyną zagniół.

Nie pomoże to wiele temu nieboszczykowi, ale opatrunek chrześcijańska rzecz, i lżej mu będzie umierać. Żywo, panie Charłamp!

Pan Charłamp wysunął się naprzód, i gdy nakoniec wniesiono watażkę do izby, Zagłoba wnet zabrał się z wielką znajomością rzeczy i wprawą do opatrunku. Krew zatamował, rany pozalepiał, poczem zwrócił się do Eliaszeńki:

— A ty, dziadu, tu nie potrzebny! — rzekł. — Jedź coprędzej do Zaborowa, proś, żeby cię przed oblicze pańskie puszczono i list oddaj, a opowiedz coś widział, tak wszystko jak było. Jeśli zełżesz, będę wiedział, bom królewicza jegomości zaufany, i szyję ci uciąć każę. Chmielnickiemu też kłaniaj się ode mnie, bo mnie zna i miłuje. Pogrzeb sprawimy twojemu atamanowi uczciwy, a ty rób swoje, po kątach się nie włócz, bo cię gdzie zatłuką, nim się zdołasz wywieść ktoś taki. Bywaj zdrów! ruszaj, ruszaj!

— Pozwólcie, panie, zostać choć dopóty, dopóki nie ostygnie.

— Ruszaj, mówię ci! — rzekł groźnie Zagłoba — a nie, to cię każę chłopom do Zaborowa odstawić. A kłaniaj się Chmielnickiemu!

Eliaszeńko pokłonił się w pas i wyszedł, Zagłoba zaś rzekł jeszcze do Charłampa i Sielickich:

— Wyprawiłem tego kozaka, bo co on tu ma jeszcze do roboty, a niechże go naprawdę gdzie zatłuką, co łatwo się może zdarzyć, to na nasby winę zwalono. Pierwsi Zasławczycy i pokurcze kanclerscy wrzeszczeliby na całe gardło, że ludzie księcia wojewody wymordowali, wbrew prawom Boskim, całe poselstwo kozackie. Ale mądra głowa na wszystko po-

radzi. Nie damy my się tym gładyzom, tym łuszczybochenkom, tym podwikarzom w kaszy zjeść, a i waćpanowie też świadczcie w potrzebie, jak się wszystko odbywało i że on to sam nas wyzwał. Muszę też jeszcze wójtowi tutejszemu przykazać, aby go tam jakoś pochował. Nie wiedzą tu oni, kto to taki, będą myśleli, że to szlachcic i pochowają uczciwie. Nam też czas w drogę, panie Michale, bo trzeba jeszcze księciu wojewodzie zdać relację.

Chrapliwy oddech Bohuna przerwał dalsze słowa pana Zagłoby.

— Oho, już dusza szuka sobie drogi! — rzekł szlachcic. — Już też i ciemno się robi, poomacku pójdzie na tamten świat. Ale skoro tej naszej nieśczęsnej bogini nie pohańbił, to dajże mu Boże wieczny odpoczynek, a m e n ! Jedźmy, panie Michale! — Z serca odpuszczam mu wszystkie winy, choć co prawda, więcej ja jemu w drogę lażem, niż on mnie. Ale teraz koniec. Bywajcie waszmościowie zdrowi, miło mi było poznać tak zacnych kawalerów. Pamiętajcie jeno świadczyć w potrzebie!

ROZDZIAŁ XIII.

Książę Jeremi przyjął wieść o porąbaniu Bohuna dość obojętnie, zwłaszcza gdy się dowiedział, iż są ludzie, nie z pod jego chorągwi, gotowi w każdej chwili złożyć świadectwo, iż Wołodyjowski był wyzwany. Gdyby rzecz nie działa się na kilka dni przed ogłoszeniem wyboru Jana Kazimierza, gdyby walka kandydatów trwała jeszcze, niezawodnie nie omieszkaliby przeciwnicy Jeremiego, a na ich czele kanclerz i książę Dominik, ukuć przeciw niemu broni z tego zajścia, mimo wszelkich świadków i świadectw. Ale po ustąpieniu Karola, umysły zajęte były czem innem, i łatwo było zgadnąć, że cała sprawa utonie w niepamięci.

Mógł ją podnieść chyba Chmielnicki dla okazania, jakich to coraz nowych krzywd doznaje, książę jednak słusznie spodziewał się, iż królewicz, przesyłając odpowiedź, wspomni, lub każe od siebie powiedzieć, jakim sposobem zginął wysłaniec, a Chmielnicki nie będzie śmiał wątpić o prawdzie słów królewskich.

Chodziło bowiem księciu o to tylko, by nie narobiono politycznej wrzawy z powodu jego żołnierzy.

Z drugiej strony, ze względu na Skrzetuskiego, rad był nawet książę z tego co się stało, bo odzyskanie Kurcewiczówny było istotnie teraz daleko prawdopodobniejsze. Można ją było odnaleźć, odbić lub wykupić — a kosztów, choćby jak największych, pewno nie byłby oszczędzał książę, byle ulubionego rycerza z boleści wybawić i szczęście mu powrócić.

Pan Wołodyjowski szedł był z wielkim strachem do księcia, gdyż chociaż wogóle mało był płochliwy, bał się jednak jak ognia każdego zmarszczenia brwi wojewody. Jakież tedy było jego zdumienie i radość, gdy książę, wysłuchawszy relacyi i pomyslawszy przez chwilę nad tem, co się stało, zdjął kosztowny pierścień z palca i rzekł:

— Chwałę moderacyę waszmościów, iżeście pierwsi go nie napadli, bo wielkie i szkodliwe mogłyby stąd powstać na sejmie hałasy. Ale jeśli kniaziówna się znajdzie, to Skrzetuski będzie wam winien dozgonną wdzięczność. Dochodziły mnie słuchy, mości Wołodyjowski, że jak inni języka w gębie, tak waść szabelki w pochwie dotrzymać nie umiesz, za co należałaby ci się kara. Skoro jednak w sprawie przyjaciela stanąłeś i reputacyę naszych chorągwi z tak zawołanym junakiem utrzymałeś, to już weź ten pierścień, abys miał jakową tego dnia pamiątkę. Wiedziałem, żeś dobry żołnierz i gracz na szable, aleś to podobno mistrz nad mistrze.

— On? — rzecze Zagłoba. — Onby dyabłu w trzecim złożeniu rogi obciął. Jeśli wasza książęca mość każe mi kiedy szyję uciąć, proszę, aby nikt inny, jeno on ją odrąbał, bo przynajmniej odrazu na tamten świat pójde. On Bohuna na wpół przez pierś

przeciął, a potem jeszcze go dwa razy przez rozum przejechał.

Księżę kochał się w sprawach rycerskich i w dobrych żołnierzach, więc uśmiechnął się z zadowoleniem i spytał:

— Znalazłeś-że wasć kogo równej siły na szable?

— Jeno mnie raz Skrzetuski trochę wyszczerbił, ale też i ja jego, wtedy, gdy to nas wasza książęca mość pod bramę obydwóch wsadził, a z innych możeby i pan Podbipięta mi wytrzymał, bo ma siłę nadludzką — i bez mała Kuszel, gdyby miał lepsze oczy.

— Niech mu wasza książęca mość nie wierzy — rzekł Zagłoba — jemuby nikt nie wytrzymał.

— A Bohun długo się bronił?

— Ciężką miałem robotę — rzekł pan Michał. — Umiął on i do lewicy przerzucać.

— Bohun sam mnie powiadał — przerwał Zagłoba — iż się z Kurcewiczami po całych dniach dla wprawy bijał, i sam widziałem w Czehryniu, że z innymi to czynił.

— Wiesz co, mości Wołodyjowski — rzekł z udaną powagą książę — jedź pod Zamość, wyzwij Chmielnickiego na rękę i za jednym zamachem uwolnij Rzeczpospolitą od wszystkich klęsk i kłopotów.

— Za rozkazem waszej książęcej mości pojedę, byle Chmielnicki chciał mi stanąć — odpowiedział Wołodyjowski.

Na to książę:

— My żartujemy, a świat ginie! Ale pod Zamość musicie waszmościowie naprawdę jechać. Mam wiadomości z kozackiego obozu, iż gdy tylko wybór

królewicza Kazimierza będzie promulgowany, Chmielnicki od oblężenia ustąpi i cofnie się aż na Ruś, co uczyni z prawdziwego, lub symulowanego afektu do króla jegomości, lub też dlatego, że pod Zamościem snadnieby się jego potęga mogła złamać. Wtedy musicie jechać, opowiedzieć Skrzetuskiemu co się stało, by ruszył kniaziówny szukać. Powiedzcie mu, żeby sobie z chorągwi moich przy staroście wałeczkim wybrał tylu pocztowych, ilu będzie do ekspedycji potrzebował. Zresztą przesłę mu przez was permisję i dam list, bo mi jego szczęście wielce na sercu leży.

— Wasza książęca mość ojcem nas wszystkich jesteś — rzekł Wołodyjowski — dlatego po wiek życia w wiernych służbach trwać chcemy.

— Nie wiem, czyli nie głodna wkrótce u mnie będzie służba — rzekł książę — jeśli mi cała fortuna zadnieprzańska przepadnie, ale póki starczy, póty co moje to wasze.

— O! — wykrzyknął pan Michał. — Nasze to chudopacholskie fortuny do waszej książęcej mości zawsze będą należały.

— I moja z innemi! — rzekł Zagłoba.

— Jeszcze tego nie potrzeba — odparł łaskawie książę. — Mam też nadzieję, iż jeśli wszystko utracę, to Rzeczpospolita chociaż o dzieciach moich będzie pamiętała.

Książę, mówiąc to, widocznie miał chwilę jasnowidzenia. Rzeczpospolita bowiem w kilkanaście lat później oddała jego jedynemu synowi, co miała najlepszego — to jest koronę, ale tymczasem olbrzymia fortuna Jeremiego istotnie była zachwiana.

— Tośmy się wywinęli — mówił Zagłoba, gdy obaj z Wołodyjowskim wyszli od księcia. — Panie Michale, możesz być pewien promocyi. Pokaż-no ten pierścień. Dalibóg, wart on ze sto czerwonych złotych, bo kamień bardzo piękny. Spytaj się jutro jakiego Ormianina na bazarze. Możnaby za takową kwotę i w jadłe, i w napoju, i w innych delicjach opływać. Cóż myślisz, panie Michale? Żołnierska to maksyma: dziś żyję, jutro gniję, a sens z niej taki, że na jutro nie warto się oglądać. Krótkie życie ludzkie, krótkie, panie Michale. Najważniejsze to, że już cię będzie odtąd książę w sercu nosił. Dałby on był dziś razę tyle, żeby Skrzetuskiemu z Bohuna prezent zrobić, a tyś to uczynił. Możesz się spodziewać wielkich łask, wierzaj mi. Mało to książę wsi rycerstwu dożywotnio puścił, albo i zgoła podarował? Co tam taki pierścień! Pewnie i ciebie jakowa intrata spotka, a w ostatku jeszcze cię książę z jaką krewniaczką swoją ożeni.

Pan Michał aż podskoczył.

— Skąd waść wiesz, że...

— Że co?

— Chciałem powiedzieć: co też waści w głowie? Jakżeby taka rzecz stać się mogła?

— Alboż to się nie trafia? albożeś nie szlachcic? alboż to nie wszystka szlachta sobie równa? Mało to każdy m a g n a t u s ma dalekich krewnych i krewniaczek między szlachtą, które to krewniaczki później za swych zacniejszych dworzan wydaje? Przecie podobno i Suffczyński z Sieńczy ma też jakąś daleką krewną Wiśniowieckich. Wszyscyśmy bracia, panie Michale, wszyscyśmy bracia, choć jedni drugim

służym, gdyż wspólnie od Jafeta pochodzimy, a cała różnica w fortunie i urzędach, do których każdy dojść może. Podobno gdzieindziej są dyferencye znaczne między szlachtą, ale parszywa też to szlachta! Rozumiem dyferencye między psami, jako są legawce, charty misterne, lub ogary głosem goniące, ale uważ, panie Michale, że ze szlachtą nie może tak być, bobyśmy psubratami nie szlachtą byli, której hańby dla tak wdzięcznego stanu Panie Boże nie dopuść!

— Słusznie waszmość mówisz — rzecze Włodzowski — ale przecie Wiśniowieccy, królewski to prawie ród.

— A ty, panie Michale, zali nie możesz być królem obran? Ja pierwszy, gdybym się uparł, tobiebym właśnie dał kreskę, jako pan Zygmunt Skarszewski, który przysięga, że za sobą samym będzie głosował, jeśli się tylko w kości nie zagra. Wszystko, chwalić Boga, u nas in liberis suffragiis — i chudopacholstwo to nasze, nie urodzenie w drodze nam staje.

— Otóż to właśnie! — westchnął pan Michał.

— Cóż robić! Zrabowano nas ze szczerem i zginiemy, jeśli nam Rzeczpospolita jakowych procentów nie obmyśli, zginiemy marnie! Cóż dziwnego, że człowiek, choć z natury i wstrzemięźliwy, lubi się napić w takich opresyach? Pójdźmy chyba, panie Michale, napić się po szklaneczce cienkuszka, może się choć trochę pocieszymy.

Tak rozmawiając, doszli do Starego Miasta i wstąpili do winiarni, przed którą kilkunastu pacholków trzymało szuby i burki pijącej w środku szlachty.

Tam siadłszy za stołem, kazali sobie podać gąsiorek i poczęli się naradzać, co im teraz po pobiciu Bohuna począć wypada.

— Jeśli się sprawdzi, że Chmielnicki od Zamościa ustąpi i pokój nastanie, tedy kniaziówna już nasza — mówił Zagłoba.

— Trzebaby nam jak najprędzej do Skrzetuskiego. Już go też nie opuścimy, póki się dziewczyna nie odnajdzie.

— Pewnie, że razem pojedziemy. Ale teraz niema sposobu dostać się do Zamościa.

— To już wszystko jedno, byle nam Bóg później poszczęścił.

Zagłoba wychylił szklanicę.

— Poszczęści, poszczęści! — rzekł. — Wiesz, panie Michale, co ci powiem?

— Co takiego?

— Bohun zabit!

Wołodyjowski spojrzał ze zdziwieniem:

— Ba, któż wie lepiej ode mnie?

— Żeby ci się ręce święciły, panie Michale! Ty wiesz i ja wiem: patrzałem jakieście się bili, patrzę na waćpana teraz, i przecie, muszę sobie ciągle powtarzać, bo mi się czasem zdaje, że to tylko sen takowy miałem. Co za troska ubyła, co za węzeł twoja szabla przecięła! Niechże cię kule biją! bo dalibóg, że i wypowiedzieć to się nie da. Nie, nie mogę wytrzymać! niech cię jeszcze raz uściskam, panie Michale! Zali uwierzysz, że gdym cię poznał, pomyślałem sobie: at, chłystek! — a tu piękny chłystek, co Bohuna tak pochlastał. Niema już Bohuna, ani śladu, ani popiołu, zabit na śmierć, na wieki wieków a m e n !

Tu Zagłoba począł ściskać i całować Wołodzyjowskiego, a pan Michał rozculił się, jakby właśnie Bohuna żałował—w końcu jednak uwolnił się z objęć pana Zagłoby i rzekł:

— Nie byliśmy przy jego śmierci, a twarda to sztuka; nuż wyżyje?

— Na Boga, co waćpan mówisz! — rzekł Zagłoba. — Gotowem jutro jechać do Lipkowa i najpiękniejszy pogrzeb mu sprawić, byle tylko umarł.

— I poco waść pojedziesz? Przecie go rannego nie dobijesz. A z szablą to tak bywa: kto nie puści ducha odrazu, ten najczęściej się wyliże. Szabla to nie kula.

— Nie, nie może być! Już przecie rzeźić zaczął, gdyśmy wyjeżdżali. O, wcale nie może być! Samem mu rany opatrywał. Piersi miał roztworzone, jako wierzeje. Dajmy mu już spokój, bo wypatroszyłeś go jak zająca. Nam trzeba do Skrzetuskiego jak najprędzej, jemu pomódz, jego pocieszyć, bo zamrze od zgryzoty ze szczętem.

— Albo mnichem zostanie; sam mnie to mówił.

— Co dziwnego! I jabym na jego miejscu to uczynił. Nie znam zacniejszego kawalera, ale też i nieszczęśliwszego nie znam. Oj, ciężko go Bóg doświadcza, ciężko!

— Przestań już waszmość! — mówił trochę pijany Wołodzyjowski — bo nie mogę leż utrzymać.

— A jaż to mogę? — odparł Zagłoba. — Taki zacny kawaler, taki żołnierz... a i ona! waćpan jej nie znasz... robaczek to taki kochany!

Tu zawył pan Zagłoba niskim basem, bo istotnie bardzo kochał kniaziównę, a pan Michał wtórował

mu trochę cienie — i pili wino zmieszane ze łzami, a potem, spuściwszy głowy na piersi, siedzieli czas jakiś pośepnie, aż wreszcie Zagłoba uderzył pięścią w stół.

— Panie Michale, czemu my płaczemy? Bohun zabit!

— A prawda! — rzekł Wołodyjowski.

— Cieszyć się nam raczej wypada. Kpami będziemy, jeśli jej teraz nie odszukamy!

— Jedźmy! — rzekł, wstając, pan Michał.

— Napijmy się! — poprawił Zagłoba. — Bóg da, że jeszcze ich dzieci będziem do chrztu trzymali, a wszystko dlatego, żeśmy Bohuna usiekli.

— Dobrze mu tak! — dokończył Wołodyjowski, nie postrzegając się, że już pan Zagłoba dzieli się z nim zasługą zgładzenia Bohuna.

ROZDZIAŁ XIV.

Nakoniec zabrzmiało *Te Deum laudamus* w warszawskiej katedrze, i „Pan siadł na majestacie,“ huczały działa, biły dzwony—i otucha poczęła wstępować we wszystkie serca. Przecie minął już czas bezkrólewia, czas zawichrzeń i niepokojów, tem straszniejszy dla Rzeczypospolitej, iż przypadł w chwilach powszechnej klęski. Ci, którzy drżeli na myśl grożących niebezpieczeństw, teraz, gdy elekcyja odbyła się nad podziw zgodnie, odetchnęli głęboko. Wielu zdawało się, iż bezprzykładna wojna domowa minęła już raz na zawsze i że nowo obranemu panu pozostaje tylko sąd nad winnymi. Jakoż nadzieję tę podtrzymywało i zachowanie się samego Chmielnickiego. Kozacy pod Zamościem, szturmując zaciekle do zamku, głośno jednak oświadczały się za Janem Kazimierzem. Chmielnicki słał przez księdza Huncla Mokrskiego listy pełne poddańczej wierności, a przez innych posłańców pokorne prośby o łaskę dla siebie i wojska zaporoskiego. Wiedzano też, że król zgodnie z polityką kanclerza Ossolińskiego, pragnie znaczne kozakom poczynić ustępstwa. Jak niegdyś przed piławiecką klęską wojna, tak teraz pokój był na wszystkich ustach. Spodziewano się, że po tylu klęskach Rzecz-

pospolita odetchnie i pod nowem panowaniem ze wszystkich ran się wygoi.

Nareszcie wyjechał Śniarowski z listem królewskim do Chmielnickiego, i wkrótce rozeszła się wieść radosna, że kozacy ustępują z pod Zamościa, ustępują aż na Ukrainę, gdzie spokojnie czekać będą rozkazów królewskich i komisji, która rozpatrzeniem ich krzywd ma się zająć. Zdawało się, że po burzy tęcza siedmiobarwna zawisła nad krajem, zwiastująca ciszę i pogodę.

Nie brakło wprawdzie niepomyślnych wróżb i przepowiedni, ale wobec pomyślnej rzeczywistości nie przywiązywano do nich wagi. Król pojechał do Częstochowy, by naprzód Opiekunce Boskiej za wybór podziękować i pod opiekę dalszą się oddać, a następnie do Krakowa na koronację. Za nim pociągnęli dygnitarze, Warszawa opustoszała, zostali w niej tylko exules z Rusi, którzy do swych zrujnowanych fortun wracać jeszcze nie śmieli, lub też nie mieli po co.

Książę Jeremi, jako senator Rzeczypospolitej, musiał udać się z królem, Wołodyjowski zaś i Zagłoba, na czele jednej chorągwi dragońskiej, pociągnęli śpiesznymi pochodami do Zamościa, by Skrzetuskiemu szczęśliwą nowinę o przygodzie Bohunowej zwiastować, a następnie razem na poszukiwanie kniaziówny wyruszyć.

Pan Zagłoba opuszczał Warszawę nie bez pewnego żalu, bo w tym niezmiernym zjeździe szlachty, w gwarze elekcyjnym, w ciągłych hulankach i burdach, na wspólną z Wołodyjowskim czynionych, było mu tak dobrze, jak rybie w morzu. Ale pocieszał

się myślą, że wraca do życia czynnego, do poszukiwań, przygód i fortelów, których obiecywał sobie nie skąpić, a zresztą miał on swoją opinię o niebezpieczeństwach stołecznych, którą w następujący sposób Wołodjowskiemu wyłuszczał:

— Prawda jest, panie Michale — mówił — że dokonaliśmy wielkich rzeczy w Warszawie, ale broń Boże dłuższego pobytu, tak, mówię ci, zniewieścielibyśmy, jak ów sławny Kartagińczyk, którego słodkość aury w Kapui ze szczętem zdebilitowała. A najgorsze ze wszystkiego białogłowy. One każdego do zguby doprowadzą, bo to sobie zauważ, że niemasz nic zdradliwszego nad niewiastę. Człowiek się starzeje, ale go jeszcze ciągną...

— Et, dałbyś waćpan pokój! — przerwał Wołodjowski.

— Sam ja to sobie często powtarzam, bo czas by było się ustatkować, jeno krew mam jeszcze zbyt gorącą. W tobie jest więcej flegmy, a we mnie sama cholera. Ale mniejsza z tem. Zaczniemy teraz inne życie. Już też, bywało, przykrzyło mi się nieraz bez wojny. Chorągiewkę mamy dobrze okrytą, a tam pod Zamościem dokazują jeszcze kupy swawolne, to się z nimi, idąc po kniaziównę, zabawimy. Obaczymy też i Skrzetuskiego i tego wielkoluda, tego zórawia litewskiego, tę tykę chmielową, pana Longina, bośmy go też siłą czasu nie widzieli.

— Waćpan tęsknisz po nim, a jak go widzisz, to spokoju mu nie dajesz.

— Bo co się odezwie, to tak, jakby twój koń ogonem ruszył, a ciągnie każde słowo jak szewc skórę. Wszystko u niego w siłę przeszło, nie w głowę.

Jak kogo weźmie w ramiona, to mu zebra przez skórę powyciska, nie masz zaś takowego dziecka w Rzeczypospolitej, któreby go najsmadniej na hak przywieść nie mogło. Słychanaż to rzecz, żeby człek takiej fortuny taki był hebes?

— Zaś on naprawdę ma taką fortunę?

— On? Jakem go poznał, trzos miał taki wypchany, że się opasać nim nie mógł, i tak go nosił, jak wędzoną kiełbasę. Można było nim jak kijem machać, ani się zgiął. Sam mnie mówił, ile ma wsi: Myszykiszki, Psikiszki, Pigwiszki, Syruciany, Ciapuciany, Kapuściany (raczej Kapuściana, ale głowę), Bałupie, ktoby tam pamiętał te wszystkie pogańskie nazwy! Z pół powiatu do niego należy. Wielki to u boćwinków ród Podbipiętowie.

— A nie koloryzujesz waść trocha o owych majątnościach?

— Ja nie koloryzuję, bo powtarzam to, com od niego słyszał, a on przecie póki życia nie zełgał, bo zresztą i na to za głupi.

— No, to będzie Anusia panią całą gębą. Ale co o nim waćpan mówisz, że głupi, na to się żadną miarą zgodzić nie mogę. Stateczny to mąż i tak roztropny, że w potrzebie nikt lepszej rady nie udzieli, a że nie frant, to trudno. Nie każdemu dał Pan Bóg tak obrotny język, jak waści. Co to gadać wielki to rycerz i najzacniejszy człowiek, a dowód: że waćpan sam go miłujesz i rad go ujrzysz.

— Skaranie z nim Boże — mruknął Zagłoba. — Dlatego tylko rad, że mu będę panną Anną przypiekał.

— Tego ja waćpanu czynić nie radzę, bo to jest rzecz ~~niebezpieczna~~. ~~Jego~~ choćby do rany przyłożyć, ale w takowym terminie pewnieby stracił cierpliwość.

— Niechby stracił. Uszybym mu obciąż, jak panu Duńczewskiemu.

— Daj-no waćpan pokój! Nieprzyjacielowi nie życzyłbym próbować.

— No, no, niech go jeno obaczę.

Życzenie to pana Zagłoby spełniło się prędzej, niż myślał. Dojechawszy do Końskowoli, postanowił Wołodujowski zatrzymać się na odpoczynek, bo konie były już mocno zdrożone. Któż więc opíše zdziwienie obydwóch przyjaciół, gdy wszedłszy do ciemnej sieni zajazdu, w pierwszym spotkanym szlachcicu rozpoznali pana Podbipiętę.

— Jakże się waszmość masz! siła czasu! siła czasu! — wołał Zagłoba. — A że cię to kozacy nie usiekli w Zamościu!

Pan Podbipięta brał z kolei obydwóch w ramiona i obcałowywał po policzkach.

— O to, żeśmy się spotkali, co? — powtarzał z radością.

— Dokąd jedziesz? — pytał Wołodujowski.

— Do Warszawy, do księcia pana.

— Księcia niema w Warszawie. Pojechał do Krakowa z królem jegomością, przed którym ma nieść jabłko na koronacyi.

— A mnie pan Weyher do Warszawy wyprawił z listem i z zapytaniem, gdzie książęce regimenta mają iść, bo już, chwalić Boga, w Zamościu niepotrzebne.

— To i nie potrzebujesz nigdzie jechać, bo my wieziemy ordynanse.

Pan Longinus zasepił się, bo z duszy życzył sobie dotrzeć do księcia, zobaczyć dwór i szczególnie jedną małą osóbkę na tym dworze.

Zagłoba począł mrugać znacząco na Wołodyjowskiego.

— A taki do Krakowa pojedę!—rzekł po chwili namysłu Litwin.—Kazali mnie list oddać, to oddam.

— Chodźmy do izby; każemy sobie piwa zagrząć — rzekł Zagłoba.

— A wy dokąd jedziecie? — pytał po drodze Longinus.

— Do Zamościa, do Skrzetuskiego.

— Porucznika niema w Zamościu.

— Masz babo placek! Gdzież on jest?

— Koło Choroszczyna gdzieś, gromi kupy swawolne. Chmielnicki cofnął się, ale jego pułkownicy po drodze palą, rabują i ścinają. Na tych starosta wałecki odkomenderował pana Jakóba Rogowskiego, żeby ich znosił...

— I Skrzetuski jest z nim także?

— Takoż. Ale oni osobno chodzą, bo wielkie są między nimi emulacye, o których waszmościom później opowiem.

Tymczasem weszli do izby. Zagłoba kazał zagrząć trzy garnce piwa, poczem, zbliżywszy się do stołu, za którym Wołodyjowski z panem Longinem już zasiedli, rzekł:

— Bo waćpan, panie Podbipięta, nie wiesz największej i szczęśliwej nowiny, żeśmy z panem Michałem Bohuna na śmierć usiekli.

Litwin, aż się z ławy podniósł.

— Bracia wy rodzeni, możeż to być?

— Jak nas tu żywych widzisz!

— I wy jego we dwóch usiekli?

— Tak jest!

— Oto nowina! a Boże, Boże! — mówił Litwin, plasnawszy w dłonie. — Mówisz waćpan: we dwóch! jak to we dwóch?

— Bom go naprzód przez fortele do tego doprowadził, że nas wyzwiał, rozumiesz wasze? poczem pan Michał pierwszy stanął, i tak go, mówię waści, pokrajał, jak wielkanocne prosię, rozebrał go, jak pieczonego kapłona — rozumiesz wasze?

— To waść drugi nie stawał?

— No, patrzcie się! — rzekł Zagłoba — widzę, że waść musiałeś sobie krew puszczać i ze słabości na umyśle szwankujesz. Rozumiałeś, że będę z trupem stawał, albo że leżącego już będę docinał?

— Bo mówiłeś waść, żeście go we dwóch usiekli.

Pan Zagłoba ramionami ruszył.

— Świętej cierpliwości z tym człowiekiem! Panie Michale, zali nie obydwóch nas Bohun wyzwiał?

— Tak jest! — rzecze Wołodyjowski.

— Pojąłeś waść teraz?

— Niech i tak będzie! — odparł Longinus. — To pan Skrzetuski szukał Bohuna pod Zamościem, a jego tam już nie było.

— Jak to go Skrzetuski szukał?

— Muszę już ja widzieć wszystko a b o v o waćpanom opowiedzieć, właśnie tak, jak się odbyło — rzekł pan Longinus. — Zostaliśmy tedy, jak wiecie, w Zamościu, a wy ruszyliście do Warszawy. Na ko-

zaków nie czekaliśmy zbyt długo. Przyszły ich chmary nieprzejrzane z pode Lwowa, że okiem wszystkich z murów nie objąłeś. Ale nasz książę tak Zamosć opatrzył, że byliby pod nim dwa lata stali. Myśleliśmy, że nie będą wcale szturmowali, i wielki był z tego powodu między nami smutek, bo każdy sobie rozkosze z ich klęski obiecywał, a że byli z nimi i Tatarzy, więc ja także miałem nadzieję, że mi Pan Bóg miłosierny da moje trzy głowy...

— Proś Go waćpan o jedną, proś o jedną, a dobrą — przerwał Zagłoba.

— A waćpan zawsze taki sam, słuchać hadko — rzekł Litwin. — Myśleliśmy tedy, że nie będą szturmowali, oni tymczasem, jako to szaleni w swej zartwardziałości, zaraz wzięli się do budowania machin, a potem nuż szturmować! Pokazało się później, że Chmielnicki sam nie chciał, ale Czarnota, ich oboźny, wziął na niego napadać i mówić, że to go tchórz obleciał, że już z Lachami myśli się bratać — więc Chmielnicki pozwolił i pierwszego Czarnotę posłał. Co się działo, braciaszki, tego ja wam nie wypowiem. Świata z zadymu i z za ognia nie było widać. Poszli z początku odważnie, zasypali fosę, darli się na mury; aleśmy im tak przygrzeli, że potem i od murów, i od własnych machin puciekali; dopiero wypadliśmy za nimi wcztery chorągwie i narznęliśmy, jak bydła.

Wołodyjowski zatarł ręce.

— Uchl żałuję, żem nie był na tym festynie! — wykrzyknął z uniesieniem.

— I ja byłbym się tam przydał — rzekł ze spokojną pewnością Zagłoba.

— A już wtedy najczęściej dokazywali pan Skrzetuski i pan Jakób Rogowski — mówił dalej Litwin — obaj wielcy kawalerowie, ale zgoła sobie nieprzyjaźni. Zwłaszcza pan Rogowski krzywił się na Skrzetuskiego i byłby niezawodnie szukał okazji, gdyby nie to, że pan Weyher pod gardłem zabronił pojedynków. Nie rozumieliśmy z początku, o co panu Rogowskiemu chodzi, aż i wyszło na wierzch, że to krewny pana Łaszcza, którego księżę z powodu pana Skrzetuskiego, jako pamiętacie, z obozu wypędził. Stąd złość w Rogowskim do księcia, do nas wszystkich, a zwłaszcza do porucznika, stąd i emulacja między nimi, która obu w tem oblężeniu wielką sławą okryła, bo się jeden nad drugiego wysadzał. Obaj byli pierwsi, i na murach, i w wycieczkach, aż wreszcie sprzykrzyło się Chmielnickiemu szturmować i regularne rozpoczął oblężenie, nie zaniedbując przytem i fortelów, któreby go do zdobycia miasta mogły doprowadzić.

— Tyle samo on albo i więcej ufa w chytrność — rzekł Zagłoba.

— Szalony człowiek, a przytem i obscurus — mówił dalej Podbięta; — sądził, że pan Weyher jest Niemiec, widać nie słyszał o wojewodach pomorskich tego nazwiska, bo napisał list, chcąc starostę do zdrady namówić, jako cudzoziemca i jurgieltnika. Dopieroż mu pan Weyher odpisał, co zacz jest, i jako się źle z pokusą do niego wybrał. Ten list, żeby to pokazać lepiej swój walor, chciał koniecznie starosta przez kogoś znaczniejszego, nie przez trębacza wysłać, a że to się jak na zgubę między tak dzikie bestye idzie, nie było chętnych między towarzystwem.

Inni się też na godność oglądali, więc ja się podjąłem — i tu słuchajcie, bo co najciekawsze, to się dopiero zaczyna.

— Słuchamy pilnie! — rzekli dwaj przyjaciele.

— Pojechałem tedy i zastałem hetmana pijanego. Przyjął mnie jadowicie, zwłaszcza gdy list przeczytał, i buławą groził — a ja, polecając pokornie duszę Bogu, tak sobie wszystko myślałem: już też, jeśli mnie tknie, tak mu pięścią głowę rozbiję. Co było robić, braciaszki kochane, co?

— Zacznie to było ze strony waćpana tak myśleć — rzekł z pewnem rozrzewnieniem Zagłoba.

— Ale go pułkownicy mitygowali i drogę mu do mnie zagradzali — mówił pan Longinus — a najbardziej jeden młody, tak śmiały, że go w pół brał i odcigał, mówiąc: „Nie pójdziesz, bat’ku, upiłeś się.“ Patrząc ja, kto mnie tak broni i dziwię się jego śmiałości, że taki z Chmielnickim konfident: aż to Bohun!

— Bohun?! — wykrzyknęli Wołodyjowski i Zagłoba.

— Tak jest. Poznałem go, bom go w Rozłogach widział i on mnie także. Słyszę, mówi do Chmielnickiego: „To mój znajomy.“ A Chmielnicki, jako to prędką u pijaków rezolucya, odpowiada: „Kiedy on twój znajomy, synku, tak dać jemu pięćdziesiąt talarów, a ja dam respons.“ I dał mi respons, a co do talarów, rzekłem, by bestyi nie drażnić, żeby je dla hajduków schował, bo nie moda towarzyszowi musztuluków brać. Odprawili mnie z namiotu dość uczciwie, ale ledwom wyszedł, przychodzi do mnie Bohun: „My się w Rozłogach widzieli“—mówi.— „Tak jest (rzekę), jenom się wtedy nie spodziewałem, bra-

ciaszku, że cię w tym obozie ujrzę.“ — A on na to: „Nie własna wola, ale nieszczęście zagnało!“ W rozmowie powiedziałem mu, jakeśmy to jego za Jarmolińcami pobili. — „Jam nie wiedział, z kim mam do czynienia (rzekł mi na to) i w rękę byłem zacięty, a ludzi miałem do niczego, bo myśleli, że to sam książę Jarema ich bije.“ — „I myśmy nie wiedzieli (powiadam), bo gdyby pan Skrzetuski wiedział, że to ty, tedyby jeden z was już nie żył.“

— Pewnieby tak było; ale cóż on na to? — pytał Wołodyjowski.

— Zalterował się mocno i odwrócił rozmowę. Opowiadał mi, jako Krzywonos wysłał go z listami do Chmielnickiego pod Lwów, żeby wczasu trochę zażył, a Chmielnicki nie chciał go napowrót odesłać, bo go zamyślał do innych posyłek użyć, jako mającego prezencyę. Nakoniec pyta: „Gdzie pan Skrzetuski?“ — a gdym mu powiedział, że w Zamościu, rzekł: „To się może spotkamy!“ — i z tem go pożegnałem.

— Już zgaduję, że go zaraz potem Chmielnicki wysłał do Warszawy — mówił Zagłoba.

— Tak jest, ale czekajże waćpan. Wróciłem tedy do fortecy i zdałem sprawę panu Weyherowi z poselstwa. Była już późna noc. Nazajutrz dzień znowu szturm, jeszcze zajadlejszy niż pierwszy. Nie miałem czasu widzieć się z panem Skrzetuskim; dopiero trzeciego dnia mówię mu, że Bohuna widział i z nim mówił. A było przy tem siła oficerów i z nimi pan Rogowski. Ten zasłyszawszy, rzecze z przekąsem: „Wiem ja, że tam o pannę chodzi; jeśli waszmość taki rycerz, jak sława niesie, to masz Bohuna:

wyzwij go na rękę, a już bądź pewien, że ci ten zabijaka nie odmówi. Będziem mieli z murów piękny prospectus. Ale o was Wiśniowiecczykach więcej (powiada) mówią, niż jest.“ Na to pan Skrzetuski jak spojrzy na pana Rogowskiego, — jakby go kto z nóg ściął! — „Tak waćpan radzisz? (spyta) — a dobrze! Nie wiem jeno, czyby waszmość, który naszej cnocie przymawiasz, miał odwagę pójść między czerń, wyzwać ode mnie Bohuna.“ A Rogowski: „Odwagę mam, alem waszmości ani swat, ani brat — nie pójdę.“ Dopiero inni w śmiech z pana Rogowskiego: „O! (prawią) małyś teraz, a jak o cudzą skórę chodziło, toś był wielki!“ Więc Rogowski, jako to ambitna sztuka, wziął na kiel i podjął się. Nazajutrz dzień poszedł z wyzwaniem — ale już Bohuna nie znalazł. Nie wierzyliśmy zrazu relacyi, ale teraz dopiero, po tem, coście mi waszmościowie powiedzieli, widzę, że prawda. Bohuna musiał Chmielnicki istotnie wysłać, i tamieście go waszmościowie usiekli.

— Tak to i było! — rzecze Wołodyjowski.

— Powiedz-że nam wasze — pytał Zagłoba — gdzie my teraz Skrzetuskiego znajdziemy, bo znaleźć go musimy, aby zaraz z nim po dziewczynę wyruszyć.

— Łatwo się o niego za Zamościem dopytacie, bo tam o nim głośno. Kalinę, pułkownika kozackiego, obaj z Rogowskim, do rąk sobie podając, ze szczętem zniesli. Później Skrzetuski na własną rękę dwa razy czambuły tatarskie pogromił, i Burłaja zniósł i kup kilka rozbił.

— A że to Chmielnicki na to pozwala?

— Chmielnicki ich się wypiera i mówi, że wbrew

jego rozkazom łupią. Inaczejby nikt w jego wierność i posłuszeństwo dla króla jego mości nie uwierzył.

— Bardzo też liche piwsko w tej Końskowoli! — zauważył Zagłoba.

— Za Lublinem już pójdziecie waszmościowie krajem spustoszoną — mówił dalej Litwin — bo podjazdy aż za Lublin dochodziły i Tatarowie jasyr wszędy brali, a co koło Zamościa i Hrubieszowa zagarnęli, Bóg jeden zliczy. Kilka tysięcy odbitych jeńców odesłał już Skrzetuski do fortecy. Pracuje on tam ze wszystkich sił, na własne zdrowie nie dbając.

Tu westchnął pan Longinus i spuścił głowę w zamyśleniu, a po chwili tak dalej mówił:

— Ot, myślę, że Bóg w miłosierdziu najwyższem niechybnie pocieszy pana Skrzetuskiego i da mu to, w czem sobie szczęście upatrył, bo wielkie są zasługi tego kawalera. W tych czasach zepsucia i prywaty, gdy każdy o sobie tylko myśli, on o sobie zapomniał. Taż on, brateńki, dawno mógł permisję od księcia pana otrzymać i jechać na szukanie kniaziówny, a zamiast tego, gdy na miłą ojczyznę paroksyzm przyszedł, ani na chwilę służby nie porzucił, z męką w sercu w ustawicznej pracy trwając.

— Rzymską on ma duszę, niema co mówić! — rzekł Zagłoba.

— Przykład z niego brać powinniśmy.

— Szczególnie waćpan, panie Podbipięto, który na wojnie nie pożytku ojczyzny, ale trzech głów szukasz.

— Bóg patrzy w duszę moją! — rzekł pan Longinus, wznosząc oczy ku niebu.

— Skrzetuskiemu już Pan Bóg wynagrodził śmiercią Bohunową — rzekł Zagłoba — i tem, że dał chwilę spokoju Rzeczypospolitej, bo teraz czas dla niego nadszedł, by o odszukaniu zguby pomyślał.

— Waćpanowie z nim pojedziecie? — pytał Litwin.

— A waszmość to nie?

— Radbym ja z duszy serca, ale co z listami będzie? Jeden wiozę od starosty wałeckiego do króla jegomości, drugi do księcia, a trzeci właśnie od pana Skrzetuskiego, takż do księcia, z prośbą o permisję.

— Permisję my mu wieziemy.

— Ba, ale jakże mnie listów nie odwieźć?

— Musisz waćpan jechać do Krakowa, nie może być inaczej. Zresztą powiem szczerze: radbym w onej wyprawie po kniaziównę mieć takie pięście, jako są waćsine, za plecami, ale w czem innem, toś się wać na nic nie zdał. Tam trzeba będzie symulować, a najpewniej przebrać się w świty kozackie, chłopów udawać, a wać tak w oczy leziesz swoim wzrostem, że każdyby się zaraz pytał: co to za drągal? skąd się takowy kozak wziął? Prócz tego waćpan i mowy ich wybornie nie umiesz. Nie, nie! jedź wać do Krakowa, a my sami damy sobie jakoś radę.

— Tak i ja myślę — rzekł Wołodujowski.

— Pewno, że tak musi być — odpowiedział pan Podbiپیeta. — Niechże wam Bóg miłosierny błogosławi i pomoże. A czy wiecie, gdzie ona ukryta?

— Bohun nie chciał powiedzieć. Wiemy jeno to, com ja podsłuchał, gdy mnie to Bohun w chlewie więził, ale to dosyć.

— Jakże wy ją znajdziecie?

— Moja głowa, moja głowa! — rzekł Zagłoba. —

Bywałem ja w trudniejszych terminach. Teraz rzecz tylko w tem, byśmy do Skrzetuskiego najprędzej się dostali.

— Pytajcie się w Zamościu. Pan Weyher musi wiedzieć, bo on z nim koresponduje, i jeńców mu pan Skrzetuski odsyła. Niech was Bóg błogosławi!

— I waćpana również! — rzekł Zagłoba. — Jak będziesz w Krakowie u księcia, pokłoń się od nas panu Chałampowi.

— Któż to taki?

— To jeden Litwin, nadzwyczajnej gładkości, za którym wszystkie panny z fraucymeru księżny głowy potraciły.

Pan Longinus zadrżał.

— Dobrodzieju mój, chyba kpiny?

— Bądź waćpan zdrow! Okrutnie tu liche piwsko w tej Końskowoli! — zakończył pan Zagłoba, mrugając na Wołodyjowskiego.

ROZDZIAŁ XV.

Odjechał więc pan Longinus do Krakowa z sercem przeszytem strzałą, a okrutny pan Zagłoba razem z Wołodyjowskim do Zamościa, gdzie nie zabawili dłużej, niż jeden dzień, gdyż komendant, starosta wałecki, oznajmił im, że dawno już nie miał wiadomości od Skrzetuskiego, i sądził, że regimenty, które pod Skrzetuskim ruszyły, pójdą na prezydyum do Zbaraża, aby tamte kraje od kup swawolnych zasłaniać. Było to tem prawdopodobniejsze, że Zbaraż, jako własność Wiśniowieckich, szczególnie był na zapędy śmiertelnych wrogów księcia wystawiony. Otwierała się więc przed panem Wołodyjowskim i Zagłobą długa i dosyć trudna droga, ale że i tak, idąc po kniaziównę, musieliby ją przebyć, było im zatem wszystko jedno, czy to prędzej, czy później nastąpi, i ruszyli w nią bez zwłoki, tyle się tylko zatrzymując, ile trzeba było dla odpoczynku lub gromienia kup rozbójniczych, które się jeszcze tu i owdzie wałęsały.

Szli krajem tak zniszczonym, że częstokroć po całych dniach żywej duszy nie mogli napotkać. Miasteczka leżały w perzynie, wsie były popalone i puste, lud wybity lub w jasyr zagarnięty. Trupy tylko

spotykali po drodze, szkielety domów, kościołów, cerkwi, niedogarki chat wiejskich i psy na zgłiszczach wyjące. Kto powódź tatarsko-kozacką przeżył, chronił się w głębinach leśnych i marzył z zimna, lub głodem przymierał, nie śmiejąc się jeszcze z lasów wychylić, nie wierząc, by nieszczęście mogło już minąć. Konie z pod swej chorągwi musiał Wołodyjowski karmić korą drzew, lub nawpół spalonem zbożem, które ze zgłiszcz dawnych śpichrzów wydobywano. Ale szli szybko, ratując się głównie tymi zapasami, które rozbójniczym oddziałom zabierali. Był to już koniec listopada, a o ile zeszłoroczna zima przeszła, z największym podziwem ludzkim, bez śniegów, mrozu i lodu, tak, że cały porządek natury zdawał się być przez nią odmieniony, o tyle terażniejsza zapowiadała się ostrzej niż zwykle. Ziemia skrzepła, śniegi leżały już na polach, a brzegi rzek bramowały się rankami przezroczystą skorupą szklaną. Pogoda była sucha, blade promienie słoneczne słabo tylko ogrzewały świat w godzinach południowych; natomiast rankami i wieczorami paliły się na niebie czerwone zorze — niechybna przepowiednia rychłej i silnej zimy.

Po wojnie i głodzie miał nadejść trzeci wróg nędzy ludzkiej — mróz, a jednak ludzie wyglądali go z upragnieniem, był on bowiem pewniejszym od wszystkich układów hamulcem wojny. Pan Wołodyjowski, jako człowiek doświadczony i nawskroś Ukrainę znający, pełen był nadziei, że wyprawa po kniaziównę przyjdzie już niechybnie do skutku, bo główna przeszkoda—wojna—nie położy jej tak prędko tamy.

— Nie wierzę ja w szczerość Chmielnickiego — mówił — żeby on z afektu dla króla jegomości na Ukrainę się cofał; ale to chytry lis! Wie on, że gdy kozacy okopać się nie mogą, to nic po nich, bo w otwartem polu, choćby i pięćkroć liczniejsi, naszym chorągwiom nie dostoją. Pójdą oni teraz do zimowników, a stada pošlą w śniegi. Tatarzy też potrzebują jasyr odprowadzić. Jeśli zima będzie tęga, to będziemy mieli spokój aż do przyszłej trawy.

— Może i dłużej, bo wszelako mają oni respekt dla króla jegomości. Ale nam i tyle czasu nie potrzeba. Da Bóg, na zapusty wyprawimy panu Skrzetuskiemu wesele.

— Byleśmy się tylko teraz z nim nie minęli, bo nowa byłaby mitręga.

— Trzy chorągwie są przy nim, to przecie nie w korczi ziarnka szukać. Może go jeszcze pod Zbaramem dognamy, jeśli się gdzie dłużej koło hajdamaków zabawi.

— Dognać go nie możemy, ale powinniśmy mieć wieści po drodze — odrzekł Wołodyjowski.

O wieści jednak było trudno. Chłopi widzieli tu i owdzie przechodzące chorągwie, słyszeli o bitwach staczanych przez nie z rabusiami, ale nie umieli powiedzieć, czyje były te chorągwie, że zaś mogły one być zarówno Rogowskiego, jak Skrzetuskiego, więc dwaj przyjaciele nie mieli żadnej pewności. Natomiast doleciała ich uszu inna wieść: o wielkich niepowodzeniach kozackich przeciw wojskom litewskim. Krążyła już ona w formie pogłoski w wigilię wyjazdu Wołodyjowskiego z Warszawy, ale jeszcze wątpiono; teraz zaś rozbiegła się po całym

kraju, ze wszelkimi szczegółami, jako niezbita prawda. Za klęski zadane przez Chmielnickiego wojskom koronnym, zapłaciły klęską litewskie. Dał głowę Półksiężyc, wódz stary i doświadczony, i dziki Nebaba, i potężniejszy od nich obydwóch Krzeczowski, który nie starostw i województw, nie dostojenstw i godności, ale pala się w buntowniczych szeregach dorobił. Zdało się, że jakaś dziwna Nemezis zapragnęła pomścić na nim niemiecką krew, przelaną w łasze dniewowej, krew Flika i Wenera, gdyż wpadł właśnie w ręce niemieckiego regimentu Radziwiłłowskiego, i lubo postrzelony i ciężko ranny, był natychmiast na pal wbity, na którym nieszczęsny drgał jeszcze cały dzień, nim posępna duszę wyzionął. Taki był koniec tego, który przez swe męstwo i geniusz wojenny drugim Stefanem Chmielckim mógł zostać, ale którego wygórowana żądza bogactw i dostojenstw pchnęła na drogę zrad, krywoprzysięstwa i straszliwych, godnych samego Krzywonosy, mordów.

Z nim, z Półksiężycem i z Nebabą blisko dwadzieścia tysięcy wołajców położyło głowy na poboju, lub potopiło się w błotach Prypeci; strach więc przeleciał jak wichra nad bujną Ukrainą, bo zdało się wszystkim, że po wielkich tryumfach, po Żółtych Wodach, Korsuniu, Piławcach, przychodzi czas na takie pogromy, jakich pod Sołonicą i Kumejkami doznały poprzednie bunty. Sam Chmielnicki, choć na szczycie sławy, choć potężniejszy niż kiedykolwiek, zląkł się, gdy się o śmierci „druha“ Krzeczowskiego dowiedział, i znów czarownic zaczął o przyszłość pytać. Wróżyły różne — wróżyły nowe

wielkie wojny, i zwycięstwa, i klęski — nie umiały jednak powiedzieć hetmanowi, co się z nim samym stanie.

Ale tymczasem, właśnie z powodu klęski Krzeczowskiego, również jak z powodu zimy, tem pewniejszy był długi spokój. Kraj począł się koić, spustoszone wioski zaludniać, i otucha wstępowała zwolna we wszystkie zwątpiałe i przerażone serca.

Z tą samą otuchą nasi dwaj przyjaciele, po długiej i trudnej podróży, dojechali szczęśliwie do Zbaraża i oznajmivszy się w zamku, natychmiast udali się do komendanta, w którym z niemałym zdziwieniem poznali Wierszułła.

— A gdzie Skrzetuski? — pytał po pierwszych powitaniach Zagłoba.

— Niemasz go — odpowiedział Wierszułł.

— To wać masz komendę nad prezydum?

— Tak jest. Miał Skrzetuski, ale wyjechał i mnie zdał załogę aż do swego powrotu.

— A kiedy obiecał wrócić?

— Nic nie mówił, bo sam nie wiedział, jeno mi tak rzekł na odjeździe: „Jeśliby kto do mnie przyjechał, tedy mu powiedz, żeby tu mnie czekał.“

Zagłoba z Wołodyjowskim spojrzeli na siebie.

— Jak dawno pojechał? — pytał pan Michał.

— Dziesięć dni temu.

— Panie Michale — rzekł Zagłoba — niechże pan Wierszułł da nam wieczerzę, bo źle się radzi na głodno. Przy wieczerzy pogadamy.

— Z serca służę waszmościom, bom i sam też miał do stołu siadać. Zresztą pan Wołodyjowski, jako starszy oficer bierze komendę, więc ja to jestem u niego, nie on u mnie.

— Zostań przy komendzie, panie Krzysztofie— rzekł Wołodzyjowski — boś starszy wiekiem, przytem mnie pewno jechać wypadnie.

Po chwili wieczerza była podana. Siedli, jedli, a gdy pan Zagłoba zaspokoił już nieco pierwszy głód dwiema miskami juszki, rzekł do Wierszuła:

— Nie suponujesz-że waćpan, dokąd mógł jechać pan Skrzetuski?

Wierszuł kazał iść precz pachotkom, posługującym do stołu, i po chwili namysłu tak mówić począł:

— Suponuję, ale siła Skrzetuskiemu na tajemnicy zależy, więc nie chciałem przy służbie gadać. Korzystał on z pomyślnego czasu, bo pewnie tu do wiosny będziem w spokoju stali, i wedle moich supozycji, pojechał na poszukiwanie kniaziówny, która w Bohunowych jest ręku.

— Bohuna niema już na świecie!— rzekł Zagłoba.

— Jak to?

Pan Zagłoba opowiedział po raz trzeci czy czwarty wszystko, jak było, bo opowiadał to zawsze z przyjemnością. Wierszuł również, jak pan Longinus, nie mógł się wydziwić zdarzeniu, nakoniec rzekł:

— To Skrzetuskiemu będzie łatwiej.

— W tem rzecz, czy ją odnajdzie? A ludzi z sobą wziął jakowych?

— Nikogo, sam pojechał, z jednym Rusinkiem, pacholikiem i z trzema końmi.

— To już roztropnie postąpił, bo tam tylko fortelami trzeba radzić. Do Kamieńca możnaby może z chorągiewką dojść, ale już w Uszycy i w Mohylowie pewno stoją kozacy, bo tam zimowniki dobre, a w Jampolu ich gniazdo; trzeba tam iść albo z całą dywizją, albo samemu.

— A skądże waćpan wiesz, że on w tamtą właśnie stronę się udał? — pytał Wierszuł.

— Bo ona tam ukryta za Jampolem i o tem on wiedział, ale tam jarów, zapadlin, komyszy tyle, że choć i wiedząc dobrze miejsce, trudno trafić, coś dopiero nie wiedząc! Jeździłem ja za końmi i na sądy do Jahorlika, to wiem. Gdybyśmy byli razem, możeby łatwiej poszło, ale jemu samemu — wątpię, wątpię, chybaby mu przypadek jakowy drogę wskazał, bo i pytać się nie będzie mógł.

— To waszmościowie chcieliście z nim jechać?

— Tak jest. Ale coś teraz pocniemy, panie Michale? Jechać za nim, czy nie jechać?

— Na waszmoścín przemyśl to zdaję.

— Hum! dziesięć dni jak pojechał, nie dognamy, i co większa, kazał czekać na siebie. Bóg też wie, jaką drogą pojechał? Mógł na Płoskirów i Bar, jako stary trakt idzie, a mógł na Kamieniec Podolski. Ciężka tu jest sprawa.

— Pamiętaj przytem waszmość — rzekł Wierszuł — że są tylko supozycye, ale pewności niemasz, że po kniaziównę pojechał.

— Otóż to, otóż to! — rzekł Zagłoba. — Nuż ruszył tylko dlatego, by języka gdzie zasięgnąć, i potem wróci do Zbaraża, bo to przecie wiedział, że mamy iść razem i mógł się nas teraz spodziewać, jako w najlepszy czas. Ciężka to jest deliberacya.

— Jabym radził czekać z dziesięć dni — rzekł Wierszuł.

— Dziesięć dni na nic; albo czekać, albo wcale nie czekać.

— Ja zaś myślę, żeby nie czekać, bo i co stracimy, jeśli zaraz jutro ruszym? Nie odnajdzie kniaziówny pan Skrzetuski, to może właśnie nam Bóg poszczęści — rzekł Wołodyjowski.

— Widzisz, panie Michale, nie można tu nic lekceważyć; wasze jesteś młody i chce ci się przygód — odpowiedział Zagłoba — a tu jest to niebezpieczeństwo, że gdy jej osobno on, a osobno my szukać będziemy, łatwo rozbudzi się jakaś podejrzliwość w tamiecznych ludziach. Kozactwo chytne i boi się, żeby kto nie odkrył ich zamysłów. Oni tam z baszą granicznym koło Chocimia mogą mieć konszachty, lub z Tatarami za Dniestrem wedle przyszłej wojny, kto ich wie! Tedy na obcych ludzi, a zwłaszcza dopytujących o drogi, baczne będą mieli oko. Ja ich znam. Zdradzić się łatwo, a potem co?

— To tembardziej, bo może Skrzetuski w takowe popaść terminy, w których trzeba mu będzie pomódz.

— I to także prawda.

Zagłoba zamyslił się tak mocno, że aż mu skronie drgały.

Nakoniec rozbudził się i rzekł:

— Zważywszy wszystko, trzeba będzie jechać. Wołodyjowski odetchnął z zadowoleniem.

— A kiedy?

— Wypocząwszy tu ze trzy dni, by dusza i ciało rażne były.

Jakoż nazajutrz dwaj przyjaciele poczęli już czynić przygotowania do drogi, gdy niespodzianie, w wigilię ich wyjazdu, przybył pacholik pana Skrzetuskiego, młody kozaczek Cyga, z wieściami i listami

dla Wierszuli. ~~li~~ ~~U~~ ~~s~~ ~~t~~ ~~y~~ ~~s~~ ~~z~~ ~~a~~ ~~w~~ ~~s~~ ~~z~~ ~~y~~ o tem, Zagłoba i Wołodyjowski wnet pośpieszyli do kwatery komendanta i tam czytali, co następuje:

„Jestem w Kamieńcu, do którego droga na Sattanów bezpieczna. Jadę do Jahorlika z Ormianami, kupcami, których mnie pan Bukowski wskazał. Mają oni glejty tatarskie i kozackie na wolny przejazd aż do Akermanu. Pojedziemy na Uszycę, Mohylów i Jampol, z bławatami, wszędy po drodze się zatrzymując, gdzie jeno ludzie żywi mieszkają; może też Bóg pomoże, że znajdziem, czego szukamy. Towarzyszą mi moim, Wołodyjowskiemu i panu Zagłobie, powiedz, panie Krzysztosie, by w Zbarażu na mnie czekali, jeśli im czego innego czynić nie wypada, bo w tę drogę, w którą jadę, większą kupą jechać nie można, a to dla wielkiej podejrzliwości kozaków, którzy w Jampolu zimują i nad Dniestrem, aż do Jahorlika, konie w śniegach trzymają. Czego ja sam nie sprawię, tegobyśmy i we trzech nie dokazali, a ja prędzej za Ormianina ująć mogę. Podziękuj im, panie Krzysztosie, z duszy serca za ich rezolucję, którą, pókim żyw, będę pamiętał, ale czekać na nich nie mogłem, gdyż każdy dzień w męce mi schodził—i tego nie mogłem wiedzieć, czyli przyjadą, a najlepsza pora teraz jechać, gdy wszyscy kupcy po bakalie i bławaty ruszają. Pacholika wiernego odsyłam, którego miej w opiece, bo nic mi po nim, boję się zaś jego młodości, żeby się gdzie z czem nie wygadał. Pan Bukowski zaręcza za owych kupców, że poczciwi, co i ja myślę, wierząc, że wszystko w ręku Boga Najwyższego, który jeśli zechce, miłosierdzie nam swoje okaże i mękę skróci, a m e n .“

Pan Zagłoba skończył list i spoglądał na swoich towarzyszków, oni zaś milczeli—aż w końcu Wierszuł rzekł:

— Wiedziałem, że on tam pojechał.

— A co nam czynić wypada? — pytał Wołodujowski.

— A cóż! — rzekł Zagłoba, roztwierając ręce. — Nie mamy po co jechać. To, że on z kupcami jedzie, to dobrze, bo wszędy może zaglądać i nikogo to nie zdziwi. W każdej chacie teraz, w każdym futorze jest co kupować, gdyż oni przecie pół Rzeczypospolitej zrabowali. Ciężkoby nam było, panie Michale, za Jampol się dostać. Skrzetuski czarny, jak Wołoch, i snadnie za Ormianina ująć może, a ciebie zarazby po twoich owsianych wąsikach poznali. W przebraniu chłopskiem również byłoby trudno... Niechże mu Bóg błogosławi! Nic tam po nas — to muszę przyznać, chociaż mi żal, że do uwolnienia tej niebogi nie przyłożymy ręki. Wielkąśmy jednak Skrzetuskiemu oddali przysługę, usiekłszy Bohuna, bo gdyby on był żyw, tedy nie ręczyłbym za zdrowie pana Jana.

Wołodujowski bardzo był niekontent; obiecywał sobie podróż pełną przygód, a tymczasem zapowiadał mu się długi i nudny pobyt w Zbarażu.

— Możebyśmy choć do Kamieńca ruszyli? — rzekł.

— A co my tam będziemy robili i z czego żyli? — odpowiedział Zagłoba. — Wszystko jedno, do których murów jak grzyby przyrośniemy; trzeba czekać i czekać, bo taka podróż dużo Skrzetuskiemu może zająć czasu. Człowiek póty młody, póki się rusza — (tu

pan Zagłoba opuścił melancholijnie głowę na piersi) — a starzeje się w bezczynności, ale trudno... niechże się tam bez nas obejdzie. Jutro damy na solenną wotywę, by mu Bóg szczęścił. Bohunaśmy usiekli, to grunt! Każ waść konie rozjuczyć, panie Michale, trzeba czekać.

Jakoż nazajutrz zaczęły się dla dwóch przyjaciół długie, jednostajne dni oczekiwania, których ani pijatyki, ani gra w kości nie mogły urozmaicić — i ciągnęły się bez końca. Tymczasem nadeszła sroga zima. Śnieg całunem na łokieć grubym okrył blanki zbaraskie i całą ziemię; zwierz i ptactwo dzikie zbliżyły się do mieszkań ludzkich. Po całych dniach słyhać było krakania niezmiernych stad wron i kruków. Upłynął cały grudzień, potem styczeń i luty — o Skrzetuskim nie było ani słychu.

Pan Wołodyjowski jeździł do Tarnopola szukać przygód; Zagłoba sposepniał i utrzymywał, że się starzeje.

ROZDZIAŁ XVI.

Komisarze, wysłani przez Rzplitą do traktatów z Chmielnickim, dotarli wreszcie wśród największych trudności do Nowosiółek i tam zatrzymali się, czekając odpowiedzi od zwycięskiego hetmana, który tymczasem bawił w Czehryniu. Siedzieli smutni i strapieni, bo przez drogę ciągle groziła im śmierć, a trudności mnożyły się na każdym kroku. Dzień i noc otaczały ich tłumy czerni, zdziczałej do reszty przez mordy i wojnę — i wyły o śmierć komisarzów. Raz w raz napotykali od nikogo niezależne watahy, złożone ze zbójców lub dzikich czabanów, nie mających najmniejszego pojęcia o prawach narodów, a głodnych krwi i zdobyczy. Mieli wprowadzić komisarze stokoni asystencyi, którymi pan Bryszowski dowodził, prócz tego sam Chmielnicki, w przewidywaniu co ich spotkać może, przysłał im pułkownika Dońca, razem z czterystu mołojcami; ale eskorta ta łatwo mogła okazać się niewystarczającą, bo tłumy dziczy rosły z każdą godziną i coraz groźniejszą przybierały postawę. Kto tylko z konwoju, albo ze służby, oddalił się choć na chwilę od gromady, ginął bez śladu. Byli oni jako garść podróżnych, otoczona przez stado zgłodniałych wilków. I tak upływały im całe dni,

tygodnie, aż na noclegu w Nowosiólkach zdawało się już wszystkim, że nadchodzi ostatnia godzina. Konwój dragoński i eskorta Dońca toczyły od wieczora formalną walkę o życie komisarzy, którzy, odmawiając modlitwy za konających, polecali duszę Bogu. Karmelita Łętowski dawał im kolejno rozgrzeszenie, a tymczasem z za okien, razem z powiewem wiatru, dochodziły straszliwe wrzaski, odgłosy strzałów, piekielne śmiechy, szczek kos, wołania: „Na pohybell“ i o głowę wojewody Kisiele, który głównym był przedmiotem zawziętości.

Była to straszna noc, a długa, bo zimowa. Wojewoda Kisiel wsparł głowę na rękę i siedział od kilku godzin nieruchomie. Nie śmierci on się lękał, bo od czasu wyruszenia z Huszczy tak już był wyczerpany, zmęczony, bezsenny, że raczejby z radością do śmierci wyciągnął ręce — ale duszę jego nurtowała bezdenna rozpacz. On to przecie, jako Rusin z krwi i kości, pierwszy wziął na siebie rolę pacyfikatora w tej bezprzykładnej wojnie—on występował wszędy, w senacie i na sejmie, jako najgorętszy stronnik układów, on popierał politykę kanclerza i prymasa, on potępiał najsilniej Jeremiego, i działał w dobrej wierze, dla dobra kozactwa i Rzplitej—i wierzył całą swą gorącą duszą, że układy, że ustępstwa wszystko pogodzą, uspokoją, zablżnią—i właśnie teraz, w tej chwili, gdy wiózł buławę Chmielnickiemu, a ustępstwa kozaczyźnie, zwątpił o wszystkim—ujrzał oczywiście marność swoich wysiłen, ujrzał pod nogami próżnię i przepaść.

— Zali oni nie chcą niczego więcej, jeno krwi? zali nie o inną wolność, jeno o wolność rabunku i po-

żogi im idzie? — myślał z rozpaczą wojewoda i tłumił jęki, które rozrywały mu pierś szlachetną.

— Hołowu Kisielowu! hołowu Kisielowu! na pohybell — odpowiadały mu tłumy.

I byłby chętnie poniósł im w darze wojewoda tę białą, skołataną głowę, gdyby nie ta resztką wiary, że im i całej kozaczyźnie trzeba dać coś więcej, trzeba koniecznie, dla ich własnego i Rzplitej zbawienia. Niechże ich przyszłość tego żądać nauczy.

A gdy tak myślał, jakiś promień nadziei i otuchy rozświecał na chwilę te ciemności, które nagromadziła w nim rozpacz — i wmawiał sam w siebie nieszczęsny starzec, że ta czerń to przecie nie cała kozaczyzna, nie Chmielnicki i jego pułkownicy, że z nimi to dopiero rozpoczną się układy.

Ale mogą-li one być trwałe, póki pół miliona chłopów stoi pod bronią? Nie stopniejąż one z pierwszym powiewem wiosny, jak owe śniegi, które w tej chwili pokrywają step?...

Tu znów przychodziły wojewodzie na myśl słowa Jeremiego: „Łaski można dać tylko zwyciężonym“ — i znów myśl jego zasuwiała się w ciemność, a pod nogami otwierała się przepaść.

Tymczasem mijała północ. Wrzaski i wystrzały nieco przycichły; natomiast świst wichru powiększał się, na dworze była zamieć śnieżna; znużone tłumy widocznie poczęły rozchodzić się do domów; nadzieja wstąpiła w serca komisarzów.

Wojciech Miaskowski, podkomorzy lwowski, podniósł się z ławy, posłuchał przy oknie zasutem śniegiem i rzekł:

— Widzi mi się, że za łaską Bożą jutra jeszcze dożyjemy.

— Może też i Chmielnicki nadeśle liczniejszą asystencję, bo z tą nie dojdziemy — rzekł pan Śniarowski.

Pan Zieleński, podczaszy braclawski, uśmiechnął się gorzko:

— Ktoby to rzekł, że komisarzami pokojowymi jesteście!

— Posłowałem nieraz do Tatar — mówił pan chorąży nowogródzki — ale takiego posłowania nie zaznałem póki życia. Więcej w naszych osobach Rzeczpospolita kontemptu doznaje, niż pod Korsuniem i Piławcami doznała. Mówię też waszmościom: wracajmy, bo o układach niema co i myśleć.

— Wracajmy! — powtórzył jak echo pan Brzozowski, kasztelan kijowski. — Nie może pokój stanąć, niech będzie wojna!

Kisiel podniósł powieki i utkwiał szklane oczy w kasztelanie.

— Żółte Wody, Korsuń, Piławce! — rzekł głucho.

I umilkł, a za nim umilkli wszyscy — jeno pan Kulczyński, skarbnik kijowski, począł odmawiać głośno różaniec, a pan łowczy Krzetowski za głowę się obu rękoma chwycił i powtarzał:

— Co za czasy! co za czasy! Boże, zmiłuj się nad nami...

Wtem drzwi się otwarły, i Bryszowski, kapitan dragonów biskupa poznańskiego, dowodzący konwojem, wszedł do izby.

— Jaśnie wielmożny wojewodo! — rzekł — jakiś kozak pragnie widzieć ichmość panów komisarzy.

— Dobrze! — odrzekł Kisiel — a czerni rozeszła się już?

— Poszli; obiecali jutro wrócić.

— Bardzo nacierali?

— Okrutnie, ale kozacy Dońca zabili ich kilkunastu. Jutro obiecali nas spalić.

— Dobrze, niech ten kozak wejdzie.

Po chwili drzwi się otwarły, i jakaś wysoka, czarnobroda postać stanęła w progu izby.

— Kto jesteś? — pytał Kisiel.

— Jan Skrzetuski, porucznik husarski księcia wojewody ruskiego.

Kasztelan Brzozowski, pan Kulczyński i łowczy Krzetowski porwali się z ław. Wszyscy oni służyli ostatniego roku z księciem pod Machnówką i Konstantynowem i znali pana Jana doskonale, Krzetowski był mu nawet powinowatym.

— Prawda! prawda! toż-że to pan Skrzetuski? — powtarzali.

— Co tu robisz? i jak się do nas dostał! — pytał Krzetowski, biorąc go w ramiona.

— W chłopskiem przebraniu, jak waszmościowie widzicie — rzekł Skrzetuski.

— Mości wojewodo! — wołał kasztelan Brzozowski — toć to jest najprzedniejszy rycerz z pod chorągwi wojewody ruskiego, sławny w całym wojsku.

— Witam go też wdzięcznem sercem — rzekł Kisiel — i widzę, że wielkiej to rezolucyi musi być kawaler, skoro się do nas przedarł.

Potem do Skrzetuskiego:

— Czego od nas żądasz?

— Abyście mi waszmość panowie iść z sobą dozwolili.

— Smokowi w paszczkę leziesz, ale gdy taka waszmościna wola, oponować jej nie możemy.

Skrzetuski skłonił się w milczeniu.

Kisiel patrzył na niego ze zdziwieniem.

Surowa twarz młodego rycerza uderzyła go powagą i boleścią.

— Powiedz-że mi waszmość — rzekł — jakie powody gnają cię do owego piekła, do którego nikt po dobrej woli nie idzie?

— Nieszczęście, jaśnie wielmożny wojewodo!

— Niepotrzebniem pytał — rzekł Kisiel. — Musiałeś kogo z bliskich utracić i tam go jedziesz szukać?

— Tak jest.

— Dawnoż to się stało?

— Zeszłej wiosny.

— Jak to? i waść dopiero teraz na poszukiwania się wybrał? Toż to rok blisko! Cożeś waszmość dotąd porabiał?

— Biłem się pod wojewodą ruskim.

— Zaliż tak szczery pan nie chciał waści permisyi udzielić?

— Ja sam nie chciałem.

Kisiel znów spojrział na młodego rycerza, poczem nastąpiło milczenie, które przerwał dopiero kasztelan kijowski:

— Wszystkim nam, którzyśmy z księciem służyli, znane są nieszczęścia tego kawalera, nad którymśmy niejedną kroplę z oczu uronili; a że wolał, póki była wojna, ojczyźnie służyć, zamiast swego

dobra patrzeć, tem to chwalebniej z jego strony. Rzadki to jest przykład w dzisiejszych zepsutych czasach.

— Jeśli się pokaże, że moje słowo u Chmielnickiego coś znaczy, to wierzaj mi waszmość, że go nie pożałuję w waścinej sprawie — rzekł Kisiel.

Skrzetuski skłonił się znowu.

— Idź-że teraz spocznij — mówił łaskawie wojewoda — bo musisz być znużon niemało, jak i my wszyscy, którzy chwili spokoju nie mamy.

— Ja go do swojej stancyi zabiorę, to mój powinowaty — rzekł łowczy Krzetowski.

— Pójdźmy i my wszyscy na spoczynek; kto wie czy następnej nocy będziemy spalili! — rzekł Brzozowski.

— Może snem wiecznym — zakończył wojewoda.

To rzekłszy, udał się do alkierza, przy którego drzwiach czekał już pacholek, a za nim rozeszli się i inni. Łowczy Krzetowski prowadził Skrzetuskiego do swej kwatery, która była o kilka domów dalej. Pacholek z latarką szedł przed nimi.

— Jakaż to noc ciemna i zawieja coraz większa! — mówił łowczy. — Ej, panie Janie, cośmy za chwilę dziś przeżyli! myślałem, że sąd ostateczny blisko. Czerń prawie nam nóż na gardle trzymała. Bryzowskiemu ręce ustawały. Jużemy się żegnać zaczęli.

— Byłem między czernią — odrzekł Skrzetuski. — Jutro na wieczór czekają nowej watahy zbójców, której dali znać o was. Jutro trzeba koniecznie stąd wyruszyć. Wszakże do Kijowa jedziecie?

— Zależy to od responsu Chmielnickiego, do którego książę Czetwertyński pojechał. Oto moja stancya; wejdź, proszę, panie Janie, kazałem wina zagrać, to się posilimy przede snem.

Weszli do izby, w której na kominie palił się potężny ogień. Dymiące wino stało już na stole. Skrzetuski chwycił z chciwością za szklanicę.

— Od wczoraj nie miałem nic w gębie—rzekł.

— Wymizerowanyś strasznie. Widać i boleść i trudy cię stoczyły. Ale mów mi jeno o sobie, boć ja przecie wiem o twojej sprawie — to kniaziówny tam między nimi szukać zamysłasz?

— Albo jej, albo śmierci! — odparł rycerz.

— Łatwiej śmierć znajdziesz; skądże wiesz, że kniaziówna tam być może? — pytał dalej łowczy.

— Bom jej gdzieindziej już szukał.

— Gdzie tak?

— Wedle Dniestru, aż do Jahorlika. Jeździłem z kupcami ormiańskimi, bo były wskazówki, że tam ukryta; byłem wszędzie, a teraz do Kijowa jadę, gdyż tam ją miał Bohun odwiedzić.

Zaledwie porucznik wymówił nazwisko Bohuna, gdy łowczy porwał się za głowę.

— Na Boga! — wykrzyknął — toż ja ci najważniejszej rzeczy nie mówię. Słyszałem, że Bohun zabit. Skrzetuski pobladł.

— Jak to? — rzekł. — Kto to powiadał?

— Ów szlachcic, który to raz już kniaziównę ocalił, co to pod Konstantynowem tyle dokazywał, ten mnie mówił. Spotkałem go, gdy do Zamościa jechał. Minęliśmy się w drodze. Ledwie go spytał co słyhać: odpowiedział mi, że Bohun zabit. — Pytam: a kto zabił? — odpowie: „Ja“ — na temesmy się rozjechali.

Płomień, który rozpalił się w twarzy Skrzetuskiego, zgasł nagle.

— Ten szlachcic — rzekł — rad klimkiem rzuci. Jemu nie można wierzyć. Nie! nie! Nie potrafiłby on zabić Bohuna.

— A tyżeś się nie widział z nim, panie Janie? bo i to sobie przypominam, że mówił mi, iż do ciebie do Zamościa jedzie.

— W Zamościu nie doczekałem się go. Musi on być teraz w Zbarażu, ale mnie pilno było komisyę dogonić, więcem z Kamieńca nie na Zbaraż wracał i nie widziałem go wcale. Bóg jeden raczy wiedzieć, czy i to prawda, co on mnie w swoim czasie o niej powiadał, jakoby podsłuchał, w niewoli u Bohuna będąc, że za Jampolem ją ukrył, a potem miał ją do Kijowa na ślub wieść. Może i to nieprawda, jako i wszystko co Zagłoba mówił.

— Pocóż tedy do Kijowa jedziesz?

Skrzetuski zamilkł; przez chwilę słysząc było tylko świst i wycie wiatru.

— Bo — rzekł łowczy, przykładając palec do czoła — bo jeśli Bohun nie zabił, to możesz snadnie wpaść mu w ręce.

— Po to ja i jadę, by jego znaleźć! — odparł głucho Skrzetuski.

— Jak to?

— Niechże będzie sąd Boży między nami.

— Aleć on do walki z tobą nie stanie, jeno poprostu weźmie cię w łyka i żywota zbawi, lub Tatarom zaprzeda.

— Z komisarzami jestem, w ich asystencyi.

— Daj Bóg, abyśmy własne gardła wynieśli, a cóż mówić o asystencyi!

— Komu życie ciężkie, ziemia będzie lekka.

— Bój-że się Boga, Janie, tu nie o śmierć wreszcie chodzi, bo ta nikogo nie minie, ale oni cię mogą na galery tureckie zaprzedać.

— Zali myślisz, panie łowczy, że mi będzie gorzej, niż jest?

— Widzę, żeś desperat, w miłosierdzie Boże nie ufasz.

— Mylisz się, panie łowczy! Mówię, że mi źle na świecie, bo tak jest, ale z wolą Bożą dawno się pogodziłem. Nie proszę, nie jęczę, nie przeklinam, łbem o ścianę nie tłukę, chcę jeno spełnić co do mnie należy, póki mi sił i życia staje.

— Ale cię boleść jako trucizna trawi.

— Bóg dał po to boleść, by trawiła, a lek ześle, kiedy sam zechce.

— Nie mam co rzec na takowy argument — rzekł łowczy. — W Bogu jedyny ratunek, w Bogu nadzieja, dla nas i dla całej Rzeczypospolitej. Pojechał król do Częstochowy, może też u Najświętszej Panny co wskóra, inaczej zginiemy wszyscy.

Nastała cisza, z za okien tylko dochodziło przeciągle: „Wer da?“ dragońskie.

— Tak, tak! — mówił po chwili łowczy. — Wszyscy my więcej do umarłych, niż do żywych należymy. Zapomnieli już ludzie śmiać się w tej Rzeczypospolitej, jeno jęczą, jako ten wicher w kominie. Wierzyłem i ja, że nastaną lepsze czasy, pókim tu razem z innymi nie przyjechał, ale widzę teraz, że płonna to była nadzieja. Ruina, wojna, głód, mordy i nic więcej, nic więcej!

Skrzetuski milczał; płomień ogniska, palącego się w kominie, oświecał twarz jego wychudłą i surową.

Wreszcie podniósł głowę i rzekł poważnym głosem:

— Doczesność to wszystko, która upływa, przemija, i nic się po niej nie zostaje.

— Mówisz jak mnich — rzekł pan łowczy.

Skrzetuski nie odpowiedział; wicher tylko jęczał coraz żałośniej w kominie.

ROZDZIAŁ XVII.

Nazajutrz rano opuścili komisarze, a z nimi i pan Skrzetuski, Nowosiółki, ale była to podróż opłakana, w której na każdym postoj, w każdym miasteczku groziła im śmierć, a wszędy spotykały gorsze od śmierci zniewagi, w tem właśnie gorsze, że komisarze wieźli w osobach swych powagę i majestat Rzeczypospolitej. Pan Kisiel rozchorzał tak, iż na wszystkich noclegach wnoszono go na saniach do domów i piekarni. Podkomorzy lwowski łzami się zalewał nad hańbą swoją i ojczyzny; kapitan Bryszowski również rozchorzał od bezsenności i pracy, więc miejsce jego zajął pan Skrzetuski i prowadził dalej ów nieszczęsny orszak, wśród nacisku tłumów, obelg, groźb, szarpaniny i bitew.

W Białogrodzie znów zdawało się komisarzom, że ostatnia ich godzina nadeszła. Pospólstwo pobiło chorego Bryszowskiego, zamordowało pana Gniazdowskiego—i tylko przybycie metropolity na rozmowę z wojewodą wstrzymało rzeź już przygotowaną. Do Kijowa nie chciano wcale wpuścić komisarzy. Książę Czetwertyński wrócił 11 lutego od Chmielnickiego bez żadnej odpowiedzi. Komisarze nie wiedzieli, co dalej czynić, gdzie się obrócić. Powrót

zagroziły im ogromne watahy, czekając tylko na zerwanie układów, aby wymordować poselstwo. Tłuszcza rozzuchwalała się coraz bardziej. Chwymano za lejce konie dragonńskie i tamowano drogę; rzucano kamienie, kawały lodu i zmarzłe grudy śniegu do sani wojewody. W Gwozdowej, Skrzetuski i Doniec musieli stoczyć krwawą bitwę, w której rozpędzili kilkaset czerni. Wyjechali znów chorąży nowogrodzki i Śniarowski z perswazyą do Chmielnickiego, by na komisyę do Kijowa przybył, ale wojewoda małą miał nadzieję, ażeby mogli żywi do niego dojechać. Tymczasem w Chwastowie musieli komisarze z założonemi rękoma patrzeć na tłumy, mordujące jeńców obojej płci i wszelkiego wieku, których topiono w przeręblach, polewano wodą na mrozie, bodzono widłami, lub obstrugiwano żywcem nożami. Takich dni upłynęło ośmnaście, nim przyszła nakoniec odpowiedź od Chmielnickiego, że do Kijowa przyjechać nie chce, ale w Perejaśławiu czeka na wojewodę i komisarzy.

Odetchnęli tedy nieszczęśni wysłańcy, sądząc, że skończyła się już ich męka; jakoż przeprawiwszy się przez Dniepr w Trypolu, udali się na noc do Woronkowa, z którego sześć tylko mil było do Perejaśławia. Wyjechał naprzeciw nich o pół mili Chmielnicki, chcąc niby cześć poselstwu królewskiemu okazać, ale jakże zmieniony od owych czasów, w których się za ukrzywdzonego podawał — *quantum mutatus ab illo!* — jak słusznie pisał wojewoda Kisiel.

Wyjechał bowiem w kilkadziesiąt koni, z pułkownikami, esaulami i muzyką wojskową, pod zna-

kiem, buńczukiem i czerwoną chorągwią, jakby książę udzielnny. Orszak komisarski zatrzymał się natychmiast, on zaś, przyskoczywszy do naczelných sani, w których jechał wojewoda, patrzył czas jakiś w jego sędziwe oblicze, poczem uchylił trochę kołpaka i rzekł:

— Czołem wam, panowie komisary, i tobie, wojewodo. Lepiej było dawniej zacząć ze mną traktaty, kiedy ja był mniejszy i siły własnej nie znał, ale że was korol do mene przisław, tak was wdzięcznem sercem w mojej ziemi przyjmuję.

— Witaj, mości hetmanie! — odrzekł Kisiel. — Król jegomość posłał nas, byśmy ci jego łaskę ofiarowali i sprawiedliwość wyrządzili.

— Za łaskę dziękuję, a sprawiedliwość już ja sam sobie, ot tem, na waszych szyjach wyrządził — (tu uderzył się po szabli) — i dalej wyrządź, jeśli mnie nie ukontentujecie.

— Nie uprzejmie nas witasz, mości hetmanie zaporoski, nas, wysłańców królewskich.

— Ne budu howoryty na moroże, będzie na to lepszy czas — odparł szorstko Chmielnicki. — Puszczaj mnie, Kisielu, do swoich sani, bo wam chcę cześć wyrządzić i razem jechać.

To rzekłszy, zsiadł z konia i zbliżył się do sani, Kisiel zaś usunął się ku prawej ręce, zostawiając wolną lewą stronę.

Widząc to, Chmielnicki zmarszczył się i krzyknął:

— A ty mnie dawaj prawą rękę!

— Jam senator Rzeczypospolitej.

— A mnie co senator! Pan Potocki pierwszy senator i hetman koronny, a ja go mam w łękach

razem z innymi i jutro, jeśli zechcę, na pal wbie-
każę.

Rumieńce wystąpiły na białe policzki Kisiela.

— Osobę króla tu przedstawiam!!

Chmielnicki zmarszczył się jeszcze mocniej, ale się pohamował i siadł po lewej stronie, mruczając:

— Naj korol bude w Warszawie, a ja na Rusi. Nie dość ja widzę na karki wam nastąpił.

Kisiel nie odrzekł nic, jeno oczy podniósł ku niebu. Miał on już przedsmak tego, co go czekało, i słusznie pomyślał w tej chwili, iż jeśli droga do Chmielnickiego była Golgotą, to posłowanie przy nim męką samą.

Konie ruszyły do miasta, w którym grzmiało dwadzieścia dział i były wszystkie dzwony. Chmielnicki, jakby w obawie, by komisarze nie poczytali tych odgłosów za cześć wyłącznie im wyrządzoną, rzekł do wojewody:

— Tak ja nietylko was, ale i innych posłów przyjmował, których do mnie przysłano.

I Chmielnicki mówił prawdę — istotnie bowiem poprzysyłano już do niego, jakby do udzielnego księcia, poselstwa. Wracając się z pod Zamościa, pod wrażeniem elekcyi i klęsk, przez litewskie wojska zadanych, nie miał hetman w sercu ani połowy tej pychy, ale gdy Kijów wyszedł naprzeciw niego ze światłem i chorągwiami, gdy akademie witała go: *Tamquam Moysem, servatorem, salvatorem, liberatorem, populi de servitute lechica et bono omine Bohdan*—od Boga dany—gdy wreszcie nazwano go i *illustrissimus princeps* — tedy, wedle słów współczesnych: „podniosła

się tem bestya.“ Poczul istotnie swoją siłę i grunt pod nogami, jakiego dotąd mu nie dostawało.

Poselstwa zagraniczne były milczącym uznaniem zarówno jego potęgi, jak udzielnosci: stała przyjaźń Tatarów, opłacana większością zdobytych łupów i nieszczęsnym jasyrem, który ten wódz ludowy z ludu wybierać pozwolił—obiecowała poparcie przeciw każdemu nieprzyjacielowi; dlatego to Chmielnicki, uznający jeszcze pod Zamościem zwierzchnictwo i wolę królewską, obecnie wbity w pychę, przekonany o swej sile, o nieładzie Rzplitej, niedołęstwie jej wódzów, gotów był i na samego króla podnieść rękę, marząc już teraz w posępnej swej duszy nie o swobodach kozackich, nie o powrocie dawnych przywilejów Zaporozża, nie o sprawiedliwości dla siebie, lecz o państwie udzielnem, o czapce książęcej i berle.

I czuł się panem Ukrainy. Zaporozże stało przy nim, bo nigdy pod nieczyją buławą nie nurzało się tak we krwi i zdobyczy; dziki z natury lud garnął się do niego, bo gdy chłop mazowiecki lub wielkopolski bez szemrania dźwigał owo brzemie przewagi i ucisku, jakie w całej Europie nad „potomkami Chama“ ciążyło, Ukrainiec razem z powietrzem stepów wciągał w siebie miłość swobody tak nieograniczonej, i dzikiej, i bujnej, jak stepy same. Zali mu wola była chodzić za pańskim pługiem, gdy mu wzrok ginął w Bożej, nie pańskiej pustyni, gdy z za porohów Sicz wołała na niego: „Kiń pana i chodź na wolę!“ — gdy Tatar srogi uczył go wojny, przyzwyczajał oczy jego do pożogi i mordy, a ręce do broni? Zali nie było mu lepiej u Chmiela buszować i „paniw ryzaty“ niż grzbiet hardy giąć przed podstarościem?...

A oprócz tego lud garnał się do Chmiela, bo kto się nie garnał, w jasyr szedł. W Stambule za dziesięć strzał dawano niewolnika, za łuk w ogniu prażony trzech, taka była ich mnogość. Więc czerń nie miała wyboru — i jeno pieśń dziwna po owych czasach została, którą długo potem następne pokolenia po chatach śpiewały, pieśń dziwna, o owym wodzu, Mojżeszem zwanym: „Oj, szczoob toho Chmila pierwsza kula ne mynuła!“

Niknęły miasteczka, miasta i wsie, kraj zmienił się w pustkę i w ruinę, jedną ranę, której wieki nie mogły wygoić — ale ów wódz i hetman tego nie widział czy nie chciał widzieć — bo on nigdy nic poza sobą nie widział — i rósł, i tuczył się krwią, ogniem, we własnem potwornem samolubstwie utopił własny lud, własny kraj — i oto wwoził teraz komisarzy do Perejaśławia przy huku dział i biciu we dzwony, jak udzielny pan, gospodar, książ.

Jechali do jaskini lwa, zwiesiwszy głowy, komisarze, i resztki nadziei w nich gasły, a tymczasem Skrzetuski, jadąc poza drugim szeregiem sani, pilno rozpatrywał twarze pułkowników przybyłych z Chmielnickim, czy nie ujrzy między nimi Bohuna. Po bezowocnych poszukiwaniach nad Dniestrem, aż za Jahorlik, oddawna w duszy pana Jana dojrzał zamiar, jako ostatni jedyny sposób: wyszukania Bohuna i wyzwania go na walkę śmiertelną. Wiedział wprawdzie nieszczęsny rycerz, że w takim hazardzie Bohun może go bez walki zgładzić, lub Tatarom oddać, ale lepiej o nim tuszył: znał jego męstwo i szaloną odwagę i prawie był pewien, że mając wybór, Bohun do walki o kniaziównę stanie. Więc układał

sobie w swej rozdarłej duszy cały plan, jako przysięgą Bohuna związę, że na wypadek swej śmierci, pozwoli Helenie odjechać. O siebie już pan Skrzetuski nie dbał i przypuszczając, że Bohun powie: „Jeśli zginę, tak ona ani dla mnie, ani dla ciebie,“ gotów był i na to pozwolić i poprzysiądz ze swej strony, byle ją z wrażliwych rąk wyrwać. Niechby w klasztorze szukała na resztę żywota spokoju, onby go naprzód w wojnie, a potem, jeśliby poledz nie przyszło, również pod habitem poszukał, tak, jak go poprostu szukały w owych czasach wszystkie dusze bolejące. Droga zdawała się Skrzetuskiemu prosta i jasna, a gdy mu pod Zamościem myśl walki z Bohunem raz poddano, gdy poszukiwania w naddniestrzańskich komyszach zawiodły — droga ta wydała się jedyną. Tym celem, z nad Dniestru jednym tchem, nigdzie nie spoczywając, do komisarzy dążył, spodziewając się albo w otoczeniu Chmielnickiego, albo w Kijowie znaleźć niechybnie Bohuna, tembardziej, że wedle tego, co w Jarmolińcach mówił Zagłoba, watażka do Kijowa na ślub przy trzystu świecach miał zjechać.

Ale próżno Skrzetuski szukał go teraz między pułkownikami. Znalazł natomiast wielu jeszcze z dawniejszych, spokojnych czasów znajomych, jak Dziedziałę, którego w Czehryniu widywał, jak Jaszewskiego, który od Siczy do księcia posłował, jak Jarosza, dawnego księcia setnika, i Naokoło-palca, i Hruszę, i wielu innych, więc postanowił się ich pytać.

— To my dawni znajomi! — rzekł, zbliżając się do Jaszewskiego.

— Ja ciebie w Łubniach znał, ty kniazia Ja-

remy łycar — odpowiedział pułkownik. — My w Łubniach pili razem i hulali. A co twój kniaź porabia?

— Zdrow.

— Na wiosnę nie będzie on zdrow. Oni się z Chmielnickim jeszcze nie spotkali, ale się spotkają i musi jednemu pójść na pohybell

— Komu Bóg przysądzi.

— No, Bóg na naszego bat'ka Chmiela łaskaw. Już twój kniaź na Zadnieprze, na swój tatarski brzeg nie wróci. U Chmielnickiego bohato mołojców, a u kniazia co? Szczery on żołnir. A ty już nie u kniazia w chorągwi?

— Z komisarzami jadę.

— No, ja rad, że ty stary znajomy.

— Jeśliś ty rad, to ty mnie przysługę oddaj, a ja ci wdzięczen będę.

— Jaką przysługę?

— Powiedz ty mi, gdzie jest Bohun, ten sławny ataman, dawniej z Perejasławskiego pułku, który dziś musi już między wami wyższą pewnie mieć szarżę.

— Milcz! — odpowiedział groźnie Jaszewski. — Szczęście twoje, że my starzy znajomi, i że ja pił z tobą, bo inaczej jużby ja ciebie tym oto buzdyganem na śniegu rozciągnął.

Skrzetuski spojrział na niego zdumiony, ale jako był człowiek prędkiej rezolucyi, więc buławę w rękę ścisnął.

— Czyś oszalał?

— Nie oszalał ja, ani ci nie chcę grozić, jeno taki jest rozkaz Chmiela, iż jeśli by ktokolwiek z was, choćby który z komisarzy, o co spytał — żeby go na miejscu ubić. Nie uczynię ja tego, to inny uczyni, dlatego ostrzegam cię z życzliwością.

— Toż ja w swojej prywatnej sprawie pytam.

— No, wszystko jedno. Chmiel rzekł nam pułkownikom i kazał innym powtórzyć: „Choćby który o drwa do pieca, albo o potaż pytał, ubić go.“ Ty to powtórz swoim.

— Dziękuję ci za dobrą radę!—rzekł Skrzetuski.

— Ciebie jednego ja przestrzegł, a innego Lacha pierwszyby rozciągnął.

Umilkli. Już też orszak dotarł do bram miasta. Oba boki drogi i ulice roiły się od czerni i zbrojnego kozactwa, które ze względu na obecność Chmielnickiego nie śmiało rzucać przekleństw i brył śniegu do sani, ale które spoglądało ponuro na komisarzy, ściskając pięście, lub głównie szabel.

Skrzetuski, sformowawszy we czwórki dragonów, podniósł głowę i dumnie a spokojnie jechał przez szeroką ulicę, nie zwracając najmniejszej uwagi na groźne spojrzenia tłumów — w duszy tylko myślał, jak wiele potrzeba mu będzie zimnej krwi, zaparcia się siebie i chrześcijańskiej cierpliwości, by tego, co zamierzył, dokonać i nie utonąć po pierwszym kroku w tem morzu nienawiści.

ROZDZIAŁ XVIII.

Następnego dnia długie były rozmowy komisarzy między sobą, czy dary królewskie wręczyć Chmielnickiemu natychmiast, czy też czekać, dopóki by większej pokory i jakowejś skruchy nie okazał. Stało na tem, żeby go ująć ludzkością i łaską królewską, zapowiedziano więc wręczenie darów — i nazajutrz odbył się ów akt uroczysty.

Od rana biły dzwony i grzmiały działa. Chmielnicki czekał przed swym dworem wśród pułkowników, wszelkiej starszyny i nieprzeliczonych tłumów kozactwa i czerni, chciał bowiem, żeby cały naród wiedział, jaką to go czią sam król otacza. Zasiadł więc pod znakiem i buńczukiem na podniesieniu w altembasowym czerwonym sobolim kopieniaku, mając przy sobie posłów sąsiednich, i wzięwszy się pod boki, nogi oparłszy na aksamitnej poduszce ze złotą frendzlą, czekał na komisarzy. W tłumach zgromadzonej czerni zrywały się co chwila szmery pochlebne i radosne na widok wodza, w którym tłum ów, ceniący nad wszystko siłę, widział uosobienie tej siły. Tak tylko bowiem imaginacja ludowa mogła sobie przedstawiać niezwalczonego swego szampierza, pogromcę hetmanów, duków, szlachty i w ogóle „Lachiw,” którzy aż do jego czasów byli okryci urokiem

niezwyciężoności. Chmielnicki przez ten rok bojów postarzał nieco, ale się nie pochylił; olbrzymie jego ramiona zdradzały zawsze siłę, zdolną przewracać państwa, lub tworzyć nowe; ogromna twarz, zaczerwieniona od nadużycia trunków, wyrażała wolę nieugiętą, dumę niepohamowaną i zuchwałą pewność, którą jej dały zwycięstwa. Groza i gniew drzemały w fałdach tej twarzy, i poznałeś łatwo, że gdy się rozbudzą, lud chyli się pod ich strasliwym tchnieniem, jak las pod burzą. Z oczu, okolonych czerwoną obwódką, strzelało mu już zniecierpliwienie, że komisarze nie przybywali z darami dość rychło, a z nozdrzy wychodziły na mrozie dwa kłęby pary, jak dwa słupy dymu z nozdrzy Lucypera — i w tej mgle własnych płuc siedział cały purpurowy, posępny, dumny, obok posłów, wśród pułkowników, mając naokół morze czerni.

Aż wreszcie pokazał się orszak komisarski. Na czele szli dobosze, bijący w kotły, oraz trębacze z trąbami przy ustach i wydętymi policzkami, bębniąc i wydobywając z mosiądzu długie, żałosne głosy, jakoby na pogrzebie sławy i godności Rzplitej. Za ową kapelą niósł łowczy Krzetowski buławę na aksamitnej poduszce, Kulczyński, skarbnik kijowski, czerwoną chorągiew z orłem i napisem, a dalej Kisiel szedł samotnie, wysoki, szczupły, z białą brodą, spływającą na piersi, z cierpieniem w arystokratycznej twarzy i bólem bezdennym w duszy. O kilka kroków za wojewodą wlokła się reszta komisarzy, a orszak zamykała dragonia Bryszowskiego pod Skrzetuskim.

Kisiel szedł wolno, bo oto w tej chwili ujrzał jasno, że z poza podartego łachmana układów, z pod pozorów ofiarowania łaski królewskiej i przebaczenia,

inna, naga, ohydna prawda wygląda, którą ślepi nawet ujrzą, głusi usłyszą, bo krzyczy: „Nie idziesz ty, Kisielu, łaski ofiarować, ty idziesz o nią prosić, ty idziesz ją kupić za tę buławę i chorągiew, a idziesz pieszko do nóg tego chłopskiego wodza, w imieniu całej Rzplitej, ty senator i wojewoda...” Więc rozdzierała się dusza w panu z Brusilowa, i czuł się tak lichym, jak robak, i tak niskim, jak proch, a w uszach huczały mu słowa Jeremiego: „Lepiej nam nie żyć, niż żyć w niewoli u chłopstwa i pogaństwa.” Czemże on, Kisiel, był w porównaniu z tym kniazem z Łubniów, który nieinaczej ukazywał się rebelii, jeno jak Jowisz ze zmarszczoną brwią, wśród zapachu siarki, płomieni wojny i dymów prochu, czemże on był? Pod ciężarem tych myśli złamało się serce wojewody, uśmiech odleciał na zawsze z jego twarzy, radość na wieki z jego serca, i czuł, że wolałby stokroć umrzeć, niż krok jeszcze jeden postąpić; ale szedł, bo pchała go naprzód cała jego przeszłość, wszystkie prace, usiłowania, cała nieubłagana logika jego poprzednich czynów...

Chmielnicki czekał na niego wsparty pod boki, z wydętymi usty i namarszczoną brwią.

Orszak zbliżył się nakoniec. Kisiel, wysunąwszy się naprzód, postąpił kilka kroków aż do podniesienia. Dobosze przestali bębnić, trębacze trąbić — i nastąpiła wielka cisza w tłumach, jeno powiew mroźny łopotał czerwoną chorągiew, niesioną przez p. Kulczyńskiego.

Nagle ciszę tę przerwał głos jakiś krótki, donośny a rozkazujący, który zabrzmiał z niewypowiedzianą siłą desperacyi, nie liczącej się z niczem i z nikim:

— Dragonia w tył! za mną!

Był to głos pana Skrzetuskiego.

Wszystkie głowy zwróciły się w jego stronę. Sam Chmielnicki podniósł się nieco na siedzeniu, aby zobaczyć, co się dzieje: komisarzom krew uciekła z twarzy. Skrzetuski stał na koniu, wyprostowany, blady, z iskrzącymi oczyma i gołą szablą w ręku i nawpół zwrócony ku dragonom, powtórzył raz jeszcze grzmiący rozkaz:

— Za mną...

Wśród ciszy kopyta końskie zakołatały po umiecionej grudzie ulicznej. Wyćwiczeni dragoni zwrócili na miejscu konie, porucznik stanął na ich czele, dał znak mieczem i cały oddział ruszył z wolna, napowrót ku domowstwu komisarzy.

Zdziwienie i niepewność odmalowały się na wszystkich twarzach, nie wyłączając i Chmielnickiego, albowiem w głosie i ruchu porucznika było coś nadzwyczajnego, nikt jednak dobrze nie wiedział, czy to oddalenie się nagle eskorty nie należało do ceremoniału uroczystości. Jeden Kisiel zrozumiał wszystko, zrozumiał, że i traktaty i życie komisarzy, razem z eskortą, zawisło w tej chwili na włosku, więc wstąpił na podniesienie, i nim Chmielnicki zdolał pomyśleć, co się stało, zaczął przemowę...

Począł więc od ofiarowania łaski królewskiej Chmielnickiemu i całemu Zaporozu, ale wnet mowa jego została przerwana nowem zajściem, które tę tylko miało dobrą stronę, że całkiem odwróciło uwagę od poprzedniego: oto Dziedziała, stary pułkownik, stojąc wedle Chmielnickiego, począł potrząsać buławą na wojewodę, i rzucać się i krzyczyć:

— Co tam mówisz, Kisielu! Król jako król, ale wy królewietą, kniaziowie, szlachta, nabroiliście mnogo.

I ty, Kisielu, kość z kości naszych, odczepiłeś się od nas, a z Lachy przestajesz. Dosyć nam twego gadania, bo szablą dostaniem, czego nam trzeba.

Wojewoda spojrział ze zgorzleniem w oczy Chmielnickiego.

— W takiej to ryzie, hetmanie, utrzymujesz swoich pułkowników?

— Milcz, Dziedziała! — zawołał hetman.

— Milcz, milcz! Upił się, choć rano! — powtórzyli inni pułkownicy. — Poszedł precz, bo za łeb wyciągnięciem.

Dziedziała chciał dłużej huczeć, ale istotnie schwytano go za kark i wyrzucono za koło.

Wojewoda mówił dalej gładkimi i wybornemi słowy, pokazując Chmielnickiemu, jak wielkie bierze upominki—bo znak władzy prawej, którą dotąd jako przywłaszczyciel jeno piastował. Król, mogąc karać, woli mu przebaczyć, co czyni dla posłuszeństwa, jakie pod Zamościem okazał—i dlatego, że poprzednie przestępstwa nie za jego były spełnione panowania. Słuszna więc, aby on, Chmielnicki, tak wiele przedtem zgrzeszywszy, wdzięcznym się teraz za łaskę i klemencję okazał, krwi rozlewu zaprzestał, chłopstwo uspokoił i do traktatów z komisarzami przystąpił.

Chmielnicki przyjął w milczeniu buławę i chorągiew, którą rozwinać nad sobą wnet rozkazał. Czerń na ten widok zawyla radosnymi głosami, tak, że przez chwilę nic nie było słyhać.

Pewne zadowolenie odbiło się na twarzy hetmana, który, poczekawszy chwilę, rzekł:

— Za tak wielką łaskę, którą mi król jegomość

przez wasze moście pokazał, że i władzę nad wojskiem przysłał, i przeszłe moje przestępstwa przebacza, uniżenie dziękuję. Zawsze to ja mówił, że król ze mną przeciw wam, nieszczerym dukom i królewicom, trzyma, a najlepszy dowód, że kontentację mnie przysłała za to, że ja wam szyje ucinał — tak i dalej będę ucinał, jeżeli mnie i króla słuchać we wszystkim nie będziecie.

Ostatnie słowa wymówił Chmielnicki podniesionym głosem, łajając i marszcząc brwi, jak gdyby gniew poczynął w nim wzbierać, a komisarze zdrętwieli na tak niespodziany obrót jego odpowiedzi. Kisiel zaś rzekł:

— Król ci, mości hetmanie, krwi przelewu nakazuje poprzestać i traktaty z nami począć.

— Krew nie ja wylewam, jeno litewskie wojsko — odparł szorstko hetman — bo mam wiadomość, że mi Radziwiłł mój Mozyr i Turów wyciął, co jeśli się sprawdzi, dosyć mam waszych jeńców, i znacznych: wnet im szyje każę poucinać. Do traktatów teraz nie przystąpię. Komisya trudno się teraz ma zacząć, bo wojska w kupie niemasz, jeno garść pułkowników przy mnie, a reszta w zimownikach; bez nich nie mogę zaczynać. Zresztą poco gadać dłużej na mrozie? Co wy mnie mieli oddać, to oddali, i wszyscy to widzieli, że ja już hetman z ramienia królewskiego, a teraz chodźcie do mnie na górzałkę, na obiad, bom głodny.

To rzekłszy, Chmielnicki ruszył ku swemu dworcowi, a za nim komisarze i pułkownicy. W wielkiej środkowej izbie stał nakryty stół, uginający się pod srebrem zdobycznem, między którem wojewoda Kisiel byłby może znalazł i swoje własne, porabowane ze-

szłego lata w Huszczy. Na stole piętrzyły się góry świniny, wołowiny i tatarskiego pilawu, w całej zaś izbie pachniała wódka, prośnianka, nalana w srebrne konwie. Chmielnicki zasiadł, posadziwszy po swej prawej ręce Kisiela, po lewej kasztelana Brzozowskiego, i ukazawszy ręką gorzałkę, rzekł:

— W Warszawie mówią, że ja krew lacką piję, ale wolę ja horyłku, tamtą psom zostawiając.

Pułkownicy wybuchnęli śmiechem, od którego zatrzęsły się ściany izby.

Taki to „antypast“ dał komisarzom hetman przed swym obiadem, a komisarze połknęli go, nic nie mówiąc, żeby — jak pisał podkomorzy lwowski — „bestyi nie drażnić.“

Pot jeno obfity uperlił blade czoło Kisiela.

Ale rozpoczął się poczęstunek. Pułkownicy brali z półmisków rękoma kawały mięsiwa. Kisielowi i Brzozowskiemu nakładał je na misy sam hetman i początek obiadu upłynął w milczeniu, bo każdy głód nasyczał. W ciszy słychać było tylko chrupanie i trzask kości w zębach biesiadników, lub grzdykanie pijących; czasem rzucił ktoś jakie słowo, które pozostawało bez echa. Dopiero pierwszy Chmielnicki, podjadłszy i wychyliwszy kilka szklanic prośnianki, zwrócił się nagle do wojewody i spytał:

— Kto u was prowadził konwój?

Niepokój odbił się na twarzy Kisiela.

— Skrzetuski, zacny kawaler — rzekł.

— Ja jeho znaju — rzekł. — A czemuż to on nie chciał być przy tem, jak wy mnie dary wręczali?

— Bo nie dla asysty on był nam przydany, jeno dla bezpieczeństwa, i taki miał rozkaz.

— A kto jemu dał taki rozkaz?

— Ja—odparł wojewoda—bom nie myślał, aby to przystojnie było, żeby przy wręczaniu darów dragoni nam i wam nad karkiem stali.

— A ja co innego myślał, bo wiem, że u tego żołnierza twardy kark.

Tu wtrącił się do rozmowy Jaszewski.

— Już my się dragonów ne boimo — rzekł. — Silni nam nimi byli Lachowie dawniej, ale doznaliśmy pod Piławcami, że nie oni to Lachowie, co przedtem bywali i bijali Turki, Tatary i Niemcy...

— Nie Zamojscy, Żółkiewscy, Chodkiewiczowie, Chmieleccy i Koniecpolscy — przerwał Chmielnicki — ale Tchorzowscy i Zajączkowscy, detyny w żelazo poubierane. Pomarli od strachu, skoro nas ujrżeli, i pouciekali, choć Tatar więcej nie było zrazu we środe, tylko trzy tysiące...

Komisarze milczeli, jeno jadło i napój wydawały im się coraz bardziej gorzkie.

— Pokornie proszę, jedzcie i pijcie — rzekł Chmielnicki — bo będę myślał, że nasza prosta strawa kozacka przez wasze pańskie gardła przejść nie chce.

— Jeśli mają za ciasne, tak możeby im poprzeczynać! — zawołał Dziedziała.

Pułkownicy podochoceni już mocno wybuchnęli śmiechem, ale Chmielnicki spojrzał groźnie, i uciszyło się znowu.

Kisiel, schorzały od kilku dni, błydy był jak giezło, Brzozowski tak czerwony, iż zdawało się, że mu krew tryśnie z twarzy.

Nakoniec nie wytrzymał i huknął:

— Zaliśmy tu na obiad, czy na zniewagi przyszli?

Na to Chmielnicki:

— Wy na traktaty przyjechali, a tymczasem litewskie wojska palą i ścinają. Mozyr i Turów mi wysiekli, co jeśli się sprawdzi, tedy czterystu jeńcom w oczach waszych szyje uciąć każę.

Brzozowski pohamował krew, jeszcze przed chwilą kipiącą. Tak było! życie jeńców zależało od humoru hetmana, od jednego mrugnienia jego oka, więc trzeba było wszystko znosić i jeszcze łagodzić jego wybuchy, by go ad mitiorem et sanio rem mentem doprowadzić.

W tym duchu karmelita Łętowski, z natury łagodny i bojaźliwy, ozwał się cichym głosem:

— Bóg łaskawy da, że mogą się te nowiny z Litwy o Turowie i Mozyrze odmienić.

Ale zaledwie skończył, Fedor Wieśniak, pułkownik czerkaski, przechylił się i buławą machnął, chcąc Karmelitę w kark grzmotnąć; na szczęście, nie dosięgnął, bo ich czterech innych biesiadników przedzielało, ale natomiast zakrzyknął:

— Mowczy pope! ne twoje diło brechniu meni zadawaty! Chody no na dwir, nauczu ja tebe pułkowników zaporoskich szanowaty!

Inni wszelako porwali się go hamować, a nie mogąc tego dokazać, wyrzucili go za łeb z izby.

— Kiedy, mości hetmanie, życzysz, aby się komisyja zebrała? — pytał Kisiel, chcąc inny nadać zwrot rozmowie.

Na nieszczęście, i Chmielnicki nie był już trzeźwy, więc taką prędką i jadowitą dał odpowiedź:

— Jutro, ~~sprawa i rozprawa~~ będzie, bom teraz pijany! Co mnie tu o komisji prawicie, zjeść i wypić nie dajecie. Już mnie tego dosyć! Teraz wojna być musi — (tu grzmotnął pięścią w stół, aż podskoczyły misy i konwie). — W tych czterech niedzielach wszystkich was do góry nogami przewrócę i podepcę, a naostatek carzowi tureckiemu zaprzędam. Król królem będzie, aby ścinał szlachtę, duki, kniazie. Zhreszy kniaź, urezać mu szyję; zhreszy kozak, urezać mu szyję! Grozicie mi Szwedami, ale i oni mi nie zderżą. Tuhaj-bej na hawrani blisko mnie jest, brat mój, moja dusza, jedyny sokół na świecie, gotów wszystko uczynić zaraz, co ja zechcę.

Tu Chmielnicki, z właściwą pijanym nagłością, przeszedł od gniewu do rozczerwienia i aż głos zadrgał mu od łez w gardzieli na słodkie wspomnienie Tuhaj-beja.

— Wy chcecie, żeby ja na Turki i Tatary szablę podniósł, ale nic z tego! Na was ja pójdę z dobrymi druhami moimi. Jużem pułki obesłał, aby młójczy konie karmili i w drogę byli gotowi bez wozów, bez armaty; znajdę ja u Lachów to wszystko. Ktoby z kozaków wziął wóz, każę mu szyję urezać; i ja sam kolaski nie wezmę, chyba juki i sakwy i tak dojdę aż do Wisły i powiem: „Sedyte i mowczyte, Lachy!“ A będziecie z Zawisła krzykać, znajdę was i tam. Dosyć waszego panowania, waszych dragonów, gady wy przeklęte, samą nieprawdą żyjące!

Tu zerwał się z miejsca, rzucał od ławy, z czuprynę rwał, nogami bił w ziemię, krzycząc, że wojna musi być, bo on już na nią rozgrzeszenie i błogosławieństwo dostał, że nic mu po komisji i komisarzach, bo nawet na zawieszenie broni nie pozwoli.

Nakoniec widząc przerażenie komisarzy i przypomniawszy sobie, iż jeśli natychmiast odjadą, to wojna rozpocznie się w zimie, zatem w porze, gdy kozacy, nie mogąc się okopać, lichy biją się w otwartym polu, uspokoił się nieco i znów siadł na ławie. Głowę opuścił na piersi, ręce wsparł na kolanach i oddychał chrapliwie. Nakoniec znów porwał za szklankę wódki.

— Za zdrowie króla jegomości! — wykrzyknął.

— Na sławę i zdrowie! — powtórzyli pułkownicy.

— No, ty Kisilu, nie sumuj! — mówił hetman — i do serca nie bierz tego, co mówię, bom teraz pijany. Mnie worożychy mówiły, że wojna musi być, ale do pierwszej trawy poczekam, a potem niech będzie komisya, na którą więźniów wypuszczę. Mnie mówili, że ty chory, tak niech i tobie będzie na zdrowie.

— Dziękuję ci, hetmanie zaporoski! — rzekł Kisiel.

— Ty mój gość, ja o tem pamiętam.

To rzekłszy, Chmielnicki znowu wpadł w chwilowe rozczulenie i oparłszy ręce na ramionach wojewody, zbliżył swą ogromną czerwoną twarz do jego bladych, wychudłych policzków.

Za nim przychodzili inni pułkownicy i zbliżając się poufale do komisarzy, ściskali się z nimi za ręce, klepali ich po ramionach, powtarzali za hetmanem: „Do pierwszej trawy!“ Komisarze byli jak na mękach. Chłopskie oddechy, przesycone zapachem gorzałki, oblewały twarze tej szlachty wysokiego rodu, dla której owe uściski spoconych rąk były równie nieznośne, jak zniewagi. Nie brakło też i groźb wśród objawów grubijańskiej serdeczności.

Jedni wołali do wojewody: „My Lachiw chcemo rizaty, a ty nasz czołowik!“, — inni mówili: „A co wy, pany! dawniej bili nas, a teraz łaski prosiciel! Na pohybel-że wam, białoruczkom!“ Ataman Wowk, dawny młynarz w Nestewarze, krzyczał: „Ja kniazia Czetwertyńskoho, moho pana, zarizaw!“ „Wydajcie nam Jaremu! — wołał, taczając się, Jaszewski — a darujemy was zdrowiem!“

W izbie stał się zaduch i gorąco do niewytrzymania; stół, pokryty resztkami mięsiwa, okruciami chleba, poplamiony wódką i miodem, był ohydny. Weszły nakoniec worożychy, to jest czarownice, z którymi hetman zwykle do późna w noc dopijał, słuchając przepowiedni; dziwne postacie, stare, pokurczone, żółte, lub w sile młodości, wróżące z wosku, ziarn pszenicy, ognia, piany wodnej, z dna fiaski, lub z tłuszczu ludzkiego. Wnet między pułkownikami a młodszymi z nich rozpoczęły się gzy i śmiechy. Kisiel był blizki omdlenia.

— Dziękujemy ci, hetmanie, za ucztę i żegnamy cię — rzekł słabym głosem.

— Ja jutro do ciebie, Kisielu, na obiad przyjadę! — odpowiedział Chmielnicki — a teraz idźcie sobie. Doniec was z mołojcami do domów odprowadzi, żeby was od czerni jakowa przygoda nie spotkała.

Komisarze skłonili się i wyszli. Doniec z mołojcami czekał istotnie przed dworcem.

— Boże! Boże! Boże! — szepnął z cicha Kisiel, przykładając ręce do twarzy.

Orszak posunął się w milczeniu ku domowstwu komisarzy. Ale pokazało się, że już nie stoją w pobliżu siebie. Chmielnicki umyślnie powyznaczał im

kwatery w różnych częściach miasta, aby nie mogli się łatwo schodzić i naradzać.

Wojewoda Kisiel, zmęczony, wyczerpany, ledwie na nogach się trzymający, natychmiast położył się do łóżka i aż do następnego dnia nie chciał nikogo widzieć; dopiero przed południem kazał przywołać Skrzetuskiego.

— Coś waćpan uczynił najlepszego! — rzekł do niego — coś waćpan uczynił! Swoje i nasze życie na zgubę mogłeś narazić.

— JW. wojewodo, mea culpa! — odrzekł rycerz — ale mnie delirium porwało i wołałem sto razy zginąć, niż na takie rzeczy patrzeć.

— Chmielnicki poznał się na kontempcie. Za ledwie efferatam bestiam uspokoił i postęppek twój wytłómaczył. Ale on tu dziś ma być u mnie i pewno ciebie zapyta. Tedy mu powiedz, żeś miał rozkaz ode mnie, byś żołnierstwo odprowadził.

— Od dziś Bryszowski komendę bierze, bo zdrowszy.

— To i lepiej; za twardy masz waść kark na dzisiejsze czasy. Trudno nam co innego ganić w takowym postępku, prócz nieostrożności, ale to znać, żeś młody i bólu w piersi znieść nie umiesz.

— Do boleścim nawykł, jaśnie wielmożny wojewodo, jeno hańby znieść nie mogę.

Kisiel syknął z cicha, tak właśnie jak chory, którego ktoś w bolączkę uraził, poczem uśmiechnął się ze smutną rezygnacją i rzekł:

— Chleb to już powszedni dla mnie takie słowa, które dawniej łzami gorzkiemi oblewałem, spżywając, a teraz już mi i łez nie stało.

Litość wzbudziła w sercu Skrzetuskiego na widok tego starca z twarzą męczennika, który ostatnie dni życia pędził w podwójnem, bo duszy i ciała cierpieniu.

— JW. wojewodo! — rzekł. — Bóg mi świadek, że o czasiach tych strasznych myślałem, w których senatorowie i dygnitarze koronni czołem bić muszą przed hultajstwem, dla którego pał powinien być jedyną za postępkę zapłatą.

— Niech cię Bóg błogosławi, boś młody, uczciwy, i wiem, że nie miałeś złej intencji. Ale to, co ty mówisz, mówi twój książę, za nim wojsko, szlachta, sejmy, pół Rzeczypospolitej, i całe to brzemień wzgardy i nienawiści spada na mnie.

— Każdy służy ojczyźnie jak rozumie, niechże Bóg sądzi intencje, a co się tyczy księcia Jeremiego, ten ojczyźnie zdrowiem i majątnością służy.

— I chwała go otacza i w niej jako w słońcu chodzi — odrzekł wojewoda. — Tymczasem cóż mnie spotyka? O! dobrze mówisz: niech Bóg sądzi intencje i niech da choć grobowiec spokojny tym, którzy za życia cierpią nad miarę.

Skrzetuski milczał, a Kisiel podniósł w niemej modlitwie oczy w górę, po chwili zaś tak mówić począł:

— Jam Rusin, krew z krwi i kość z kości. Mogiły książąt Światodyczów w tej ziemi leżą, więcem ją kochał, ją, i ten lud Boży, który u jej piersi żywie. Widziałem krzywdy z obu stron, widziałem dziką swawolę Zaporozia, ale i pychę nieznosną tych, którzy ten lud wojenny schłopić chcieli, cóżem więc miał uczynić, ja, Rusin, a zarazem wierny syn i se-

nator tej Rzeczypospolitej? Otom przyłączył się do tych, którzy mówili: Pax vobiscum! bo tak ka-zała mi krew, serce, bo między nimi był król nieboszczyk, nasz ojciec, i kanclerz, i prymas, i wielu innych; bom widział, że dla obu stron rozbrat, to zguba. Chciałem po wiek żywota, do ostatniego tchnienia, dla zgody pracować, i gdy się krew już połała, myślałem sobie: będę aniołem pojednania. I poszedłem, i pracowałem, i jeszcze pracuję, chociaż w bólu, w męce, i w hańbie, i w zwątpieniu, prawie od wszystkiego straszniejszem. Bo, na miły Bóg! nie wiem teraz, czy wasz książę przyszedł z mieczem za wcześnie, czym ja z gałęzią oliwną za późno, ale to widzę, że rwie się robota moja, że już sił nie staje, że napróżno siwą głową o mur tłukę i że schodząc do grobu, widzę jeno ciemności przed sobą — i zgubę, o Boże wielki! — zgubę powszechną!

— Bóg ześle ratunek.

— O niech ześle takowy promień przed śmiercią moją, abym nie umarł w rozpacz—to jeszcze za wszystkie boleści Mu podziękuję, za ten krzyż, który za życia noszę, za to, że czerń woła o głowę moją, a na sejmach zdrajcą mnie nazywają, za moje mienie zagrabione, za hańbę, w której żyję, za całą tę gorzką nagrodę, jakąm z obu stron otrzymał!

To rzekłszy, wojewoda wyciągnął swe wyschłe ręce ku niebu — i dwie łzy wielkie, może naprawdę w życiu ostatnie, spłynęły mu z oczu.

Skrzetuski nie mógł już dłużej wytrzymać, ale rzuciwszy się na kolana przed wojewodą, chwycił jego rękę i rzekł przerywanym z wielkiego wzruszenia głosem:

— Jam żołnierz i idę inną drogą, ale zaśladze i boleści cześć oddawam.

To rzekłszy, ten szlachcic i rycerz z pod chorałgi Wiśniowieckiego, przycisnął do ust rękę tego Rusina, którego kilka miesięcy temu razem z innymi zdrajcą nazywał.

A Kisiel położył mu obie ręce na głowie.

— Synu mój! — rzekł cicho — niechże cię Bóg pocieszy, prowadzi i błogosławi, jak ja cię błogosławię.

Błędne koło układów rozpoczęło się jeszcze tego samego dnia. Chmielnicki przyjechał dość późno na obiad do wojewody i w najgorszym usposobieniu. Wnet oświadczył, że co wczoraj mówił o zawieszeniu broni, o komisji na Zielone Świątki i o wypuszczeniu jeńców na komisję, to mówił jako pijany, a teraz widzi, że chciano go w pole wywieść. Kisiel znów łagodził go, uspokajał, przekładał, racye dawał, ale była to wedle słów podkomorzego lwowskiego *surdo tyranno fabula dicta*. Poczynał też sobie hetman tak po grubijańsku, że komisarzom za wczorajszym Chmielnickim tęsknić przyszło. Pana Pozowskiego buławą uderzył za to tylko, że mu się nie w porę pokazał, mimo tego, że pan Pozowski śmierci i tak, jako wielce schorzały, był blizkim.

Nie pomagały ludzkość i ochota, ani perswazyje wojewody. Dopiero gdy sobie nieco gorzałką i wybornym miodem huszczańskim podchmieleł, wpadł w lepszy humor, ale też za nic już o sprawach publicznych nawet i wspomnieć sobie nie dał, mówiąc: „Mamy pić, to pijmy, zajutro sprawa i rozprawa,

a nie, to sobie pójdę! O godzinie trzeciej w nocy naparł się iść do sypialnej izby wojewody, czemu się tenże pod różnymi pozorami opierał, albowiem zamknął tam umyślnie Skrzetuskiego, wielce się obawiając, aby przy spotkaniu się tego nieugiętego żołnierza z Chmielnickim nie zdarzyło się jakie zajęście, któreby dla porucznika zgubnem być mogło. Chmielnicki jednak postanowił na swoim i poszedł, a za nim wszedł i Kisiel. Jakież było tedy zdziwienie wojewody, gdy hetman, ujrzawszy rycerza, skinął mu głową i zakrzyknął:

— Skrzetuski! a czemu ty z nami nie pijesz?

I wyciągnął do niego przyjaźnie rękę.

— Bom chory—odrzekł, skłoniwszy się porucznik.

— Ty wczoraj i odjechał. Za nic mi była bez ciebie ochota.

— Taki miał rozkaz — wtrącił Kisiel.

— Już ty mnie, wojewodo, nie gadaj. Znaju ja joho i wiem, że on nie chciał patrzeć, jak wy mnie cześć wyrządzali. Oj, ptak to! Ale coby innemu nie uszło, to jemu ujdzie, bo ja jego miłuję, on mój druh serdeczny.

Kisiel otworzył oczy szeroko ze zdumienia, hetman zaś zwrócił się do Skrzetuskiego:

— A ty wiesz, za co ja ciebie miłuję?

Skrzetuski potrząsnął głową.

— Myślisz, że za to, że ty postronek nad Omelnikiem przeciął, kiedy ja był lichy człowiek i kiedy mnie jak zwierza ściągali? Otóż nie za to. Ja tobie dał wtedy pierścień z prochem z grobu Chrystusa. Ale ty, rogata dusza, mnie tego pierścienia nie pokazał, kiedy był w moich rękach, no, ja ciebie i tak

puścił, i kwita. Nie za to cię teraz miłuję. Inną ty mnie przysługę oddaś, za którą ty mój druh serdeczny i za którą ja tobie wdzięczność winien.

Skrzetuski spojrział z kolei ze zdziwieniem na Chmielnickiego.

— Widzisz, jak się dziwią — rzekł, jakby do kogoś czwartego, hetman — to ja tobie przypomnę, co mnie w Czehryniu powiadali, gdy tam z Bazawłuku z Tuhaj-bejem przyszedł. Pytałem ja sam wszędy o niedruha mojego Czaplńskiego, którego nie znalazł, ale mnie powiedzieli, co ty jemu uczynił po naszym pierwszym spotkaniu, że ty jego za łeb i za hajdawery ułapił, i drzwi nim wybił i okrwawił jak sobakę, ha!

— Istotnie to uczyniłem — rzekł Skrzetuski.

— Oj sławnie ty uczynił, dobrze ty postąpił! No, ja jego jeszcze dostanę, inaczej za nic traktaty i komisya, ja go jeszcze dostanę i poigram z nim po mojemu, ale i ty jemu dał pieprzu.

To rzekłszy, hetman zwrócił się do Kisiela i nownie jął opowiadać:

— Za łeb go złapał i za pludry, podniósł jak liszkę, drzwi nim wybił i na ulicę wyrzucił.

Tu zaczął się śmiać, aż echo rozlegało się po alkierzu i dochodziło do izby biesiadnej.

— Mości wojewodo, każ dać miodu, muszę ja wypić za zdrowie tego rycerza, druha mojego.

Kisiel uchylił drzwi i na pacholika krzyknął, który wnet podał trzy kusztyki huszczańskiego miodu.

Chmielnicki trącił się z wojewodą i ze Skrzetuskim, wypił — aż mu się z czupryny zadymiło, za-

śmiała mu się twarz, ochota wielka wstąpiła w serce i zwróciwszy się do porucznika, zakrzyknął:

— Proś mnie o co chcesz!

Rumieniec wystąpił na blade oblicze Skrzetuskiego; nastąpiła chwila milczenia.

— Nie bój się — rzekł Chmielnicki. — Słowo nie dym; proś o co chcesz, byleś o takie rzeczy nie prosił, które należą do Kisiela.

Chmielnicki, nawet pijany, był zawsze sobą.

— Kiedy mi wolno z afektu, jaki masz dla mnie, mości hetmanie, korzystać, tedy sprawiedliwości od ciebie żądam. Jeden z twoich pułkowników krzywdę mi wyrządził...

— Szyję mu urezać! — przerwał z wybuchem Chmielnicki.

— Nie o to tu chodzi, każ mu jeno do walki ze mną stanąć.

— Szyję mu urezać! — powtórzył hetman. — Kto to taki?

— Bohun.

Chmielnicki począł mrugać oczyma, poczem uderzył się dłonią w czoło.

— Bohun? — rzekł. — Bohun zabit. Meni korol pysaw, że on w pojedynku usieczon.

Skrzetuski zdumiał. Zagłoba prawdę mówił.

— A co tobie Bohun uczynił? — pytał Chmielnicki.

Jeszcze silniejsze płomienie wystąpiły na lica porucznika. Bał się mówić o kniaziównie wobec pół-pijanego hetmana, aby jakiego nieprzebaczonego bluźnierstwa nie usłyszeć.

Kisiel go wyręczył.

— Jest to rzecz poważna — rzekł — o której mnie kasztelan Brzozowski opowiadał. Bohun porwał, mości hetmanie, temu oto kawalerowi narzeczoną i ukrył ją niewiadomo gdzie.

— Tak ty jej szukaj — rzekł Chmielnicki.

— Szukałem nad Dniestrem, bo tam ją ukrył, ałem nie znalazł. Słyszałem jednak, że miał ją do Kijowa przeprowadzić, dokąd i sam na ślub chciał zjechać. Dajże mnie, mości hetmanie, prawo jechać do Kijowa i tam jej szukać, o nic więcej nie proszę.

— Ty mój druż, ty Czaplińskiego rozbił. Ja tobie dam nietylko prawo, żeby ty jechał i szukał wszędy, gdzie zechcesz, ale i rozkaz dam, by ten, u którego ona jest, w twoje ręce ją oddał, i piernacz ci dam na przejazd i list do metropolity, by po monastyrach u czernic szukali. Moje słowo nie dymł

To rzekłszy, uchylił drzwi i na Wyhowskiego zawołał, by przyszedł pisać rozkaz i list. Czarnota musiał, lubo już była czwarta w nocy, ruszać po pieczęcie. Dziedziała przyniósł piernacz, a Doniec dostał rozkaz, by we dwieście koni odprowadził Skrzetuskiego do Kijowa i dalej aż do pierwszych chat polskich.

Nazajutrz Skrzetuski opuścił Perejasław

ROZDZIAŁ XIX.

Jeżeli pan Zagłoba nudził się w Zbarażu, to nie mniej nudził się Wołodyjowski, który do wojny i przygód szczególnie tęsknił. Bywało wprawdzie, że wychodziły kiedy niekiedy ze Zbaraża chorągwie dla pościgu za kupami swawolników, którzy nad Zbruczem palili i ścinali — ale była to mała wojna, przeważnie podjazdowa, przykra dla tęgiej zimy i mrozów, dająca wiele trudów, mało sławy. Z tych wszystkich przyczyn codziennie nalegał pan Michał na Zagłobę, żeby iść w pomoc Skrzetuskiemu, od którego przez długi czas żadnej nie było wieści.

— Pewno on tam popadł w jakoweś zgubne terminy, a może i żywota już zbył — mówił Wołodyjowski; — trzeba nam jechać koniecznie, niechby razem z nim zginąć przyszło.

Pan Zagłoba niebardzo się opierał, bo jak utrzymywał, murszał w Zbarażu z ostatkiem, i dziwił się, że jeszcze grzyby na nim nie porastają, ale zwłóczył, spodziewając się, że lada chwila może przyjść od Skrzetuskiego wiadomość.

— Mężny on jest, ale i roztropny — odpowiadał na nalegania Wołodyjowskiego — czekajmy jeszcze

parę dni, bo nuż list przyjdzie i okaże się, że cała nasza ekspedycja niepotrzebna.

Pan Wołodyjowski uznawał słuszość argumentu i uzbrajał się w cierpliwość, choć czas włókł się coraz wolniej. Przy końcu grudnia mrozy przerwały nawet rozboje. W okolicy nastał spokój. Jediną rozrywkę stanowiły wieści publiczne, które często gęsto obijały się o szare mury zbaraskie.

Rozprawiano więc o koronacyi, i o sejmie, i o tem, czy książę Jeremi dostanie buławę, która przed wszystkimi innymi wojownikami jemu się należała. Oburzano się przeciw tym, którzy twierdzili, że wobec zwrotu ku traktatom z Chmielnickim, jeden tylko Kisiel może pójść w górę. Wołodyjowski odbył z tego powodu kilka pojedynków—pan Zagłoba kilka pijatyk—i było niebezpieczeństwo, że całkiem rozpić się może, bo nie tylko dotrzymywał kompanii oficerom i szlachcie, ale nie wstydził się nawet chodzić i między łyczków na chrzciny, wesela, chwając sobie szczególnie ich miody, którymi słynął Zbaraż.

Wołodyjowski strofował go o to, mówiąc, że nie przystoi szlachcicowi poufalić się z ludźmi niskiej kondycyi, gdyż od tego szacunek dla całego stanu się zmniejsza, ale Zagłoba odpowiadał, że prawa to temu winny, które pozwalają stanowi mieszczańskiemu w pierze porastać i do takich przychodzić dostatków, jakie tylko udziałem szlachty być winny; wróżył, że z tak wielkich prerogatyw dla ludzi nikczemnych nic dobrego wypaść nie może, ale swoje robił. I trudno mu było brać tego za złe w czasie posepnych dni zimowych, wśród niepewności, nudy i oczekiwania.

Zwolna jednak zaczęły chorągwie książęce coraz

liczniej ściągać do Zbaraża, z czego przepowiadano na wiosnę wojnę. Ale tymczasem ożywiła się nieco ochota. Przyjechał między innymi chorągwią usarską Skrzetuskiego i pan Podbipięta. Ten przywiózł wieści o niełasce, w jakiej książę u dworu zostawał, i o śmierci pana Janusza Tyszkiewicza, wojewody kijowskiego, po którym, wedle powszechnego głosu, Kisiel na województwo miał nastąpić, a nakoniec o ciężkiej chorobie, jaką złożony był w Krakowie pan Łaszcz, strażnik koronny. Co do wojny, słyszał pan Podbipięta od samego księcia, że chyba siłą rzeczy z konieczności nastąpi, bo komisarze już ruszyli z instrukcjami, aby wszelkie możliwe kozakom poczynić ustępstwa. Relację tę pana Podbipięty rycerstwo Wiśniowieckiego przyjęło z wściekłością, a pan Zagłoba proponował protest do grodu zanieść i konfederację zawiązać, gdyż jak mówił, nie chciał, żeby jego praca pod Konstantynowem poszła na marne.

W tych nowinach i niepewnościach upłynął cały luty i marzec dobiegał połowy — a od Skrzetuskiego ciągle nie było wieści.

Wołodajowski tembardziej począł nalegać na wyjazd.

— Już nie kniaziówny, ale Skrzetuskiego — mówił — szukać nam wypada.

Tymczasem pokazało się, że pan Zagłoba miał słuszną, odkładając z dnia na dzień wyprawę, gdyż w końcu marca przybył kozak Zachar, z listem adresowanym do Wołodajowskiego z Kijowa. Pan Michał wezwał natychmiast Zagłobę, a gdy się zamknęli z posłańcem w osobnej izbie, rozerwał pieczęć i czytał co następuje:

„Nad Dniestrem, aż do Jahorliku, nie odkryłem żadnych śladów. Suponując, że musi być ukryta w Kijowie, przyłączyłem się do komisarzy, z którymi do Perejasławia zaszedłem. Tam uzyskawszy nadspodziewanie konsens od Chmielnickiego, przybyłem do Kijowa i szukam wszędy, w czym mi sam metropolita sekunduje. Siła tu naszych ukrytych u mieszczan i po monasterach, ale ci, dla bojaźni czerni, nie dają wiedzieć o sobie, dlatego szukać trudno. Bóg mnie prowadził i nie tylko chronił, ale Chmielnickiego afektem dla mnie natchnął, mam przeto nadzieję, że mi i dalej pomoże i zmiłuje się nademną. Księdza Muchowieckiego o wotywę solenną upraszam, na której módlcie się na moją intencję. Skrzetuski.“

— Chwała bądź Bogu Przedwiecznemu! — wykrzyknął Wołodyjowski.

— Jest jeszcze postscriptum — rzekł Zagłoba, zaglądając przez ramię pana Michała.

— Prawda! — rzekł mały rycerz i czytał dalej:

„Oddawca tego listu, esauł Mirhorodzkiego kurzenia, miał mnie w pocziwej opiece, gdy w Siczy w niewoli byłem, i teraz w Kijowie mi pomagał, i list zanieść się podjął z narażeniem zdrowia; miej go, Michale, w staraniu, aby mu niczego nie brakło.“

— Oto uczciwy kozak, przynajmniej jeden taki! — rzekł Zagłoba, podając Zacharowi rękę.

Stary uściśnął ją bez uniżoności.

— Może być pewien nagrody! — wtrącił mały rycerz.

— On sokół! — odparł kozak — ja joho lublu, ja ne dla hroszi tutki prziszow.

— I fantazyi ci widzę nie braknie, którejby się szlachcic niejeden nie powstydził — mówił Zagłoba. — Nie same bestye między wami, nie same bestye! Ale mniejsza z tem! To tedy pan Skrzetuski jest w Kijowie?

— Tak jest.

— A bezpieczen? bo to słyshę czerń tam hula?

— On u Dońca pułkownika mieszka. Jemu nic nie uczynią, bo nasz bat'ko Chmielnicki kazał jego Dońcowi pod gardłem pilnować, jak oka w głowie.

— Cuda prawdziwie się dzieją! Skądże Chmielnickiemu takie serce dla Skrzetuskiego?

— On jego zdawna miłuje.

— A mówił tobie pan Skrzetuski, czego szuka w Kijowie?

— Jak nie miał mówić, kiedy on wie, że ja jego druh, ja szukał z nim razem i osobno, tak musiał powiedzieć, czego mnie szukać.

— Aleście dotąd nie znaleźli?

— Nie znaleźliśmy. Co tam Lachiw jeszcze jest, to się kryją, jeden o drugim nie wie, tak i znaleźć niełatwo. Wy słysheli, że tam czerń morduje, a ja to widział; nietylko Lachiw mordują, ale i tych, którzy ich ukrywają, nawet mnichów i czernice. W monastyrze Dobrego Mikoły u czernic było dwanaście Laszek, to je razem z czernicami dymem w celi zadusili, a co parę dni, to się skrzykną po ulicach, i łowią, i do Dniepru prowadzą. Hej, co tam już wytopilił...

— To może i ją zamordowali?

— Może i ją.

— Ale nie! — przerwał Wołodyjowski. — Już jeśli ją tam Bohun sprowadził, to ją musiał zabezpieczyć.

— Gdzie bezpieczniej, niż w monastyrze, a dla tego i tam znajdują.

— Uf! — rzekł Zagłoba. — Tak wy myślicie, Zachar, że ona mogła zginąć?

— Ne znaju.

— Widać, że Skrzetuski jest dobrej myśli — rzekł Zagłoba. — Bóg go doświadczył, ale go pocieszy. A wyście, Zachar, dawno wyjechali z Kijowa?

— Oj dawno, panie! Ja wtedy wyszedł, kiedy komisary koło Kijowa z powrotem przejeżdżali. Ba- haćko Lachiw chciało z nimi uciekać, i tak uciekali nieszczęstnyje, jak kto mógł, po śniegach, po wiertelach, przez lasy, lecieli do Białogródki, a kozacy gnali za nimi i bili. Bahato utikło, bahato zabyły, a niektórych pan Kisiel wykupił, za wszystkie hroszi, jakie miał.

— O dusze pieskie! To wyście z komisarzami jechali?

— Z komisarzami aż do Huszczy, a stamtąd do Ostroga. Dalej już ja sam szedł.

— To wy dawni znajomi pana Skrzetuskiego?

— W Siczy ja go poznał i rannego pilnował, a potem i polubił, jak detynu ridniuju. Ja stary, i mnie niema kogo lubić.

Zagłoba krzyknął na pachółka, kazał podać miodu i mięsiwa, i zasiedli do wieczerzy. Zachar jadł smaczno, bo był zdżożony i głodny, następnie

zanurzył chciwie siwe wasy w ciemnym płynie, wypił, posmakował i rzekł:

— Sławny miód.

— Lepszy niż krew, którą pijecie — rzekł Zagłoba. — Ale tak myślę, że wy uczciwy człek i panna Skrzetuskiego miłujący, nie pójdziecie więcej do buntu, jeno zostaniecie tu z nami? Już wam tu będzie dobrze.

Zachar podniósł głowę.

— Ja pyśmo widdaw, tak i pójdę, ja kozak, mnie z kozakami, nie z Lachami się bratać.

— I będziecie nas bili?

— A budul! Ja siczowy kozak. My sobie Chmielnickiego bat'ka hetmanem obrali, a teraz korol jemu buławę i chorągiew przysłał.

— Ot, masz! panie Michale — rzekł Zagłoba — nie mówiłem, żeby protestować?

— A z jakiego wy kurzenia?

— Z Mirhorodzkiego, ale jego już niema.

— A co się z nim stało?

— Husary pana Czarnieckiego pod Żółtą Wodą starli. Teraz ja u Dońca, z tymi co zostali. Pan Czarniecki szczery żołnir, on u nas w niewoli, o niego komisarze prosili.

— Mamy i my waszych jeńców.

— Tak i musi być. W Kijowie mówili, że najlepszy mołojec u Lachów w niewoli, choć inni mówili, że zginął.

— Kto taki?

— Oj, sławny ataman Bohun.

— Bohun usieczon w pojedynku na śmierć.

— A kto go ubił?

— Ten oto kawaler — odrzekł Zagłoba, wskazując Wołodyjowskiego.

Zacharowi, który w tej chwili przechylał drugą kwartę miodu, oczy na wierzch wyszły, twarz sponsowała, nakoniec parsknął przez nozdrza płynem i śmiechem zarazem.

— Ten łycar Bohuna ubił? — pytał, krztusząc się ze śmiechu.

— Co u starego dyabła! — wykrzyknął, marszcząc brwi, Wołodyjowski. — Za dużo sobie ten posłaniec pozwala!

— Nie gniewaj się, panie Michale — przerwał Zagłoba. — Poczciwy to widać człowiek, a że się na polityce nie zna, to od tego on kozak. Z drugiej strony, tem większa dla waćpana chwala, że wyglądając tak niepocześnie, tak wielkich przewag już w życiu dokonałeś. Ciało masz nikczemne, ale duszę wielką. Ja sam, pamiętasz, jakem ci się przypatrywał po bitwie, chociażem bitwę na własne oczy widział, bo mi się wierzyć nie chciało, żeby taki chłystek...

— Dajże waćpan pokój! — burknął Wołodyjowski.

— Nie ja twym ojcem, nie miejże do mnie rankoru, ale to ci powiem, że pragnąłbym mieć takiego syna, i jeżeli chcesz, to cię będę adoptował, majątność całą ci zapiszę, bo to nie wstyd być wielkim w małym ciecie. I księżę niewiele większy od ciebie, a dlatego Aleksander Macedoński nie wart być jego giermkim.

— Ale bo co mnie gniewa — rzekł udobruchany nieco Wołodyjowski — to właśnie to, że z tego listu Skrzetuskiego nic pomyślnego nie widać. Że on sam

nad Dniestrem nie położył głowy, to chwała Bogu; ale kniaziówny dotąd nie znalazł, i któż zaręczy, czy ją znajdzie?

— Prawda jest! Ale gdy Bóg go przez nasze ręce od Bohuna uwolnił i przez tyle niebezpieczeństw, przez tyle sideł przeprowadził; gdy i Chmielnickiego zakamieniało serce afektem dziwnym dla niego natchnął, to juści nie po to, żeby od męki i żalości naschab wysechł. Jeżeli w tem wszystkiem nie widzisz, panie Michale, ręki Opatrzności, to widać tępszy masz dowcip od szabli, jakoż i słuszną to jest, że nikt nie może wszystkich przymiotów naraz posiadać.

— Widzę to jedno — odparł, ruszając wąsikami Wołodyjowski — że my nie mamy nic tam do roboty i dalej musimy tu siedzieć, póki nie sparciejemy do reszty.

— Prędej ja sparcieję, niż ty, bom starszy, a to wiesz, że i rzepa parcieje i słonina jęłceje ze starości. Dziękujmy raczej Bogu, że wszystkim naszym zgryzotom szczęśliwy koniec obiecuje. Nie małam się ja namartwić o kniaziównę, więcej jako żywo od ciebie, a niewiele mniej od Skrzetuskiego, bo ona moja córuchna, i pewniebym rodzonej tak nie kochał. Mówią nawet, że do mnie kubek w kubek podobna, ale ja ją i bez tego miłuję, i nie widziałbyś mnie ani wesołym, ani spokojnym, gdybym nie ufał, że już wkrótce niedola jej się skończy. Od jutra układam epitalamium, bo bardzo piękne wiersze piszę, jenom w ostatnich czasach trochę Apollina dla Marsa zaniedbał.

— Co tu i mówić teraz o Marsiel — odrzekł Wołodyjowski. — Niech kaduk porwie tego zdrajcę

Kisiela, wszystkich komisarzów i ich traktaty! Na wiosnę pokój uczynią, jak dwa a dwa cztery. Pan Podbiپیęta, który się z księciem widział, też to mówił.

— Pan Podbiپیęta tyle się zna na rzeczach publicznych, ile koza na pieprzu. Więcej on tam przy dworze za oną dzierlatką wietrzył, niż za wszystkim innem, i warował do niej, niby pies do kuropatwy. Dałby Bóg, żeby mu kto inny ją ustrzelił, ale mniejsza z tem. Nie neguję ci, że Kisiel zdrajca, bo o tem cała Rzeczpospolita wie dobrze, jeno tak myślę, że co do traktatów, na dwoje babka wróży.

Tu Zagłoba zwrócił się do kozaka:

— A co tam u was, Zachar, mówią: będzie-li pokój, czy wojna?

— Do pierwszej trawy będzie spokój, a na wiosnę to przyjdzie na pohybel albo nam, albo Lachiwczykam.

— Pociesz-że się panie Michale; słyszałem i ja, że się czerni wszędy armuje.

— Bude taka wijna, jakoi ne buwało — rzekł Zachar. — U nas mówią, że i sułtan turecki przyjdzie, i chan ze wszystkimi ordami, a nasz druh, Tuhaj-bej, na hawrani blisko stoi i wcale do dom nie poszedł.

— Pociesz-że się, panie Michale — powtórzył Zagłoba. — Jest też proroctwo o nowym królu, że całe panowanie pod bronią mu zejdzie; już to prawdopodobniejsze, że człowiek długo jeszcze szabli do pochwy nie schowa. Przyjdzie się człowiekowi od ciągłej wojny zedrzeć, jak mietle od ciągłego zamiętania, ale taka to już nasza żołnierska dola. Kiedy już wypadnie się bić, trzymaj się niedaleko

mnie, panie Michale, a pięknych rzeczy się napa-
trzysz i poznasz, jakieśmy to za dawnych, lepszych
czasów wojowali. Mój Boże! nie ci to już ludzie,
którzy za dawnych lat bywali, i ty już nie taki je-
steś, panie Michale, chociażś sierdzisty żołnierz,
i choć Bohuna usiekłeś.

— Sprawiedływe każete, pane—rzekł Zachar.—
Ne cii teper lude, szczo buwały...

Potem począł na Wołodyjowskiego spoglądać
i głowę trząść:

— Ale szcoby cij łycar Bohuna ubyw, no! no!...

ROZDZIAŁ XX.

Stary Zachar odjechał napowrót do Kijowa, po kilkodniowym odpoczynku, a tymczasem przysła wieść, że komisarze wrócili bez wielkich nadziei pokoju, a nawet w zupełnem prawie zwątpieniu. Zdołali tylko wyjednać armistycium aż do Zielonych Świątek ruskich, po których miała rozpocząć się nowa komisya z pełną mocą do traktatów. Jednakże wymagania i warunki Chmielnickiego były tak górne, że nikt nie wierzył, aby Rzplita zgodzić się na nie mogła. Rozpoczęły się więc z obu stron gwałtowne uzbrojenia. Chmielnicki słał posła za posłem do chana, by na czele wszystkich sił śpieszył na ratunek; słał i do Stambułu, gdzie ze strony królewskiej bawił od dłuższego czasu pan Bieczynski; w Rzeczypospolitej spodziewano się lada chwila wici na pospolite ruszenie. Przyszły wiadomości o mianowaniu nowych wodzów: podczaszego Ostroroga, Lanckorońskiego i Firleja, i o zupełnem usunięciu od spraw wojskowych Jeremiego Wiśniowieckiego, który na czele jeno własnych sił mógł dalej ojczyznę zasłaniać. Nietylko żołnierze książęcy, nietylko szlachta ruska, ale nawet stronnicy dawnych regimentarzy oburzali się na takowy wybór i niełaskę,

twierdząc słusznie, iż jeżeli poświęcanie Wiśniowieckiego, póki była nadzieja traktatów, miało swoją rację polityczną, to usuwanie go w razie wojny było wielkim, niedarowanym błędem, bo on jeden tylko mógł mierzyć się z Chmielnickim i zwyciężyć tego znakomitego wodza rebelii. Zjechał wreszcie i sam książę do Zbaraża w tym celu, aby zebrać jak najwięcej wojska i stać w pogotowiu na granicy wojny. Zawieszenie broni było zawarte, ale okazywało się co chwila bezsilnem. Chmielnicki kazał wprowadzić kilku pułkowników, którzy wbrew umowie pozwalali sobie napadów na zamki i chorągwie, na leżach tu i owdzie rozproszone, ale nie mógł opanować mas czerni i licznych luźnych watah, które o armistycium lub nie słyszały, lub nie chciały słyszeć, lub nie rozumiały nawet znaczenia tego słowa. Wpadały więc one ustawicznie w granice umową zabezpieczone, łamiąc tem samem wszelkie Chmielnickiego przyrzeczenia. Z drugiej strony wojska prywatne i kwarciane, zapędzając się w pościgu za zbójcami, przechodziły częstokroć Prypeć i Horyń w Kijowskiem, zapędzały się i w głąb województwa Braclawskiego, a tam napadane przez kozactwo, staczały z niem formalne walki, nieraz bardzo krwawe i zacięte. Stąd skargi ustawiczne, polskie i kozackie, o łamanie umowy, której w samej rzeczy nie było w mocy niczyjej dotrzymać. Zawieszenie broni istniało tedy o tyle, o ile sam Chmielnicki z jednej, a król i hetmani z drugiej strony nie wyruszali w pole, ale wojna rozgorzała już faktycznie, nim główne siły zerwały się do walki, i pierwsze cieplejsze promienie wiosenne oświecały po staremu płonące wsie,

miasteczka, miasta, zamki, oświecały rzezie i niedolę ludzką. Zapuszczały się pod Zbaraż watahy z pod Baru, Chmielnika, Machnówki, ścinając, grabiąc, paląc. Te gromił Jeremi rękoma swych pułkowników, bo sam udziału w owej drobnej wojnie nie brał, chcąc wtedy dopiero z całą dywizją ruszyć, gdy już i hetmani wyjdą w pole.

Rozsyłał więc podjazdy z rozkazami, by krwią za krew płaciły, palem za grabież i mordy. Poszedł między innymi pan Longinus Podbipięta i pogromił pod Czarnym Ostrowem, ale był to rycerz w bitwie tylko straszliwy, z jeńcami zaś schwytanymi z bronią w rękę, obchodził się zbyt łagodnie i dlatego więcej go nie posyłało. Szczególnie jednak odznaczył się w podobnych ekspedycjach pan Wołodyjowski, który jako partyzant, w jednym chyba Wierszule mógł znaleźć współzawodnika. Nikt bowiem nie odbywał tak błyskawicznych pochodów, nikt nie umiał zejść tak niespodzianie nieprzyjaciela, rozbić go tak szalonym napadem, rozprościć na cztery wiatry, wyłować, wyścinać, wywieszać. Wkrótce też otoczył go postrach, a z drugiej strony fawor książęcy. Od końca marca do połowy kwietnia zniósł pan Wołodyjowski siedm luźnych watah, z których każda była trzykroć od jego podjazdu silniejsza, i nie ustawał w pracy i coraz więcej okazywał ochoty, jakoby w krwi przelanej ją czerpiąc.

Zachęcał mały rycerz, a raczej mały dyabeł, usilnie pana Zagłobę, by mu w tych ekspedycjach towarzyszył, bo lubił nad wszystko jego kompanię, ale stateczny szlachcic opierał się wszelkim namowom i tak swoją beczynność tłómaczył:

— Za wielki mam brzuch, panie Michale, na te trzęsienia i szarpaniny, a przytem każdy do czego innego się godzi. Z usarzami na gęstwą nieprzyjaciela przy białym dniu uderzać, tabory łamać, chorągwie brać, to moja rzecz, do tego mnie Pan Bóg stworzył i usposobił; ale pościg nocą, w chróstach, za hultajstwem, tobie zostawuję, któryś jest misterny, jako igła, i łatwiej się wszędy przecisniesz. Starej ja daty rycerz i wolę rozdzierać, jako właśnie lew czyni, niż tropić, jak ogar po haszczach. Zresztą po wieczornym udoju muszę iść spać, bo to moja pora najlepsza.

Jeździł więc pan Wołodyjowski sam, i sam zwyciężał, aż pewnego razu, wyjechawszy pod koniec kwietnia, wrócił w połowie maja tak strapiony i smutny, jakby klęskę poniósł i ludzi wymordował. Tak nawet zdawało się wszystkim, ale było to mylne mniemanie. Owszem, w długiej tej i uciążliwej ekspedycji, doszedł pan Wołodyjowski aż za Ostróg pod Hołownię, i tam pogromił, nie zwyczajną watahę, złożoną z czerni, ale kilkaset ludzi liczący oddział Zaporozców, który w połowie wyciął, a w połowie w niewolę zagarnął. Tem dziwniejszy był więc głęboki smutek, niby mgłą pokrywający jego wesołe z natury oblicze. Wielu chciało zaraz wiedzieć przyczynę, pan Wołodyjowski jednak nikomu słowa nie rzekł, i zaledwie z konia zsiadłszy, udał się na długą rozmowę do księcia, w towarzystwie dwóch nieznanym rycerzy, a następnie razem z nimi szedł do pana Zagłoby, nie zatrzymując się, choć go ciekawin nowin za rękawy po drodze chwyтали.

Pan Zagłoba z pewnem zdziwieniem spoglądał na dwóch olbrzymich mężów, których nigdy przed-

tem w życiu nie widział, a których strój ze złotemi pętelkami na ramionach okazywał, że w wojsku litewkiem służą. Wołodyjowski zaś rzekł:

— Zamknij waszmość drzwi i każ nikogo nie puszcząć, bo mamy o ważnych sprawach pomówić.

Zagłoba wydał rozkaz czeladnikowi, poczem jął patrzeć niespokojnie na przybyłych, miarkując z ich twarzy, że nic dobrego nie mają do powiedzenia.

— To są — rzekł Wołodyjowski, ukazując młodzieńców — kniazie Bułhowie - Kurcewicz, Jur i Andrzej.

— Stryjeczni Heleny! — wykrzyknął Zagłoba.

Kniaziowie skłonili się i odrzekli obaj naraz:

— Stryjeczni nieboszczki Heleny.

Czerwona twarz Zagłoby stała się w jednej chwili blado-niebieska, rękoma począł bić powietrze, jak gdyby postrzał otrzymał, usta otworzył, nie mogąc tchu złapać, oczy wytrzeszczył i rzekł, a raczej jęknął:

— Jak to?

— Są wiadomości — odpowiedział posępnie Wołodyjowski — że kniaziówna w monasterze Dobrego Mikoły została zamordowana.

— Czerń wydusiła dymem w celi dwanaście pańien i kilkanaście czernic, między którymi była siostra nasza — dodał kniaź Jur.

Zagłoba tym razem nic nie odrzekł, jeno twarz, poprzednio sina, poczerwieniała mu tak, że obecni zlekli się, aby go krew nie zalała; zwolna powieki opadły mu na oczy, poczem zakrył je rękoma, a z ust wyrwał się nowy jęk:

— Świecie! świecie! świecie!

Potem umilkł i trwał w milczeniu.

A kniaziowie i Wołodjowski biadać zaczęli:

— Oto zebraliśmy się razem krewni i przyjaciele, którzyśmy ci na ratunek, wdzięczna panno, iść chcieli — mówił, wzdychając raz po raz, młody rycerz — ale snadź spóźniliśmy się z pomocą. Za nic nasza ochota, za nic nasze szable i odwaga, bo na innym ty już, lepszym od tego lichego świecie przebywasz, u Królowej Niebieskiej we francymerze.

— Siostro! — wołał olbrzymi Jur, którego żal nanowo pochwycił za włosy — ty nam odpuść nasze winy, a my za każdą kroplę twojej krwi wiadro wylejemy.

— Tak nam dopomóż Bóg! — dodał Andrzej.

I obaj mężowie wyciągnęli do nieba ręce, Zagłoba zaś wstał z ławy, postąpił kilka kroków ku tapczanowi, zatoczył się, jak pijany, i padł na kolana przed obrazem.

Po chwili na zamku ozwały się dzwony, zwiastujące południe, które brzmiały tak ponuro, jakby dzwony pogrzebowe.

— Niema jej już, niema! — rzekł znowu Wołodjowski. — Do niebios ją anieli zabrali, nam zostawując łzy i wzdychania.

Łkanie wstrząsnęło grubem ciałem Zagłoby i trzęsło niem, a oni ciągle narzekali i dzwony biły.

Wreszcie Zagłoba uspokoił się — myśleli nawet, że może bolem znużony usnął na klęczkach, ale on po jakimś czasie wstał i siadł na tapczanie; tylko był to już jakby inny człowiek: oczy miał czerwone i krwią zasze, głowę spuszczoną, dolna warga zwisała mu aż na brodę, na twarzy osiadło niedołęstwo i ja-

kaś niebywała zgrzybiałość — tak, że mogło naprawdę się zdawać, iż ów dawny pan Zagłoba, butny, jowialny, pełen fantazyi, umarł, a został tylko starzec, wiekiem przyciśnięty i zmęczony.

Wtem, mimo protestacyi pilnującego drzwi pacholika, wszedł pan Podbięta i nanowo rozpoczęły się żale i narzekania; Litwin wspominał Rozłogi i pierwsze widzenie się z kniaziówną, jej słodycz, młodość i urodę, wreszcie wspomniał, że jest ktoś nieszczęśliwszy od nich wszystkich, to jest narzeczony, pan Skrzetuski — i jął rozpytywać o niego małego rycerza.

— Skrzetuski został u księcia Koreckiego w Korcu, dokąd z Kijowa przyjechał, i leży chory, o świecie Bożym nie wiedząc — rzekł pan Wołodyjowski.

— Zali nie trzeba, abyśmy do niego jechali? — pytał Litwin.

— Niema tam poco jechać — odparł Wołodyjowski. — Medyk książęcy zaręcza za jego zdrowie; jest tam pan Suchodolski, pułkownik księcia Dominika, ale wielki przyjaciel Skrzetuskiego, jest i nasz stary Zaćwilichowski: obaj mają go w opiece i staraniu. Na niczem mu nie zbywa, a to, że go delirium nie opuszcza, to dla niego lepiej.

— O mocny Boże! — rzekł Litwin. — Widziałeś waćpan Skrzetuskiego na własne oczy?

— Widziałem, ale żeby mi nie powiedzieli, że to on, to nie byłbym go poznał, tak go boleść i choroba strawiły.

— A on poznał waćpana?

— Pewnie poznał, choć nic nie mówił, bo się uśmiechnął i głowę kiwnął, a mnie taka żalność porwała, żeśm dłużej zostać nie mógł. Książę Korecki chce

tu iść do Zbaraża z chorągwiami, Zaćwilichowski z nim razem pójdzie, a i pan Suchodolski zaklina się, że ruszy, choćby miał ordynanse od księcia Dominika przeciwne. Oni to sprowadzą tu i Skrzetuskiego, jeśli go boleść nie zmoże.

— A skądże macie te wiadomości o śmierci kniaziówny? — pytał dalej pan Longinus. — Czy nie ci kawalerowie je przywieźli? — dodał, wskazując kniaziów.

— Nie. Ci kawalerowie trafem się w Korcu o wszystkim dowiedzieli, dokąd przyjechali z posiłkami od wojewody wileńskiego, i tu ze mną przyszli, bo i do naszego księcia od wojewody listy mieli. Wojna jest pewna, a z komisji już nic nie będzie.

— To już i my to wiemy, ale powiedz mi wacpan, kto ci o śmierci kniaziówny mówił?

— Mówił mi Zaćwilichowski, a on wie od Skrzetuskiego. Skrzetuskiemu dał Chmielnicki permisję, żeby w Kijowie szukał, i sam metropolita miał mu pomagać. Szukali tedy głównie po monasterach, bo co z naszych w Kijowie zostało, to w nich się kryje. I myśleli, że pewnie Bohun kniaziównę w jakimś monasterze umieścił. Szukali, szukali i byli dobrej myśli, choć wiedzieli, że czorń u Dobrego Mikoły dwanaście panien dymem wydusiła. Sam metropolita upewniał, że przecie na narzeczoną Bohuna nie byliby się rzucili, aż pokazało się inaczej.

— To ona była u Dobrego Mikoły?

— Tak jest. Spotkał Skrzetuski w jednym monasterze ukrytego pana Joachima Jerlicza, a że to wszystkich o kniaziównę dopytywał, więc pytał i jego; pan Jerlicz zaś powiedział mu, że jakie były pan-ny, to je wprawdzie kozacy pobrali, jeno się u Dobrego

Mikoły dwanaście zostało, które dymem później wyduszono, a między niemi miała być i Kurcewiczówna. Skrzetuski, że to pan Jerlicz śledziennik i nawpół przytomny od ciągłego strachu, nie wierzył mu i polecał zaraz po raz wtóry do Dobrego Mikoły jeszcze raz pytać; na nieszczęście mniszki, których trzy także w tej samej celi uduszono, nie wiedziały nazwisk, ale słuchając deskrypcyi kniaziówny, którą im Skrzetuski czynił, powiedziały, że taka była. Wtedy to Skrzetuski z Kijowa wyjechał i zaraz na zdrowiu zapadł.

— To dziw tylko, że jeszcze żyje.

— Byłby umarł niechybnie, gdyby nie ów stary kozak, który go w niewoli na Siczy pilnował, a potem tu od niego z listami przyjechał, i wróciwszy, znów w szukaniu mu pomagał. Ten go do Korca odwiózł i panu Zaćwilichowskiemu w ręce oddał.

— Niechże go Bóg ma w swojej opiece, bo on się już nigdy nie pocieszył! — rzekł Longinus.

Pan Wołodyjowski umilkł, i grobowe milczenie panowało między wszystkimi. Kniazie, podparłszy się łokciami, siedzieli bez ruchu z namarszczoną brwią. Podbipięta oczy w górę wznosił, a pan Zagłoba utkwiał szklany wzrok w przeciwległą ścianę, jakby w najgłębszem zamyśleniu się pogrążył.

— Zbudź się waćpan! — rzekł wreszcie do niego Wołodyjowski, wstrząsając go za ramię. — O czem tak myślisz? nic już nie wymyślisz i wszystkie twoje fortele na nic się nie przydadzą.

— Wiem o tem — odparł złamanym głosem Zagłoba — jeno myślę, żem stary i że nie mam co robić na tym świecie.

ROZDZIAŁ XXI.

— Imaginuj sobie waćpan — mówił w kilka dni później Wołodyjowski do Longina — że ten człowiek tak się w jednej godzinie zmienił, jakoby o dwadzieścia lat postarzał. Taki wesoły, taki mowny, tak obfity w fortele, że samego Ulisesa w nich przewyższał, dziś pary z gęby nie puści, jeno po całych dniach drzemie, na starość narzeka i jakby przez sen mówi. Wiedziałem to, że on ją kochał, alem się nie spodziewał, żeby do tego stopnia.

— Cóż to dziwnego — odparł, wzdychając, Litwin. — Tembardziej się do niej przywiązał, że ją z rąk Bohunowych wydarł i tyle dla niej niebezpieczeństw i przygód w ucieczce doświadczył. Póki tedy była nadzieja, póty się i jego dowcip na fortele wysilał, i sam się na nogach trzymał, a teraz nie ma on już naprawdę co na świecie robić, samotnym będąc i serca nie mając o co zaczepić.

— Próbowałem już i pić z nim, w tej nadziei, że mu trunek dawny wigor powróci, i to na nie! Pić, pije, ale nie zmyśla po dawnemu, nie prawi o swych przewagach, jeno się roztkliwi, a potem głowę na brzuch zwiesi i śpi. Już nie wiem, czy i pan Skrzetuski w większej desperacyi od niego żyje.

— Szkoda to jest niewymowna, bo jednak wielki to był rycerz! Chodźmy do niego, panie Michale. Miał on zwyczaj dworować sobie ze mnie i we wszystkim mi dogryzać. Może go i teraz ochota do tego schwyli. Mój Boże, jak się to ludzie zmieniają! Taki to był wesoły człek!

— Chodźmy! — rzekł pan Wołodyjowski. — Późno już jest, ale jemu najciężej wieczorem, bo wydrzemawszy się przez cały dzień, w nocy spać nie może.

Tak rozmawiając, udali się obaj do kwatery pana Zagłoby, którego znaleźli siedzącego pod otwartem oknem, z głową opartą na ręku. Późno już było; w zamku ustał wszelki ruch, jeno warty obwoływały się przeciągłymi głosami, a w gąszczach, dzielących zamek od miasta, słowiki wywodziły zapamiętałe swoje nocne trele, poświstując, cmokając i klaskając tak gęsto, jak gęsto pada ulewa wiosenna. Przez otwarte okno wchodziło ciepłe majowe powietrze i jasne promienie księżyca, które oświecały pognębioną twarz pana Zagłoby i łysinę schyloną na piersi.

— Dobry wieczór waćpanu! — rzekli dwaj rycerze.

— Dobry wieczór! — odpowiedział Zagłoba.

— Co waćpan tak przy oknie rozpamiętywasz, zamiast spać iść? — pytał Wołodyjowski.

Zagłoba westchnął.

— Bo mi nie do snu — odrzekł wlokącym się głosem. — Rok temu, rok, uciekałem z nią nad Kahanlikiem od Bohuna, i tak samo nam owe ptaszyny fluwały, a teraz gdzie ona?

— Bóg to tak zrządził! — rzekł Wołodyjowski.

— Na łzy i smutek, panie Michale! Niemasz już dla mnie pocieszenia!

Umilkli — jeno przez otwarte okno dochodziły coraz mocniej trele słowicze, którymi cała owa jasna noc zdawała się być przepełnioną.

— O Boże! Boże! — westchnął Zagłoba — zupełnie tak, jak nad Kahamlikiem!

Pan Longinus strząsnął łzę z płowych wąsów, a mały rycerz rzekł po chwili:

— Ej, wiesz co waćpan? smutek smutkiem, a napij się z nami miodu, bo nie masz nic lepszego na zgryzotę. Będziemy przy szklanicy rozpamiętywali lepsze czasy.

— Napiję się — rzekł z rezygnacją Zagłoba.

Wołodujowski kazał czeladnikowi przynieść światło i gąsiorek, a następnie gdy zasiedli, wiedząc, że wspomnienia najlepiej ze wszystkiego ożywiają pana Zagłobę, pytał:

— To już rok, jakieś waćpan z nieboszczką z Rozłógów przed Bohunem uciekał?

— W maju to było, w maju — odrzekł Zagłoba. — Przeszliśmy przez Kahamlik, żeby ku Złotonoszy uciekać. Oj, ciężko na świecie!

— I ona była przebrana?

— Za kozaczka. Włosy jej szablą musiałem, niebodze mojej, obcinać, aby jej nie poznano. Wiem miejsce, gdzie je pod drzewem razem z szablą pochował.

— Słodka to była panna! — dorzucił z westchnieniem Longinus.

— To mówię waćpanom, że m ją pierwszego dnia tak pokochał, jakbym ją od małego hodował. A ona tylko rączyny przede mną składała, a dziękowała i dziękowała za ratunek i opiekę. Niechby mnie

byli usiekli, nimem się dzisiejszego dnia doczekał. Bodaj mi było nie dożyć?

Tu znów nastało milczenie, i trzej rycerze pili miód zmieszany ze łzami, poczem Zagłoba tak dalej mówić począł:

— Myślałem, że przy nich starości spokojnej doczekam, a teraz...

Tu ręce zwisły mu bezsilnie:

— Znikąd pociechy, znikąd pociechy, chyba w grobie...

Tymczasem, nim pan Zagłoba ostatnich słów dokończył, hałas powstał w sieni; ktoś chciał wejść, a czeladnik nie puszczał; powstała głośnie sprzeczka, w której zdawało się panu Wołodyjowskiemu, że poznaje jakiś głos znajomy, więc zawołał na czeladnika, by dłużej wejścia nie bronił.

Następnie drzwi otworzyły się, i ukazała się w nich pyzata, rumiana twarz Rzędziana, który powiódł oczyma po obecnych, pokłonił się i rzekł:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków!—odrzekł Wołodyjowski—to Rzędzian!

— A ja - ci to jestem — odrzekł pachołek — i kłaniam do kolan waszmościom. A gdzie to mój pan?

— Twój pan w Korcu i chory.

— O dla Boga! co też jegomość powiada? A ciężko on, Boże broń, chory?

— Był ciężko chory, a teraz zdrowszy. Medyk powiada, że będzie zdrow.

— Bo ja tu z wieściami o pannie do mojego pana przyjechałem.

Mały rycerz począł kiwać melancholijnie głową.

— Niepotrzebnieś się śpieszył, bo już pan Skrzetuski wie o jej śmierci, i my ją tu łzami rzewnymi oblewamy.

Oczy Rzędziana wylazły zupełnie na wierzch głowy.

— Gwałtu! retyl co słyszysz? panna umarła?

— Nie umarła, jeno w Kijowie od zbójów zamordowana.

— A w jakim Kijowie? co jegomość prawi?

— W jakim Kijowie? albo to Kijowa nie znasz?

— Dla Boga, chyba jegomość kpi! Co ona miała do roboty w Kijowie, kiedy ona w jarze nad Waładynką niedaleko Raszkowa ukryta? i czarownica miała rozkaz, żeby się do przyjazdu Bohuna ani krokiem nie ruszyła. Jak mnie Bóg miły, zwaryować przyjdzie, czy co?

— Co za czarownica, o czymże ty gadasz?

— A Horpyna, toć tę basetłę znam dobrze!

Pan Zagłoba nagle wstał z ławy i począł rękoma trzepać, jak człowiek, który wpadłszy w głębinę, ratuje się od zatonięcia.

— Na Boga żywego! milcz waćpan! — rzekł do Wołodyjowskiego — na rany Boskie, niech ja pytam!

Obecni aż zadrżeli, tak blady był Zagłoba, i pot wystąpił mu na łysinę, on zaś skoczył równemi nogami przez ławę do Rzędziana i schwyciwszy pachółka za ramiona, pytał chrapliwym głosem:

— Kto tobie to powiadał, że ona... koło Raszkowa ukryta?

— Kto miał powiadać? Bohun!

— Chłopie, czyś zwaryował? — wrzasnął pan Zagłoba, trzęsąc pachółkiem jak gruszką—jaki Bohun?

— O dla Boga! — zawołał Rzędzian — czego jegomość tak trzęsie? Dajże jegomość pokój, niech się opamiętam, bom zgłupiał. Jegomość mi do reszty w głowie przewróci. Jakiż ma być Bohun? albo to go jegomość nie zna?

— Gadaj, bo cię nożem pchnę! — wrzasnął Zagłoba. — Gdzieś Bohuna widział?

— We Włodawie! Czego waszmościowie ode mnie chcecie? — wołał przestraszony pacholek. — Cożem to ja? zbój?...

Zagłoba odchodził od zmysłów, tchu mu zabrakło i padł na ławę, dychając ciężko; pan Michał przybył mu na pomoc.

— Kiedyś Bohuna widział? — pytał Rzędziana.

— Trzy tygodnie temu.

— To on żyje?

— Co nie ma żyć? sam mi opowiadał, jakieś go jegomość popłatał, ale się wylizał...

— I on tobie mówił, że panna pod Raszkowem?

— Któż inny?

— Słuchaj, Rzędzian, tu o życie twego pana i panny chodzi! Czy tobie sam Bohun mówił, że ona nie była w Kijowie?

— Mój jegomość, jak ona miała być w Kijowie, kiedy on ją pod Raszkowem ukrył i Horpynie przykazał pod gardłem, żeby jej nie puszczała, a teraz mnie piernacz dał i pierścień swój, żebym ja tam do niej jechał, bo jemu się rany odnowiły i musi leżeć, niewiadomo jak długo.

Dalsze słowa Rzędziana przerwał pan Zagłoba, który się z ławy nanowo zerwał i schwyciwszy się obu rękoma za resztki włosów, począł krzyczeć, jak szalony:

www.libtool.com.cn

— Żyje moja córuchna, na rany Boskie, żyje! to nie ją w Kijowie zabili! żyje ona, żyje moja najmilsza!

I stary tupał nogami, śmiał się, szlochał, nako-
niec chwycił Rzędziana za łeb, przycisnął do piersi
i począł tak całować, że pacholek do reszty stracił
głowę.

— Niech-no jegomość da pokój... bo się zatchnęł
Jużci że ona żyje... Da Bóg, razem po nią ruszemy...
Jegomość, no! jegomość!

— Puść go waszmość niech opowiada, bo jesz-
cze nic nie rozumiemy — rzekł Wołodyjowski.

— Mów, mów! — wołał Zagłoba.

— Opowiadaj od początku, brateńku! — rzekł pan
Longinus, na którego wąsach osiadła także gęsta rosa.

— Pozwólcie, waszmościowie, niech się wysa-
pię — rzekł Rzędzian — i okno przymknę, bo te
juchy słowiki tak się drą w krzakach, że i do słowa
przyjść nie można.

— Miodu! — krzyknął na czeladnika Wołody-
jowski.

Rzędzian zamknął okno ze zwykłą sobie po-
wolnością, następnie zwrócił się do obecnych i rzekł:

— Waszmościowie mi też usiąść pozwolą, bom
się utrudził!

— Siadaj! — rzekł Wołodyjowski, nalewając mu
z przyniesionego przez czeladnika gąsiora — pij
z nami, boś na to swoją nowiną zasłużył, byleś ga-
dał jak najprędzej.

— Dobry miód! — odpowiedział pacholek, pod-
nosząc szklanke pod światło.

— A bodaj cię usieklili! będziesz-że ty gadał? —
huknął Zagłoba.

www.libtool.com.cn

— A jegomość to się zaraz gniewał! Jużci będę gadał, kiedy waszmościowie chcecie, bo waszmościom rozkazywać; a mnie słuchać, od tego sługa. Ale już widzę, że od początku muszę dokumentnie wszystko opowiadać...

— Mów od początku!

— Waszmościowie pamiętają, jaka to przyszła wiadomość o wzięciu Baru, co to nam się zdawało, że już po pannie? Tak ja wróciłem wtedy do Rzędzian, do rodzicieli i do dziadusia, co to już ma dziewięćdziesiąt lat... dobrze mówię... nie! dziewięćdziesiąt i jeden.

— Niech ma i dziewięćset!...—burknął Zagłoba.

— A niech mu Pan Bóg da jak najwięcej! Dziękuję jegomości za dobre słowo—odrzekł Rzędzian.— Tak tedy wróciłem do domu, żeby rodzicielom odwieść, com przy pomocy Bożej zebrał między zbójcami, bo to już waszmościowie wiecie, że mnie zeszłego roku ogarnęli kozacy w Czehryniu, że mnie za swego mieli, że Bohuna rannego pilnował i do wielkiej konfidencyi z nim przyszedł, a przytem skupowałem trochę od tych złodziejów, to srebra, to klejnoty...

— Wiemy, wiemy! — rzekł Wołodyjowski.

— Otóż przyjechałem do rodzicieli, którzy radzi mnie widzieli i oczom nie chcieli wierzyć, gdy im wszystko, com zebrał, pokazał. Musiałem dziadusiowi przysiąc, że uczciwą drogą do tego przyszedł. Dopiero się ucieszyli, bo trzeba waszmościom wiedzieć, że oni mają tam proces z Jaworskimi o gruszę, co na miedzy stoi i w połowie nad Jaworskich gruntami, a w połowie nad naszymi ma

gałęzie. Owóż jak Jaworscy trzęsą, to i nasze gruszki opadają, a dużo idzie na miedzę. Oni tedy powiadają, że te, co na miedzy leżą, to ich, a my...

— Chłopie, nie przywódź-że mnie do gniewu! — rzekł Zagłoba — i nie mów tego, co do rzeczy nie należy!...

— Naprzód, z przeproszeniem jegomości, nie jestem ja żaden chłop, jeno szlachcic, choć ubogi, ale herbowy, co jegomości pan porucznik Wołodyjowski i pan Podbipięta, jako znajomi pana Skrzetuskiego, powiedzą, a powtórę ten proces trwa już pięćdziesiąt lat...

Zagłoba zacisnął zęby i dał sobie słowo, że się już więcej nie odezwie.

— Dobrze, rybeńko! — rzekł słodko pan Longinus — ale ty nam powiadaj o Bohunie, nie o gruszkach.

— O Bohunie? — rzekł Rzędzian — niechże będzie i o Bohunie. Owóż Bohun myśli, mój jegomość, że nie ma wierniejszego sługi i przyjaciela nademnie, chociaż mnie w Czehryniu rozszczepił, bom go też co prawda pilnował, opatrywał, kiedy to go jeszcze kniazie Kurcewicze poszczerbili. Obelgałem go wtedy, że już nie chcę służby pańskiej i wolę z kozakami trzymać, bo więcej zysku między nimi, a on uwierzył. Jak nie miał wierzyć, kiedym go do zdrowia przyprowadził?! Więc też okrutnie mnie polubił i co prawda hojnie wynagrodził, nie wiedząc o tem, żem ja sobie poprzysiągł zemścić się na nim za oną krzywdę czehryńską, i że jeżeli go nie zażgał, to jeno dlatego, że nie przystoi szlachcicowi w łożu leżącego nieprzyjaciela nożem, jako świnię, pod pachę żgać.

— Dobrze, dobrze! — rzekł Wołodyjowski. — To także wiemy, ale jakimżeś sposobem go teraz znalazł?

— A to, widzi jegomość, było tak: Gdyśmy już Jaworskich przycisnęli (z torbami oni pójdą, nie może inaczej być!), to ja sobie myślę: „No! czas i mnie będzie Bohuna poszukać i za moją krzywdę mu zapłacić.“ Spuściłem się rodzicielom z sekretu i dziadusiowi, a on, jako to fantazyja u niego dobra, mówi: „Kiedyś poprzysiągł, to idź, bo inaczej będziesz kiep.“ Więc ja poszedłem, bom sobie i to jeszcze myślał, że jak Bohuna znajdę, to się o pannie, jeśli żywa, może czegoś dowiem, a potem, jak go ustrzelę i do mego pana z nowiną pojedę, to też nie będzie bez nagrody!

— Pewnie, że nie będzie! i my cię też wynagrodzimy — rzekł Wołodyjowski.

— A u mnie, masz już, brateńku, konika z rzędem — dodał Longinus.

— Dziękuję pokornie waszmościom panom — rzekł uradowany pacholek — bo słuszna to jest rzecz, za dobrą wieść munsztuluk, a ja też nie przepiję, co od kogo dostanę...

— Dyabli mnie biorą! — mruknął Zagłoba.

— Wyjechałeś więc z domu... — poddał Wołodyjowski.

— Wyjechałem więc z domu — mówił dalej Rzędzian — i myślę znowu: dokąd jechać? chyba do Zbaraża, bo tam i do Bohuna niedaleko, i prędzej się o mojego pana dopytam. Jadę tedy, mój jegomość, jadę na Białą i Włodawę, i we Włodawie — koniska już miałem srodze zmęczone — zatrzymuję

się na popas. A tam był jarmark, we wszystkich zajazdach pełno szlachty; ja do mieszczan, i tam szlachta! Dopieroż jeden Żyd mi powiada: „Miałem izbę, ale ją ranny szlachcic zajął.“ — „To, mówię, dobrze się zdarzyło, bo ja opatrunek znam, a wasz cyrulik, jako to w czasie jarmarku, pewnie nie może sobie dać rady z robotą.“ Gadał jeszcze Żyd, że ten szlachcic sam się opatruje i nie chce nikogo widzieć, a potem poszedł spytać. Ale widać tamtemu było gorzej, bo kazał puścić. Wchodzę ja — i patrzę kto leży w betach — Bohun! Przeżegnałem się: W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego! ażem się przeląkł, a on mnie poznał odrazu, ucieszył się okrutnie (że to mnie ma za przyjaciela) i powiada: „Bóg mi cię zesłał teraz już umrę.“ A ja mówię: „Co jegomość tu robisz?“ — on zaś palec na gębę położył i dopiero później opowiadał mi swe przygody, jako go Chmielnicki do króla jegomości, a naonczas jeszcze królewicza, z pod Zamościa wysłał, i jako pan porucznik Wołodyjowski w Lipkowie go usieknął.

— Wdzięcznie mnie wspominał? — spytał mały rycerz.

— Nie mogę, mój jegomość, inaczej powiedzieć, jeno że dość wdzięcznie. Myślałem, powiada, że to jakiś wyskrobek, że to, powiada, pokurcz, a to, powiada, junak pierwszej wody, który mnie bez mała na wpół przeciął. Tylko oto, jak o jegomości panu Zagłobie wspomni, to jeszcze gorzej, niż pierwej, zgrzyta, że jegomość go do walki podjudził...

— Niech mu tam kat świecił! Już ja się jego nie boję! — odparł Zagłoba.

— Przyszliśmy tedy do dawnej konfidencyi—mó-

podróży, a droga daleka i niebezpieczna mnie czeka. Jeżeli się, powiada, na Wołyń dostanę, a stąd blisko, to już będę między swoimi, ale tam, nad Dniestr, nie mogę jechać, bo sił nie staje, i trzeba, powiada, przez wraży kraj przejeżdżać, koło zamków i wojsk. Jedź ty za mnie.“ Więc ja pytam: „A dokąd?“ On na to: „Aż pod Raszków, bo ona tam ukryta u siostry Dońca, Horpyny czarownicy.“ Pytam: „Kniaziowna?“ — „Tak jest! rzecze. Tamem ją ukrył, gdzie jej ludzkie oko nie dojrzy, ale jej tam dobrze i jako księżna Wiśniowiecka na złotogłowiach sypia.“

— Mów-no prędzej, na Boga! — krzyknął Zagłoba.

— Co nagle, to po dyable — odpowiedział Rzędzian. — Jakem to tedy, mój jegomość, usłyszał, takem się ucieszył, alem tego po sobie nie pokazał i mówię: „A pewnoż ona tam jest? bo to już musi być dawno, jakeś waćpan ją tam odwiózł?“ On począł się zaklinać, że Horpyna, jego suka wierna, będzie ją i dziesięć lat trzymała aż do jego powrotu, i że kniaziowna tam jest, jako Bóg na niebie, bo tam ani Lachy, ani Tatary, ani kozaki nie przyjdą, a Horpyna rozkazu nie złamie.

Kiedy tak opowiadał Rzędzian, pan Zagłoba trząsł się jak w febrze, mały rycerz kiwał radośnie głową, Podbipięta oczy do nieba wznosił.

— Że ona tam jest, to już pewno — mówił dalej pacholek — bo najlepszy dowód, że on mnie do niej wysłał. Ale ja ociągałem się zrazu, żeby to niczego po sobie nie pokazać, i mówię: „A po co ja tam?“ On zaś: „Po to, że ja tam nie mogę jechać. Jeśli, powiada, żywy się z Włodawy na Wołyń przedostanę, to się każę do Kijowa nieść, bo tam już wszędzie

nasi, kozacy góra, a ty, powiada, jedź i Horpynie daj rozkaz, by ją do Kijowa, do monasteru Świętej Przeczystej odwiozła.“

— A co! więc nie do Dobrego Mikoły! — wybuchnął Zagłoba. — Zaraz mówiłem, że Jerlicz śle dziennik, albo że zełgał.

— Do Świętej Przeczystej! — mówił dalej Rzędzian. — „Pierścień (powiada) ci dam, i piernacz, i nóż, a już Horpyna będzie wiedziała, co to znaczy, bo taka umowa stoi, i Bóg cię (powiada) tembardziej zesłał, że ona cię zna, wie, żeś mój druh najlepszy. Jedźcie razem, kozaków się nie bójcie, jeno na Tatarów baczcie, jeśli by gdzie byli, i omijajcie, bo ci piernacza nie uszanują. Pieniądze, dukaty tam są (powiada) zakopane na miejscu w jarze, od wypadku to je wyjmij. Po drodze mówcie jeno: „Bohunowa jedzie!“ — a niczego wam nie zbraknie. Zresztą (powiada) czarownica da sobie radę, tylko ty jedź ode mnie, bo kogoż ja nieszczęsny poślę, komu zawierzę tu w obcym kraju, między wrogami?“ Tak on to mnie, moi jegomości, prosił, że prawie słuzy wylewał, w końcu kazał mi bestya przysięgać, że pojedę, a ja też przysięgłem, jeno w duchu dodałem: „Z moim panem!“ On tedy uradował się i zaraz dał mi piernacz, i pierścień, i nóż, i co miał klejnotów, a ja wziąłem, bom myślał: „Lepiej niech będzie u mnie, niż u zbója.“ Na pożegnanie powiedział mi jeszcze, który to jest jar nad Waładynką, jak jechać i jak się obrócić, tak dokumentnie, że z zawiązanymi oczymaby m trafił, co sami waszmościowie zobaczą, gdyż tak myślę, że razem pojedziemy.

— Zaraz jutro! — rzekł Wołodajowski.

— Co to jutro! dziś jeszcze świtanie każem konie kulbaczyć.

Radość chwyciła wszystkich za serca, i słysząc było to okrzyki wdzięczności ku niebu, to zacieranie rąk radosne, to nowe pytania rzucane Rzędziannowi, na które pacholek ze zwykłą sobie flegmą odpowiadał.

— Niech cię kule biją!—wykrzyknął Zagłoba—jakiego w tobie pan Skrzetuski ma sługę!

— Albo co? — pytał Rzędzian.

— Bo cię chyba ozłoci.

— Ja też tak myślę, że nie będzie to bez nagrody, chociaż mojemu panu z wierności służę.

— A cożes z Bohunem uczynił? — pytał Wołodyjowski.

— Toż to, mój jegomość, było dla mnie umartwienie, że znowu on leżał chory, i nie wypadało mi go żgać, bo to i mój panby zganił. Taki już los! Cożem miał więc robić? Oto, gdy mnie już wszystko powiedział, co miał powiedzieć, i dał, co miał dać, tak ja po rozum do głowy. Poco, mówię sobie, taki złodziej ma po świecie chodzić, który i pannę więzi, i mnie w Czehryniu poszczerbił. Niech go lepiej nie będzie i niech mu kat świeci! Bo i to sobie myślałem, że nuż wyzdrowieje i za nami z kozakami ruszy? Więcem, niewiele myśląc, poszedł do pana komendanta Rogowskiego, który we Włodawie z chorağwią stoi, i doniosłem, że to jest Bohun, najgorszy z rebelizantów. Już go tam musieli do tej pory powiesić.

To rzekłszy, Rzędzian roześmiał się dość głupowato i spojrział po obecnych, jakby czekając, aby mu

zawtórowali; ale jakże się zdziwił, gdy odpowiedziano mu milczeniem. Dopiero po jakimś czasie, pierwszy Zagłoba mruknął: „Mniejsza z tem!” ale natomiast Wołodyjowski siedział cicho, a pan Longinus jął cmokać językiem, kręcić głową i wreszcie rzekł:

— Toś niepięknie postąpił, brateńku, co się zowie niepięknie!

— Jak to? mój jegomość? — pytał zdumiony Rzędzian. — Miałem go lepiej pchnąć?

— I tak byłoby nieładnie, i tak nieładnie, ale nie wiem co lepiej: czy być zbójem, czy Judaszem?

— Co też jegomość mówi? Zali to Judasz jakowego rebelizanta wydawał? A to przecie i króla jegomości i całej Rzeczypospolitej jest nieprzyjacieli!

— Prawda to, ale ono zawsze niepięknie. A jak, mówisz, ów komendant się nazywał, co?

— Pan Rogowski. Mówili, że mu na imię Jakób.

— To ten sam! — mruknął Litwin. — Pana Łaszcza krewny i pana Skrzetuskiego nieprzyjacieli.

Ale nie słyszano tej uwagi, bo pan Zagłoba głos zabrał:

— Mości panowie! — rzekł. — Tu niema co zwłóczyć! Bóg sprawił przez tego pacholika i tak pokierował, że w lepszych niż dotąd kondycjach będziemy jej szukali. Bogu niech będzie chwała! Jutro musimy ruszyć. Księżę wyjechał, ale już i bez jego permissyi puścimy się w drogę, bo czasu niema! Pójdzie pan Wołodyjowski, ja z nim i Rzędzian, a wacpan, panie Podbięta, lepiej zostaniesz, bo wzrost twój i prostoduszność wydałby nas mogły.

— Nie, bracie, ja też pojadę! — rzekł Litwin.

— Dla jej bezpieczeństwa musisz to uczynić

i zostać. Waćpana kto raz widział, ten nigdy w życiu nie zapomni. Mamy piernacz, to prawda, ale waćpanuby i z piernaczem nie uwierzyli. Dusieś Pułjana na oczach wszystkiego Krzywonosowego hultajstwa, a gdyby taka tyczka była między nimi, toćby ją znali. Nie może to być, żebyś waćpan z nami jechał. Tam trzech głów nie znajdziesz, a twoja jedna niewiele pomoże. Masz zgubić imprezę, to lepiej siedź.

— Żal! — rzekł Litwin.

— Żal, nie żal, a musisz się zostać. Jak pojedziemy gniazda z drzew wybierać, to i waćpana weźmiemy, ale teraz nie.

— Słuchać hadko!

— Dajże waćpan pyska, bo mi w sercu wesoło, ale zostań. Tylko jeszcze jedno, mości panowie. Rzecz to największej wagi: sekret, żeby się między żołnierstwem nie rozniosło, a od nich do chłopstwa nie przeszło. Nikomu ani słowa!

— Ba! a księciu?

— Księcia niema.

— A panu Skrzetuskiemu, jeśli wróci?

— Jemu właśnie ani słowa, bo zarazby się wyrywał za nami; będzie miał dość czasu na radość, a broń Boże nowego zawodu, toby rozum stracił. Parol kawalerski, mości panowie, że ani słowa!

— Paroll! — rzekł Podbipięta.

— Paroll paroll!

— A teraz Bogu dziękujmy!

To rzekłszy, Zagłoba ukląkł pierwszy, a za nim inni i modlili się długo i żarliwie.

ROZDZIAŁ XXII.

•Ksiązę przed kilku dniami wyjechał rzeczywiście do Zamościa, w celu czynienia nowych zaciągów, i nierychło spodziewano się jego powrotu, więc Wołodyjowski, Zagłoba i Rzędzian ruszyli na wyprawę bez niczyjej wiedzy i w najgłębszej tajemnicy, do której z ludzi pozostałych w Zbarażu, jeden tylko pan Longinus był przypuszczony, ale i on, słowem związany, milczał jak zakłęty.

Wierszuł i inni oficerowie, wiedząc o śmierci kniaziówny, nie przypuszczali, by odjazd małego rycerza z Zagłobą był w jakimkolwiek związku z narzeczoną nieszczęsnego Skrzetuskiego, i sądzili, że to do niego raczej wyruszyli dwaj przyjaciele, tembardziej, że był między nimi i Rzędzian, o którym wiadano, że Skrzetuskiemu służy. Oni zaś pojechali wprost do Chlebanówki i tam czynili przygotowania do pochodu.

Zagłoba zakupił przedewszystkiem, za pieniądze pożyczone od Longina, pięć rośliwych koni podolskich, zdolnych do dalekich pochodów, których chętnie używała jazda polska i starszyzna kozacka; koń taki mógł dzień cały gnać za bachmatem tatarskim, a szybkością biegu przewyższał nawet tureckie, od

których był wytrzymalszy na wszelkie zmiany pogody, na noce chłodne i dżdże. Takich to pięć biegunów nabył pan Zagłoba; prócz tego, dla siebie i towarzyszków, również jak i dla kniaziówny, nabył dostatnie świty kozackie; Rzędzian zajął się jukami, a gdy już wszystko było przewidziane i gotowe, ruszyli w drogę, Bogu i świętemu Mikołajowi, patronowi panien, w opiekę przedsięwzięcie oddając.

Tak przebranych łatwo było można poczytać za jakichś atamanów kozackich, i zdarzało się często, że ich zaczepiali żołnierze z załóg polskich i straży rozrzuconych hen, aż ku Kamieńcowi, ale tym łatwo legitymował się pan Zagłoba. Jechali czas dłuższy krajem bezpiecznym, bo zajęтым przez chorągwie regimentarza Lanckorońskiego, który zbliżał się zwolna ku Barowi, aby na zbierające się tam kupy kozackie mieć oko. Wiedzano już powszechnie, że z układów nic nie będzie, więc wojna wisiała nad krajem, lubo główne siły nie ruszyły się jeszcze. Armistycyum perejasławskie skończyło się do Zielonych Świątek; wojna podjazdowa nie ustawała na prawdę nigdy, a teraz wzmogła się — i z obu stron czekano tylko hasła. Tymczasem wiosna rozradowała się nad stepem. Stratowana kopytami końskimi ziemia pokryła się bisiorem traw i kwieciami, wyrosłego z ciał poległych rycerzy. Nad pobojowiskiem tkwiły w błękicie skowronki; na wysokościach ciągnęło z krzykiem ptactwo rozmaite; wody rozlane marszczyły się w łuskę błyszczącą, pod ciepłym powiewem wiatru, a wieczorami żaby, pławiące się w ugrzanej fali, do późna w noc wiodły radosne rozhowory,

Zdawało się, że sama natura pragnie rany zabliznić, bole ukoić, mogiły ukryć pod kwiatami. Jasno było na niebie i ziemi, świeżo, powietrzno, wesoło, a step cały, jak malowany, błyszczał nakształt złotogłowi, mienił się jak tęcza, albo jak pas polski, na którym zręczna robotnica wszystkie barwy wybornie ożeni. Stepy grały od ptactwa — i wiatr chodził po nich szeroki, który suszy wody i śniadość daje twarzom ludzkim.

Wtedy to raduje się każde serce i otuchą napęlnia się niezmierną, więc też i nasi rycerze takiej właśnie otuchy byli pełni. Pan Wołodyjowski śpiewał ustawicznie, a pan Zagłoba przeciągał się na koniu, nadstawiał z lubością pleców na słońce, i raz, gdy go dobrze zagrzało, rzekł do małego rycerza:

— Błogo mi jest, bo prawdę rzekłszy, po miodzie i węgryźnie, nie masz jak słońce na stare kości.

— Dla wszystkich ono jest dobre — odpowiedział pan Wołodyjowski — gdyż zauważ wacpan, jak nawet animalia lubią się wygrzewać na słońcu.

— Szczęście to jest, że w takiej porze jedziemy po kniaziównę — mówił dalej Zagłoba — gdyż w zimie, przy mrozach, trudnoby z dziewczyną uciekać.

— Niech ją tylko w ręce dostaniemy, a szelmą jestem, jeżeli nam ją kto odbierze.

— Powiem ci, panie Michale — rzekł na to Zagłoba — że jedną mam tylko obawę, a to, żeby w razie wojny, Tatarstwo się w tamtych stronach nie ruszyło i nas nie ogarnęło, bo z kozakami damy sobie radę. Chłopstwu wcale się nie będziemy legitymowali, bo zauważyłeś, że nas za starszych mają,

a Zaporozcy piernacz szanują i Bohunowe imię tarczą nam będzie.

— Znam ja się z Tatary, bo nam w państwie łubniańskim życie na ustawicznym procederze z nimi schodziło, a już ja i Wierszuł, to nigdy nie mieliśmy odpoczynku — odpowiedział pan Michał.

— I ja znam — rzekł Zagłoba. — Wspominałem ci przecie, jakom między nimi wiele lat spędził i do godności wielkich mogłem dojść; ale żem się nie chciał zburmanić, więc musiałem wszystkiego poniechać i jeszcze mi śmierć męczeńską zadać chcieli za to, żem ich najstarszego księdza na wiarę prawdziwą namówił.

— A mówiłeś waćpan kiedyindziej, że to było w Galacie?

— W Galacie było swoją drogą, a w Krymie swoją. Bo jeżeli myślisz, że się w Galacie świat kończy, to chyba nie wiesz, gdzie pieprz rośnie. Więcej jest synów Beliala, niżeli chrześcijan na tym świecie.

Tu wtrącił się do rozmowy Rzędzian.

— Nietylko od Tatarów możemy mieć przeszkodę — rzekł — bo nie mówiłem waszmościom, co mnie Bohun powiedział, że tego jaru paskudne potęgi pilnują. Sama ona olbrzymka, która kniaziówny pilnuje, można to jest czarownica, z dyabłami w konfidencyi, którzy nie wiem czy jej o nas nie przestrzegą. Mam ci ja wprowadzić kulę, com ją sam na święconą pszenicę lał, gdyż inna się jej nie chwyta, ale oprócz tego upiorzysków tam podobno całe regimenty, które wejścia bronią. Już to gło-wa ichmościów w tem, żeby mnie co złego nie spotkało, bo zarazby mi nagroda przepadła.

— Trutniu jeden! — rzecze pan Zagłoba. — Właśnie też nam w głowie o twojem zdrowiu myśleć. Nie skreć ci dyabeł karku, a choćby i skreć, to wszystko jedno, bo ty i tak za swoje łakomstwo będziesz potępiony. Za stary ja wróbel, żeby mnie na plewy brać, i to sobie zakonnotuj, że jeśli Horpyna można czarownica, tom ja możniejszy czarownik, bom się w Persyi ciemnego kunsztu uczył. Ona dyabłem służy, a oni mnie, i mógłbym nimi jak wołami orać, jeno nie chcę, mając na uwadze zbawienie duszy.

— To dobrze, mój jegomość, ale na ten raz, to już niech jegomość swojej mocy użyje, bo zawsze lepiej być w bezpieczeństwie.

— Ja zaś więcej ufam w naszą dobrą sprawę i Boską opiekę! — rzekł Wołodyjowski. — Niechże tam Horpyny i Bohuna czarci strzegą, a z nami są anieli niebiescy, którym najlepszy piekielny komunik nie dotrzyma, na który przypadek świętemu Michałowi Archaniołowi siedm świec z białego wosku ofiaruję.

— To już i ja na jedną się przyłożę — rzekł Rzędzian — żeby mnie jegomość pan Zagłoba potępieniem nie straszyl.

— Pierwszy ja ciebie do piekła wyprawię — odpowiedział szlachcic — jeśli się pokaże, że miejsca nie wiesz dobrze.

— Jak to nie wiem? Byliśmy do Waładynki dojechali, to już z zawiązanymi oczyma trafię. Pojedziemy brzegiem ku Dniestrowi, a jar będzie po prawej ręce, który po tem poznamy, że wejście do niego skałą zawałone. Na pierwszy rzut oka wydaje się, że wcale wjechać nie można, ale w skałę jest

wyrwa, przez którą dwa konie obok siebie przejdą. Jak już tam będziemy, to nam nikt nie umknie, bo to jest jedyny wchód i wychód z jaru, naokoło zaś ściany tak wysokie, że ptak ledwie przeleci. Czarownica morduje ludzi, którzy tam bez pozwolenstwa wchodzi, i jest dużo kościotrupów, ale na to Bohun nie kazał zważać, jeno jechać i krzyczyć: „Bohun! Bohun!...” Dopieroż ona do nas z przyjaźnią wyjdzie. Prócz Horpyny jest tam jeszcze i Czeremis, który z piszczeli okrutnie strzela. Oboje musimy uśmiercić.

— Onego Czeremisa nie mówię, ale babę dość będzie związać.

— Zaśby ją tam jegomość związał! Ona taka mocna, że pancerz jak koszulę rozdziera, a podkowa to jeno jej w rękę chrupnie. Chyba jeden pan Podbipięta dałby jej radę, ale nie my. Daj-no jegomość pokój, mam ja na nią kulę święconą; niechże już na tę dyablicę przyjdzie czarna godzina; inaczej leciałyby za nami jak wilczyca, a na kozaków wyła, i pewniebyśmy nietylko panny, ale własnych głów zdrowo nie przywieźli.

Na podobnych rozmowach i naradach schodził im czas w drodze. A jechali śpieszno, mijając miasteczka, sioła, futory i mogiły. Szli na Jarmolińce ku Barowi, skąd dopiero mieli się zwrócić ukosem w stronę Jampola i Dniestru. Przechodzili przez te okolice, w których niegdyś Wołodyjowski pobił Bohuna i pana Zagłobę z jego rąk uwolnił. Trafili nawet do tego samego futoru i zatrzymali się w nim na noc. Czasem też wypadały im noclegi i pod gołym niebem, w stepie, a wówczas pan Zagłoba urozmaicał je opowiadaniem dawnych swych przygód, tych, które

się zdarzyły, i takich, które wcale się nie zdarzyły. Ale najczęściej rozmawiano o kniaziównie i o jej przyszlę uwolnieniu z niewoli u czarownicy.

Wyjchawszy wreszcie z okolic trzymanyh w ryzie przez załogi i chorągwie Lanckorońskiego, weszli w kraj kozaczy, w którym nic nie pozostało się Lachów, bo tych, którzy nie uciekli, wytępiono ogniem i mieczem. Maj skończył się i nastał czerwiec znojny, a oni ledwie trzecią część podróży odbyli, bo droga była daleka i trudna. Na szczęście, od strony kozactwa żadne nie groziło im niebezpieczeństwo. Chłopskim watahom nie legitymowali się wcale, bo te najczęściej za starszych zaporoskich ich miały. Wszelako kiedy niekiedy pytano ich, co by za jedni byli, a wówczas pan Zagłoba, jeżeli pytającym był niżowy, pokazywał piernacz Bohunów, jeśli zaś zwykły rezun z czerni, to nie zsiadając z konia, kopał go nogą w piersi i obalał na ziemię, inni zaś, patrząc na to, zazaz otwierali im drogę, myśląc, że to nietylko swój jedzie, ale i ktoś bardzo godny, skoro bije: — „Może Krzywonos, Burlaj, albo i sam bat’ko Chmielnicki.“

Wielce jednak narzekał pan Zagłoba na sławę Bohuna, bo się zbyt pytaniami o niego uprzykrzali niżowi, przez co i zwłoki w podróży zdarzały się niemałe. I zwykle nie było końca pytaniom: „Czy zdrów, czy żyje,“ bo się już wieść o jego śmierci aż pod Jahorlik i porohy rozbiegła. A gdy podróżni opowiadali, że zdrów i wolny i że jego to właśnie są wysłańcami, tedy całowano ich i częstowano; otwierały się im wszystkie serca, a nawet worki, z czego chytry pacholek pana Skrzetuskiego nie omieszkiał korzystać.

W Jampolu przyjął ich Burlaj, który tu z wojskiem niżowem i czernią na Tatarów budziackich czekał, stary, sławny pułkownik. Ten przed laty Bohuna rzemiosła wojennego uczył; na wyprawy czarnomorskie z nim chodził i Synopę na wspólkę w jednej z takich wypraw zrabowali, więc też kochał go jak syna i wdzięcznie przyjął jego wysłańców, nie okazując najmniejszej nieufności, zwłaszcza, że zeszłego roku Rzędziana przy nim widział. Owszem, dowiedziawszy się, że Bohun żyje i na Wołyń zdąża, ucztę z radości wysłańcom wydał i sam się na niej upił.

Obawiał się pan Zagłoba, ażeby Rzędzian, podpiszwszy, nie wygadał się z czem niepotrzebnem, ale pokazało się, że szczwany jak lis pacholek tak się umiał obracać, że mówiąc prawdę wówczas tylko, gdy ją można było powiedzieć, sprawy przez to nie narażał, a tem większą ufność zyskiwał. Dziwnie jednak było słuchać naszym rycerzom tych rozmów, prowadzonych z jakąś straszliwą szczerością, w których ich nazwiska często się powtarzały.

— Słyszeli my—mówił Burlaj—że Bohun w pojedynku usieczon. A nie wiecie wy, kto jego usieknął?

— Wołodujowski, oficer kniazia Jaremy—odpowiedział spokojnie Rzędzian.

— Ej, żeby ja go w ręce dostał, zapłaciłby mu ja za naszego sokoła! Ze skóry jaby jego obdarł!

Pan Wołodujowski ruszył na to owsianymi wąsikami i spojrzał na Burlaję takim wzrokiem, jakim chart spogląda na wilka, którego mu nie wolno uchwycić za gardziel, a Rzędzian rzekł:

— Dla tego to ja waści mówię, mości pułkowniku, jego nazwisko.

-- Dyabeł będzie miał prawdziwą pociechę z tego chłopaka! — pomyślał pan Zagłoba.

— Ale — mówił dalej Rzędzian — ten nietyle winien, bo jego sam Bohun wyzwiał, nie wiedząc, jaką szablę wyzywa. Inny tam był szlachcic, największy Bohuna wróg, który raz już kniaziównę mu z rąk wydarł.

— A to kto taki?

— Atł stary opój, co się przy naszym atamanie w Czehryniu wieszał i druha dobrego udawał.

— Będzie on jeszcze wisiał! — wykrzyknął Burlaj.

— Kpem jestem, jeżeli temu pokurczowi uszu nie obetnę — mruknął Zagłoba.

— Tak go usiekli — prawil Rzędzian — że innego dawnoby już kruki dziobały, ale w naszym atamanie dusza rogata i wyzdrowiał, chociaż do Włodawy ledwie się dowlókł, i tamby też pewno rady sobie nie dał, żeby nie my. My jego na Wołyń wyprawili, gdzie nasi górą, a samych tu po dziewczynę wysłał.

— Zgubią jego te czarnobrewy — mruknął Burlaj — a ja jemu to dawno przepowiadał. A czy to mu nie lepiej było poigrać z dziewczyną po kozacku, a potem kamień do szyi i w wodę, jak my na Czar-nem morzu robili?

Tu ledwie wytrzymał pan Wołodyjowski, tak był w swoim sentymencie dla płci białej zraniony. Zagłoba zaś roześmiał się i rzekł:

— Pewnieby tak lepiej.

— Ale wy dobre druhy! — mówił Burlaj — wy jego nie opuścili w potrzebie, a ty mały (tu zwrócił się do Rzędziana), ty najlepszy ze wszystkich, bo ja już ciebie w Czehryniu widział, jak ty naszego so-

koła pilnował i hołubił. No, tak i ja wam druh—wymówcie czego wam potrzeba: mołojców, czy koni? tak ja wam dam, żeby się wam gdzie z powrotem krzywda nie stała.

— Mołojców nam nie potrzeba, mości pułkowniku — odrzekł Zagłoba — bo my swoi ludzie i swoim krajem pojedziemy, a Bóg nie daj złego spotkania, to z wielką watahą gorzej jak z małą, ale konie co najściglejsze, toby się przydały.

— Dam wam takie, że ich bachmaty hanowe nie dogonią.

Wtem Rzędzian odezwał się, nie tracąc sposobnej pory:

— I hroszi mało nam daw ataman, bo sam ne maw, a za Bracławiem miara owsa talara.

— To chody ze mną do komory—rzekł Burlaj.

Rzędzian nie dał sobie tego dwa razy powtórzać i zniknął razem ze starym pułkownikiem za drzwiami, a gdy po chwili ukazał się znowu, radość biła mu z pucółowatego oblicza, i siny żupan odymał mu się jakoś na brzuchu.

— No, jedźcie z Bogiem — ozwał się stary kozak — a jak dziewczynę weźmiecie, to wstąpcie do mnie, niech i ja Bohunową zazulę zobaczę.

— Nie może to być, mości pułkowniku—odrzekł śmiało pacholek — bo ta Laszka okrutnie się stracha i raz się już nożem pchnęła. Boimy się, by jej co złego się nie stało. Lepiej niech już ataman sobie z nią radzi.

— Poradzi; nie będzie ona mu się strachała. Laszka biłoruczka! kozak jej śmierzdził—mruknął Burlaj. — Jedźcie z Bogiem! niedaleko już macie!

Z Jampola niezbyt już było daleko do Waładynki, ale droga trudna, a raczej ustawiczne bezdroże rozpościerało się przed rycerzami, bo w owych czasach tamtejsze okolice były jeszcze pustynią, z rzadka tylko osiadłą i zabudowaną. Szli tedy od Jampola nieco na zachód, oddalając się od Dniestru, aby iść następnie z biegiem wód Waładynki, ku Raszkowowi, bo tylko idąc, można było trafić do jaru. Na niebie bielił się świt, gdyż uczta u Burlaja przeciągnęła się do późnej nocy, i pan Zagłoba wyrachował, że przed zachodem słońca nie odnajdą jaru, ale było to mu właśnie na rękę, chciał bowiem po uwolnieniu Heleny zostawić noc za sobą. Tymczasem jadąc, rozmawiali, jak dotychczas służyło im we wszystkim szczęście przez całą drogę, a pan Zagłoba, wspominając im ucztę Burlajową, tak mówił:

— Przypatrzcie się jeno, jak to ci kozacy, którzy żyją w bractwie, wspierają się wzajemnie w każdym terminie. Nie mówię o czerni, którą oni pogardzają i dla której, jeżeli dyabeł im pomoże zrzucić naszą zwierzchność, gorszymi będą panami; ale w bractwie jeden za drugiego w ogień skoczyć gotowy, nie tak, jak między naszą szlachtą.

— Gdzie tam, mój jegomość! — odparł na to Rzędzian. — Byłem ja między nimi długo i widziałem, jako się między sobą, niby wilcy, zażerają, a gdyby Chmielnickiego nie stało, który ich to siłą, to polityką w ryzie trzyma, wnetby się ze szczerem pożerali. Ale ten Burlaj, to jest wielki między nimi wojownik, i sam Chmielnicki jego szanuje.

— Ale ty pewnie już masz dla niego kontempt,

bo ci się obedrzeć pozwolił. Ej Rzędzian, Rzędzian! nie umrzesz ty własną śmiercią!

— Co komu pisano, mój jegomość; wszakże nieprzyjaciela w pole wywieść chwalebna to jest rzecz i Bogu miła.

— To też nie to ci się gani, ale twoją chciwość. Chłopski to sentyment, szlachcica niegodny, za który pewnie będziesz potępiony.

— Nie pożałuję ja na świecę do kościoła, jak mi się uda zarobić, aby też i Pan Bóg miał ze mnie korzyść i nadal mnie błogosławił; a że rodziciele wspomagam, to nie grzech.

— Co za szelma na cztery nogi kuta!—wykrzyknął, zwracając się do Wołodyjowskiego, pan Zagłoba.— Myślałem, że razem ze mną i fortele moje pójdą do trumny, ale widzę, że to frant jeszcze większy. Toż my przez chytrość tego pachółka uwolnimy naszą kniaziówną od Bohunowej niewoli, za Bohunowem pozwoleniem i na Burłajowych koniach. Widział-że kto kiedy podobną rzecz? A na pozór trzech groszybyś za tego pachółka nie dał.

Rzędzian uśmiechnął się z zadowoleniem i odrzekł:

— Albo to nam będzie źle, mój jegomość?

— Udałeś mi się, i gdyby nie twoja chciwość, tobym cię do służby wziął; ale skoroś Burłaja tak w pole wywiódł, już ci to, żeś mnie nazwał opojem, przebaczam.

— To nie ja tak jegomości nazwałem, jeno Bohun.

— Bóg go też skarał — odrzekł Zagłoba.

Na takich rozmowach zeszedł im ranek, ale gdy już słońce wytoczyło się wysoko na sklep niebieski,

chwyciła ich powaga, bo za kilka godzin mieli ujrzeć Waładynkę. Po długiej podróży byli nakoniec u celu, ale niepokój, naturalny w podobnych wypadkach, wkradł im się do serc. Żyje-li jeszcze Helena? a jeżeli żyje, to czy znajduje w jarze? Horpyna mogła ją wywieźć, lub może ją w ostatniej chwili ukryć gdzieś w nieznanych rozpadlinach, albo uśmiercić. Przeszkody nie były jeszcze przewyciężone, niebezpieczeństwa wszystkie nie minęły. Mieli wprawdzie wszystkie znaki, po których Horpyna powinna była ich rozeznać, jako Bohunowych wysłańców, pełniących jego wolę — ale nuż dyabły lub duchy ją ostrzegą? Tego obawiał się najwięcej Rzędzian, a i pan Zagłoba, choć się miał za biegłego w ciemnym kunszcie, nie myślał o tem bez niepokoju. W takim bowiem razie zastaliby jar pusty, albo co gorsza, kozaków z Raszkowa, ukrytych w nich na zasadzce. Serca biły im coraz mocniej, a gdy wreszcie po kilku godzinach drogi, z wysokiej krawędzi jaru ujrzeli błyszczącą zdala wstążkę wody, pucołowata twarz Rzędziana przybladła trochę.

— Tu Waładynka! — rzekł przyciszonym głosem.

— Już? — pytał równie cicho Zagłoba. — Jak my to już blisko...

— Oby nas tylko Bóg ustrzegł! — odparł Rzędzian. — Mój jegomość, niech-no jegomość pocznie zakłęcia, bo okrutnie się boję.

— Głupstwo zakłęcia! Przeżegnamy rzekę i czełuscie — to lepiej pomoże.

Pan Wołodyjowski najspokojniejszy był ze wszystkich, ale milczał; obejrzał tylko starannie pi-

stolety i podsypał nanowo, potem zmacał, czy szabla lekko wychodzi z pochwy.

— Mam i ja kulę święconą w tym oto pistolecie—rzekł Rzędzian.—W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego! ruszajmy!

— Ruszajmy! ruszajmy!

Po jakimś czasie znaleźli się nad brzegiem rzeczki i zwrócili konie w kierunku jej biegu. Tu pan Wołodjowski zatrzymał ich na chwilę i rzekł:

— Niech Rzędzian weźmie piernacz, bo jego czarownica zna, niechże pierwszy z nią paktuje, żeby się nas nie przestraszyła i nie uciekła w jaką czełuść z kniaziówną.

— Ja pierwszy nie pojadę, róbcie waszmoście—wie co chcecie — rzekł Rzędzian.

— To jedź, trutniu, na ostatku.

To powiedziawszy, pan Wołodjowski ruszył pierwszy, za nim jechał pan Zagłoba, a w końcu z powodnymi końmi ciąpał Rzędzian, oglądając się niepokojnie na wszystkie strony. Kopyta końskie szczękały po kamieniach, naokół panowała głucha cisza pustyni, jeno szarańcze i koniki polne, ukryte w rozpadlinach i szparach, sykały głośno, bo dzień był znojny, chociaż słońce zeszło już znacznie z południa. Jeźdźcy nadjechali nakoniec nad wzgórze, okrągłe, jak przewrócona tarcza rycerska, na którem rozpadające się i zwietrzałe od słońca skały tworzyły kształty podobne do rumowisk, do zwalisk domów i wież kościelnych; myślałbyś: zamek lub miasto zburzone wczoraj przez nieprzyjaciela. Rzędzian spojrzał i trącił pana Zagłobę.

— To Wraże Uroczyszczel — rzekł: — poznaję z tego, co mnie Bohun powiedział. Tędy w nocy nikt żywy nie przejdzie.

— Jeśli nie przejdzie, to może przejdzie — odparł Zagłoba. — Tfu! co za jakiś przeklęty kraj! Ale że przynajmniej na dobrej jesteście drodze!

— To już niedaleko! — rzekł Rzędzian.

— Chwała Bogu! — odpowiedział pan Zagłoba, i myśl jego uniosła się ku kniaziównie.

Było mu jakoś dziwnie na duszy, i widząc te dzikie brzegi Waładynki, tę pustynię i głuszę, prawie nie wierzył sobie, że kniaziówna mogła być tak blisko — ona, dla której tyle przygód i niebezpieczeństw przeżył i którą tak pokochał, że gdy przyszła wieść o jej śmierci, to sam nie wiedział, co robić z życiem i starością. Ale z drugiej strony, człowiek oswaja się nawet z nieszczęściem, pan Zagłoba zaś przez tyle czasu żył się z myślą, że ona porwana, daleko i w Bohunowej mocy, iż teraz nie śmiał sobie powiedzieć: „Oto już nadchodzi koniec tęsknoty, koniec poszukiwań, nadchodzi czas pomyślności i spokoju.“ Przytem i inne pytania cisnęły mu się do głowy: „Co też ona powie, gdy go ujrzy? zali się we łzach nie rozpułynie? bo ten ratunek po tak długiej i ciężkiej niewoli spadnie na nią jak piorun niespodzianie... Bóg ma swoje dziwne drogi — myślał Zagłoba — i tak potrafi wszystko powiązać, że z tego jest tryumf cnocie, a zawstydzenie nieprawościom. Bóg to oddał naprzód Rzędziana w ręce Bohuna, a potem uczynił z nich przyjaciół. Bóg to sprawił, że wojna, sroga matka, odwołała dzikiego atamana z tych pustkowi, do których łup swój jak wilk uniosł.

Bóg później wydał go w ręce Wołodyjowskiego i znowu zetknął z Rzędzianem — i tak się wszystko ułożyło, że teraz ot, gdy tam Helena resztę nadziei może traci, i już znikąd nie spodziewa się pomocy — pomoc tuż! Kończy się twoje płkanie, córuśno moja — myślał dalej Zagłoba — i niezadługo przyjdzie na cię radość niezmierna. Oj! a będzie ona wdzięczna, będzie rączki składała! a dziękowała!“

Tu stanęła dziewczyna panu Zagłobie w oczach jakoby żywa, i rozculił się szlachcic okrutnie i pograżył się całkiem w zamyśleniu o tem, co to za chwilę się zdarzy?

Wtem Rzędzian pociągnął go za rękaw:

— Jegomość!

— A co? — spytał Zagłoba, niekontent, iż mu przerwano bieg myśli.

— Czy jegomość widział? wilk pomknął przed nami.

— To i cóż?

— A czy to tylko był wilk?

— Całujże go w nos.

W tej chwili Wołodyjowski zatrzymał konia.

— Czyśmy drogi nie zmylili! — pytał — bo to jużby powinno być!

— Nie! — odrzekł Rzędzian — tak jedziemy, jak Bohun mówił. Dałby Bóg, ażeby to już było po wszystkim.

— Będzie niezadługo, jeżeli dobrze jedziemy!

— Chciałem też jeszcze waszmościów prosić, aby, jak będę gadał z czarownicą, na owego Czere-misa uważać; wielki to ma być paskudnik, ale podobno z rusznicy okrutnie strzela.

— Nie bój się! jazda!

Zaledwie ujechali kilkadziesiąt kroków, konie poczęły tulić uszy i chrapać. Na Rzędzianie skóra zmieniła się w jaszczur, bo spodziewał się, że lada chwila z za załamu skały rozlegnie się wycie upiора, lub wytoczy się jakiś kształt szkaradny a nieznany, ale pokazało się, że konie chrapały tylko dla tego, że przechodziły tuż koło legowiska owego wilka, który tak poprzednio zaniepokoił pachotka. Naokół była cisza; nawet szarańcze przestały ksykać, bo już i słońce schyliło się na drugą stronę nieba. Rzędzian przeżegnał się i uspokoił.

Nagle Wołodjowski wstrzymał konia.

— Widzę jar! — rzekł — do którego gardziel skałą zatkana, a w skale wyrwa.

— W imię Ojca i Syna i Ducha — szepnął Rzędzian — to tu!

— Za mną! — zakomenderował pan Michał, skręcając konia.

Po chwili stanęli u wyrwy i przejechali jakby pod sklepieniem kamiennem. Otworzył się przed nimi jar głęboki, gęsto zarosły po bokach, rozsuwający się w dali w obszerną półkolistą równinę, obwiedzioną jakby olbrzymimi murami.

Rzędzian począł wołać, ile mu sił w piersiach starczyło:

— Bo-hun! Bo-hun! Bywaj, wiedźmo, bywaj! Bo-hun! Bo-hun!

Zatrzymali konie i stali przez czas jakiś w milczeniu, poczem pachotek znów jął wołać:

— Bohun! Bohun!

Zdała doszło szczekanie psów.

— Bohun! Bohun!

Na lewym zrębie jaru, na który padały czerwone i złote promienie słońca, poczęły szeleścić gęste krzewy głogu i dzikiej śliwiny, i po chwili ukazała się, niemal na samym szczycie stoku, jakaś postać ludzka, która, przechyliwszy się i przykrywszy oczy ręką, wpatrywała się pilnie w przybyłych.

— To Horpyna! — rzekł Rzędzian — i zwinąwszy dłonie koło ust, począł po raz trzeci wołać:

— Bohun! Bohun!

Horpyna poczęła schodzić i idąc wyginała się w tył dla równowagi. Szła szybko, a za nią toczył się jakiś mały, krępy człowieczek, z długą turecką rusznicą w rękę; krze łamały się pod potężnymi stopami więdzmy, kamienie spadały z pod nich, hucząc, na dno jaru, i tak przechylona, w czerwonych blaskach, wydawała się istotnie jakąś olbrzymią, nadprzyrodzoną istotą.

— Kto wy? — rzekła wielkim głosem, stanąwszy na dnie.

— Jak się masz, basetlo? — rzekł Rzędzian, któremu na widok ludzi, nie duchów, wróciła cała zwykła flegma.

— Ty, sługa Bohunów? Ty! poznaję cię! ty mały! a ci, co za jedni?

— Druhy Bohunowi!

— Kraśna więdzma — mruknął pod wąsikami pan Michał.

— A po co wy tu przyjechali?

— Masz tu piernacz, nóż i pierścień! wiesz co to znaczy?

Olbrzymka wzięła znaki do ręki i poczęła je pilnie rozpatrywać, poczem rzekła:

— Te same są! Wy po kniaziównę?

— Tak jest! A zdrowa ona?

— Zdrowa! A czemu to Bohun sam nie przyjechał?

— Bohun ranny!

— Ranny, ja to we młynie widziała.

— Jeżeliś widziała, to czego pytasz? Łziesz, waltornio! — rzekł poufale Rzędzian.

Wiedźma pokazała w uśmiechu białe jak u wilka zęby i złożywszy dłoń w kułak, szturchnęła pod bok Rzędziana.

— Ty, mały, ty!

— Pójdiesz precz!

— Nie daruj! pocałuj! hu! A kiedy weźmiecie kniaziównę?

— Zaraz, jeno koniom odpoczniemy.

— To bierzcie! pojedę i ja z wami!

— A ty po co?

— Memu bratu śmierć pisana. Jego Lachy na pal wsadzą, pojedę z wami.

Rzędzian pochylił się w kulbace, niby dla łatwiejszej rozmowy z olbrzymką, i ręka jego spoczęła nieznacznie na kolbie pistoletu.

— Czeremis, Czeremis! — rzekł, pragnąc zwrócić uwagę swych towarzyszków na karła.

— Po co ty jego wołasz? on ma język urznięty.

— Ja jego nie wołam, jeno się jego urodzie dziwuję. Ty jego nie odjedziesz, on twój mąż!

— On mój pies!

— I was tylko dwoje w jarze?

— Dwoje, kniaziówna trzecia!

— To dobrze! Ty jego nie odjedziesz!

— Pojadę z wami, mówiłam ci!

— A ja ci mówię, że zostaniesz!

W głosie pachółka było coś takiego, że olbrzymka odwróciła się na miejscu z twarzą niespokojną, bo podejrzenie wstąpiło jej nagle w duszę.

— Szczo ty? — rzekła.

— Ot, szczo ja! — odparł Rzędzian i huknął jej między piersi z pistoletu, tak zbliżka, że dym zakrył ją na chwilę zupełnie.

Horpyna cofnęła się w tył z rozkrzyżowanemi rękoma; oczy wylazły jej na wierzch głowy, jakieś nieludzkie skrzeczenie wyszło jej z gardzieli, zachwiała się i padła na wznak, jak długa.

W tej samej chwili pan Zagłoba ciął Czere-misa szablą przez głowę, aż kość zgrzytnęła pod ostrzem; potworny karzeł nie wydał ani jęku, tylko zwinął się w kłębek jak robak i począł drgać, palce zaś u jego rąk otwierały się i zamykały naprzemian, nakształt pazurów konającego rysia.

Zagłoba obtarł połą od żupana dymiącą szablę, a Rzędzian skoczył z konia i chwyciwszy kamień, rzucił go na szerokie piersi Horpyny, następnie począł szukać czegoś za pazuchą.

Olbrzymie ciało wiedźmy kopało jeszcze ziemię nogami, konwulsya wykrzywiła jej straszliwie twarz, na wyszczerzonych zębach osiadła krwawa piana, a z gardła wychodziło głucho chrapanie.

Tymczasem pachółek dobył z zanadruza kawałek kredy święconej, naznaczył nią krzyż na kamieniu i rzekł:

— Teraz nie wstanie!

Potem wskoczył na kulbakę.

— W konie! — zakomenderował pan Wołodziejowski.

Pomknęli i biegli jak wicher wzdłuż krynicy, biegnącej środkiem jaru; minęli dęby rozrzucone z rzadka po drodze, i oczom ich ukazała się chatka, dalej wysoki młyn, którego wilgotne koło błyszczało, jak czerwona gwiazda w promieniach słońca. Pod chatą dwa czarne, ogromne psy, uwiązane na postronkach przy węglach, rwały się ku nadjeżdżającemu, szczekając ze wściekłością i wyjąc. Pan Wołodziejowski jechał pierwszy i pierwszy doleciał; z konia zeskoczył, a następnie dobiegłszy do drzwi wchodowych, kopnął je nogą i wpadł do sieni, brzęcząc szablą.

W sieni na prawo, przez otwarte drzwi, widać było obszerną izbę, pełną wiórów, z ogniskiem ułożonem w środku, napełnioną dymem; na lewo drzwi były zamknięte.

— Tam ona musi być — pomyślał pan Wołodziejowski, i skoczył ku nim.

Szarpnął, otworzył — wpadł na próg i w progu stanął jak w ryty.

W głębi izby, ręką oparta o krawędź łoża, stała Helena Kurcewiczówna, blada, z rozpuszczonym na plecy i ramiona włosem, a przerażone jej oczy, utkwione w Wołodziejowskiego, pytały: „Ktoś ty jest? czego tu chcesz?” — bo nigdy przedtem nie widziała małego rycerza. On znów zdumiał się na widok tej piękności i tej komnaty, pokrytej aksamitami i złotogłowie. Nakoniec przyszedł do słowa i rzekł pośpiesznie:

— Nie bój się waćpanna, my Skrzetuskie przyjaciele!

Wówczas kniaziówna rzuciła się na kolana:

— Ratujcie mnie! — wołała, składając ręce.

Ale w tej samej chwili wpadł pan Zagłoba trzęsący się, czerwony, zdyszany.

— To my! — krzyczał — to my, z pomocą!

Usłyszawszy te słowa i ujrawszy znajomą twarz kniaziówna przechyliła się, jak kwiat podcięty, rękawy jej opadły, oczy pokryły się frendzlistymi zasłonami i zemdląca.

KONIEC TOMU TRZECIEGO.

www.libtool.com.cn

WYDAWNICTWA
GEBETHNERA I WOLFFA W WARSZAWIE

- Krasinski J. J. Wizerunki książąt i królów polskich. Z 39 rycinami Piłatego, oraz inicjałami Cz. Janikowskiego. Wydanie nadobne na wytwarzym papierze walinowym, 8-ka wielka* 6
 w ozdob. bogato złoc. opr. litzgi szm. 7
 w tejże oprawie brązgi złoczone 8
 — *W poście czola. Z dziennika darschkiwieza* 1
 — *W starym piecu. Studium psychograficzne* —
 — *Z siedmiuletniej wojny, opowiadanie historyczne, wydanie II, 2 tomy* 1
 — *Zyweł i sprawy JM. pana Medarda z Górzawi Petki, z antat familijnych opisano, 2 tomy* 2
Krasinski Kajetan. Od szkolnej ławy, opowiadanie z lat 1795 do 1813. 1
 — *Pod wyrzkiem. Opowiadanie z lat 1706—1713, 2 tomy w jednym* 1
Kracinski Adam. Jestem, powieść 3
 — *Najmłodszy, powieść, 2 tomy* 2
 — *Starosta Zygmuntowski. Powieść historyczna. Wyd. drugie, 2 tomy* 2
 — *Szary wilk. Powieść historyczna.* 3
 — *Vato. Powieść historyczna w 4 tomach. Wydanie 2. Kraków.* 4
Lam Jan. Koraniarz w Galicyi, czyli powagi powiatowe. Wydanie 3-cie, Kraków
 — *Wielki świat Capowio. Powieść apółczesna, wyd. 2. Kraków.*
Lubowski Edward. Cichy laszek i głośny Franek, powieść, 2 tomy
 — *Kuchanek Mignoli. (Typy gatunkowe).*
 Tłum. Włocławski kochanek Mignoli.—Do rany go pogłębia.—Wywał go kajakowy.—Czerwienk szóstki.—Kobieta na kwiat interwista.—Także to już moje dziełko.
 — *Powinności niemoralne. Ochrzinki z życia rzeczywistego. Tłum. Papo.—Podobnie.—Czysta kasa.—Tęże wszystkie.*
Łękowski J. Stary mąż.—Głowa.—Kasa stół.—Włoch
Łękowski Władysław. Skarb Watażki, powieść z końca XVIII wieku
Makowski A. Pan Wojciech, powieść.
Myśliński Józef. Syn przemysłnika, powieść oryginalna, 2 tomy.
Nowowiejski A. Pogranicze nadnistrzańskie. Szkice społeczne i krajoznawcze w w. XVIII. Kijów
Orzechowski Michał. Z różnych sfer, nowelle i opowiad. 2 t.
 Tłum. P. Straszny.—Dziwak.—Pani Janina.—Szara Janina.—Tom II. Janina.—Czerwienka szóstki.—Słony Sandomierz.—Młody

Stanford University Libraries

3 6105 124 433 033



www.libtool.com.cn

PG
7
S
18
V.

**Stanford University Libraries
Stanford, California**

Return this book on or before date due.

--	--	--

www.libtool.com.cn